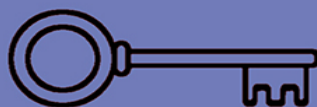
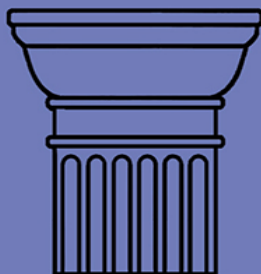
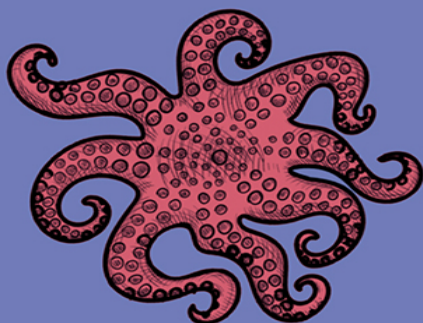


Sycylia komisarza Montalbano

ANDREA
CAMILLERI
Głosy nocy

„Albo już kochasz książki Andrei Camilleriego,
albo jeszcze ich nie czytałeś”

New York Times



NOIR SUR BLANC

ANDREA CAMILLERI

GŁOSY
NOCY

Przełożyła
Monika Woźniak

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Od autora

Przypisy

Inne książki Andrei Camilleriego

Tytuł oryginału: *Una voce di notte*

Opracowanie redakcyjne: MAGDALENA KURKOWSKA

Korekta: JUSTYNA RADOMIŃSKA, RENATA KUK

Projekt okładki: TOMASZ LEC

Copyright © 2012 Sellerio Editore, Palermo

For the Polish edition

Copyright © 2022, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-777-3

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.,
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

Zamówienia prosimy kierować:

- telefonicznie: 800 42 10 40 (linia bezpłatna)
- faksem: 12 430 00 96 (czynnym całą dobę)
- e-mailem: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
- księgarnia internetowa: www.noir.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Obudził się wcześniej, w pół do siódmej, świeży, ciało wypoczęte i umysł jasny. Wstał, poszedł otworzyć okiennice i wyjrzał na zewnątrz.

Morze było spokojne, gładkie jak stół, niebo pogodne, błękitne, ozdobione kilkoma białymi chmurkami, które wyglądały tak, jak gdyby jakiś domorosły artysta domalował je, by dodać pejzażowi urody. Zapowiadał się spokojny, nudny dzień i to właśnie w nim docenił.

Bo zdarzają się też takie dni, po których już od świtu można się spodziewać wybuchu i tylko trzeba skulić się, poddać i jakoś je przeżyć.

Wrócił do łóżka, w pracy nie czekała na niego żadna sprawa, dlatego mógł się nie spieszyć.

Śniło mu się coś w nocy?

W jakimś czasopiśmie przeczytał, że sny mamy zawsze, tylko ich nie pamiętamy, bo zaraz po przebudzeniu wszystko idzie w zapomnienie.

A może te zaniki pamięci były zwiastunem nadchodzącej starości, bo do pewnego momentu swojego życia Montalbano, kiedy tylko rano się budził, pamiętał swoje sny, które przesuwwały mu się przed oczami niczym taśma filmowa. Z czasem z coraz większym trudem je sobie przypominał, a teraz nie pamiętał ich w ogóle.

Ostatnio zapadał w sen, jakby wlatywał w czarną niczym smoła dziurę, bez uczucia i świadomości, jak trup.

Jak to wytłumaczyć?

Czy przebudzenie było swego rodzaju zmartwychwstaniem?

Zmartwychwstaniem, któremu nie wtórowały trąby anielskie, tylko w dziewięciu przypadkach na dziesięć – tubalny głos Catarelli?

Zaraz, ale czy trąby mają coś wspólnego ze zmartwychwstaniem? Chyba raczej z Sądem Ostatecznym?

O właśnie: czy ten dźwięk, który się akurat rozległ, to trąby anielskie czy tylko dzwonek telefonu?

Popatrzył na zegarek, niezdecydowany, czy odebrać. Była siódma.

Począł do aparatu.

Jednak gdy prawa ręka opadała już na słuchawkę, lewa, zupełnie spontanicznie i nie pytając nikogo o zdanie, złapała za wtyczkę i wyrwała ją z gniazdka. Montalbano przez chwilę gapił się na nią zdumiony. No i dobrze, nie miał specjalnie ochoty wysłuchiwać Catarelli donoszącego mu o morderstwie naszym powszednim, ale kto to widział, żeby ręka zachowywała się tak swawolnie? Jak wyjaśnić ten akt niesubordynacji?

Czy to możliwe, że wraz ze zbliżającą się starością członki jego ciała zyskiwały niezależność? Jeśli tak, to niedługo i chodzenie mogło stać się problemem, gdyby jedna stopa postanowiła iść w prawo, a druga w lewo.

Otworzył drzwi na werandę, wyszedł i zobaczył, że pan Puccio, wypływający zawsze na połów o poranku, już wrócił i wciągnął swoją łódkę na brzeg.

Ruszył na plażę tak jak stał, w samych slipkach i zbliżył się do rybaka.

– Jak poszło?

– Panie komisarzu kochany, ryby wypływają coraz dalej w morze. Tutaj przy brzegu jest za dużo śmieci w wodzie. Mało co złowiłem.

Włożył rękę do łódki i wyciągnął ośmiornicę długą chyba na siedemdziesiąt centymetrów.

– To dla pana w prezencie.

Była taka wielka, że najadłyby się nią ze cztery osoby.

– Dziękuję, ale na co mi ona?

– Jak to na co? Zje ją pan za moje zdrowie. Wystarczy długo ją gotować, tylko niech pan powie gosposi, żeby ją najpierw obtłukła prętem, bo inaczej będzie twarda.

– Bardzo dziękuję, ale naprawdę...

– Niech pan ją weźmie – uparł się pan Puccio.

Co miał zrobić? Wziął podarunek i zawrócił na werandę.

W połowie drogi poczuł ostry ból w lewej stopie. Ośmiornica, która i tak wiła mu się w ręce, wyślizgnęła się i spadła na piasek. Przeklinając pod nosem, Montalbano podniósł nogę i przyjrzał się zranionej stopie.

Krew sączyła się z podeszwy, przeciął ją sobie o krawędź wieczka otwartej puszki po pomidorach, którą jakiś głupi skurwysyn zostawił na piasku.

Nic dziwnego, że ryby wypłynęły dalej w morze! Plaże zmieniły się w wysypiska śmieci, a brzeg morza – w ujście ścieków.

Schylił się, złapał ośmiornicę i utykając, pobiegł do domu. Był zaszczepiony na tężec, ale ostrożności nigdy za wiele.

W kuchni wrzucił ośmiornicę do zlewu i odkręcił kran, żeby obmyć ją z piasku, którym się utyłała. Otworzył na oścież okiennice i poszedł do łazienki, gdzie długo przemywał ranę alkoholem, sycząc z bólu, bo piekło jak cholera. Potem zalepił ją wielkim plastrem.

Teraz zachciało mu się kawy.

Krzątając się po kuchni, zaczął odczuwać jakiś dziwny niepokój.

Poruszał się wolniej, starając się zrozumieć, co mogło być jego przyczyną.

I nagle zyskał całkowitą pewność, że ktoś wlepia w niego oczy.

Ten ktoś stał za oknem kuchennym i wbijał w niego wzrok.

Nie odzywał się, tylko stał i patrzył, dlatego z pewnością nie miał dobrych intencji.

Co robić?

Po pierwsze, nie dać intruzowi poznać, że wyczuł jego obecność. Montalbano, pogwizdując pod nosem walca z Wesołej wdówki, zapalił gaz i postawił ekspres na palniku, cały czas czując na sobie oczy wbite w potylicę niczym lufa strzelby.

Miał zbyt dużo doświadczenia, żeby nie wiedzieć, że takie uporczywe i groźne spojrzenie musiało się zrodzić z głębokiej nienawiści kogoś, kto chciał go widzieć martwym.

Poczuł pot na skórze twarzy pod wąsami.

Powolutku sięgnął prawą ręką po wielki nóż kuchenny i chwycił go, ściskając mocno za trzonek.

Jeśli ten ktoś za oknem ma rewolwer, to na pewno strzeli, gdy Montalbano się odwróci.

Nie miał jednak wyjścia.

Odwrócił się gwałtownie, jednocześnie padając brzuchem na ziemię.

Upadł na podłogę z takim impetem, że zrobił sobie krzywdę, w kredensie zatrzęsła się szyba i stojące w nim kieliszki.

Nie padł jednak strzał, bo za oknem nikogo nie było.

Komisarz uznał, że to jeszcze o niczym nie świadczy, może ten ktoś miał szybki refleks i kiedy zobaczył, że Montalbano się odwraca, gdzieś się schował. Pewnie teraz przykucnął pod oknem, czekając na jego następny ruch.

Komisarz poczuł, że jego spocone ciało przykleiło się do podłogi.

Nie odrywając wzroku od pasma nieba widocznego między listwami okiennic, zaczął się powolutku podnosić, gotów skoczyć na przeciwnika przez okno, tak jak to robią policjanci w amerykańskich filmach.

Kiedy wreszcie się wyprostował, nieoczekiwany dźwięk za jego plecami sprawił, że podskoczył jak spłoszony koń. Potem zorientował się, że to bulgocze gotująca się kawa.

Zrobił ostrożnie krok do przodu, a potem w prawo.

W ten sposób w zasięgu jego wzroku znalazł się zlew.

Montalbano zdrętwiał.

Ośmiornica przysłała się mackami do marmurowego blatu obok zlewu i zastygła w bezruchu, wpatrując się w niego z nienawiścią.

Komisarzowi zdała się olbrzymim dwumetrowym potworem gotowym na niego skoczyć.

Do walki jednak nie doszło.

Montalbano wrzasnął ze strachu, odskoczył w tył i potracił kuchenkę. Ekspres przewrócił się i kilka kropli wrzącej kawy sparzyło plecy komisarza, który krzycząc jak opętany, wybiegł z kuchni i w panice rzucił się do drzwi wejściowych, żeby uciec z domu. Na progu zderzył się z Adelina, która właśnie wchodziła.

Oboje się przewrócili, gospościa była przestraszona jeszcze bardziej od niego, widząc go w takim stanie.

– Co się stało, panie komisarzu, co się stało?

Nie mógł jej odpowiedzieć. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Leżąc jak długi na ziemi, dostał ataku śmiechu, aż łzy napłynęły mu do oczu.

Gospościa chwyciła ośmiornicę i zabiła ją sprawnie kilkoma uderzeniami w głowę.

Montalbano wziął prysznic i dał Adelinie opatrzeć oparzenia na plecach. Potem wypił odgrzaną kawę, ubrał się i przygotował do wyjścia.

– Mam włączyć telefon do sieci? – spytała Adelina.

– Tak.

Telefon natychmiast zaczął dzwonić. Odebrał. To była Livia.

– Dlaczego nie odebrałaś wcześniej? – spytała na dzień dobry.

– Kiedy wcześniej?

– Wcześniej.

Boże kochany, do tej kobiety trzeba było mieć naprawdę anielską cierpliwość!

– Mogę spytać, o której dzwoniłaś?

– Około siódmej.

Zaniepokoił się. Dlaczego zadzwoniła tak wcześniej? Czy coś się stało?

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

Do diabła z taką rozmową!

– Dlaczego zadzwoniłaś tak wcześniej?

– Bo jak tylko się obudziłam, moja pierwsza myśl pobiegła dziś ku tobie.

Nie wiedzieć czemu, Montalbana naszała chęć, żeby się z nią podroczyć, co mogło wywołać nieprzyjemne skutki.

– Innymi słowy – odpowiedział lodowatym tonem – bywają dni, kiedy wcale nie myślisz o mnie po przebudzeniu.

– No wiesz!

– Mówię całkiem poważnie. O czym zwykle myślisz, kiedy się budzisz?

– Przepraszam, Salvo, a gdybym ja zadała ci to pytanie?

Najwyraźniej Livia nie była jednak w nastroju do kłótni, bo mówiła dalej:

– Nie bądź głuptasem. Najlepsze życzenia.

Montalbana oblał zimny pot.

Nigdy nie pamiętał imienin, urodzin, rocznic, jubileuszy i innych głupot tego rodzaju. Miał w głowie kompletną pustkę.

Nagle doznał olśnienia: to musi być rocznica ich wieloletniego narzeczeństwa. Ile to lat minęło? Pewnie zbliżali się do srebrnych godów, jeśli takowe obchodzili również narzeczeni.

– I dla ciebie.

– Dlaczego dla mnie?

Z pytania Livii zrozumiał, że strzelił jak kulą w płot. Do cholery z takim zawracaniem głowy z samego rana!

To znaczy, że chodziło o coś, co dotyczyło tylko jego. Ale o co?

Lepiej zamknąć sprawę ogólnikowym podziękowaniem.

– Dziękuję!

Livia zaczęła się śmiać.

– O nie, mój drogi! Powiedziałeś dziękuję tylko na odczepnego. Założę się, że nawet nie pamiętasz, co dzisiaj za dzień!

To prawda. Nie wiedział.

Na szczęście na stoliku leżała wczorajsza gazeta. Wykręciwszy szyję, zdołał przeczytać datę: 5 września.

– Livio, naprawdę przesadzasz! Dzisiaj jest szósty...

I nagle go olśniło.

– Moje urodziny! – zawołał.

– No i widzisz, ile trzeba fatygi, żeby ci uświadomić, że dzisiaj kończysz pięćdziesiąt osiem lat? Może chciałeś o tym zapomnieć?

– Jak to pięćdziesiąt osiem, co ty mówisz?

– Salvo, przepraszam, czy nie urodziłeś się w 1950 roku?

– No właśnie. Dzisiaj kończę pięćdziesiąty siódmy rok życia i zaczynam pięćdziesiąty ósmy, który muszę dopiero przeżyć. Mam przed sobą dwanaście miesięcy i kilka godzin, jeśli już chcemy liczyć dokładnie.

– Jakież dziwne te rachunki.

– Jak to dziwne? Sama mnie tego nauczyłaś.

– Ja?!

– Tak, kiedy skończyłaś czterdzieści lat i ja ci...

– Kretyn – powiedziała Livia.

I odłożyła słuchawkę.

Boże święty, jeszcze dwa lata i stuknie mu sześćdziesiątka!

Nie będzie już mógł jeździć środkami transportu publicznego, bo jeszcze ktoś młodszy ustąpi mu miejsca.

Potem przyszło mu do głowy, że jednak będzie mógł nimi spokojnie jeździć, bo zwyczaj ustępowania miejsca starszym zupełnie zanikł.

Nikt już nie szanował starszych ludzi, raczej wyśmiewano ich i obrażano, jak gdyby młodzi, którzy ich wykpiwali i obrażali, sami mieli się nigdy nie zestarzeć.

Ale skąd przysły mu do głowy takie myśli? Czyżby uważał się za staruszka?

Teraz humor już zepsuł mu się do reszty.

Jechał od jakiegoś czasu drogą regionalną z normalną stałą prędkością, kiedy kierowca w samochodzie z tyłu zaczął na niego trąbić, domagając się, żeby dał się wyprzedzić.

Szosa była w tym miejscu węższa, bo trwały roboty drogowe. Zresztą poruszał się pięćdziesiątką, czyli z największą dopuszczalną prędkością na terenie zabudowanym, bo wjechał już do Vigaty.

Dlatego nie zszedł z kursu ani o milimetr.

Kierowca z tyłu dalej naciskał na klakson jak oszalały, po czym jego samochód z rykiem silnika wyskoczył do przodu i zrównał się z autem Montalbana, prawie

się o nie ocierając. Co ten kretyn zamierzał, czy chciał zepchnąć go z szosy?

Mężczyzna, na oko trzydziestolatek, wychylił się ku niemu przez okno i wrzasnął:

– Spieprzaj dziadu do przytułku!

A ponieważ jeszcze nie wyładował złości, złapał wielki klucz angielski i zamachał nim w kierunku komisarza.

– Rozwalę ci łeb, ty dumny staruchu!

Montalbano nie miał jak zareagować, za bardzo był zajęty utrzymaniem samochodu na drodze.

Zaraz potem auto trzydziestolatka, wielkie BMW, wyskoczyło do przodu i zniknęło po ryzykownym wyprzedzeniu całego sznura samochodów na prawym pasie szosy.

Montalbano posłał kierowcy życzenia, żeby jak najszybciej jego auto skończyło w rowie albo, jeszcze lepiej, w przepaści. I żeby zapaliło się i spłonęło.

Co się działo z tym krajem? W ostatnich latach chyba cofnął się do średniowiecza. Gdyby zdjąć z nas ubrania, może okazałoby się, że pod spodem nie różnimy się od ludzi pierwotnych z epoki kamienia łupanego.

Skąd tyle agresji? Dlaczego wszyscy się nienawidzą, sąsiedzi, koledzy w biurze, a nawet dawni przyjaciele ze szkoły?

Na przedmieściach Vigaty znajdowała się duża stacja benzynowa. Mijając ją, komisarz zobaczył, że stoi na niej BMW i tankuje paliwo.

Najpierw chciał pojechać dalej, miał jeszcze benzynę w baku, potem jednak zmienił zdanie. Chęć powetowania urazy, odegrania się na chamskim kierowcy za jego wcześniejsze zachowanie okazała się silniejsza.

Montalbano dodał gazu, wjechał na podjazd i zaparkował tuż przed BMW. Trzydziestolatek tymczasem zapłacił i wszedł do auta. Nie mógł jednak ruszyć, bo samochód Montalbana blokował mu wyjazd. Nie mógł się także cofnąć, z tyłu czekał już następny klient.

Nacisnął klakson i dał znak komisarzowi, żeby zjechał na bok. Montalbano udał, że silnik mu nie zapala.

– Niech mu pan powie, że muszę wyjechać! – zawołał trzydziestolatek do pracownika stacji.

Ten jednak poznał komisarza, stałego klienta, dlatego udał, że nie słyszy, i poszedł obsłużyć następne auto.

Trzydziestolatek, purpurowy ze złości, tocząc ślinę z ust, wysiadł i zbliżył się do Montalbana, trzymając w ręku klucz angielski. Podniósł go i z całą siłą

upuścił.

– Powiedziałem, że rozwalę ci łeb!

Klucz spadł jednak nie na głowę Montalbana, tylko na przednią szybę jego samochodu, która wygięła się i pękła. Trzydziestolatek podniósł znowu klucz i znieruchomiał.

We wnętrzu auta, na miejscu kierowcy siedział komisarz i celował w niego z rewolweru.

Policjant Gallo, wezwany przez właściciela stacji, zjawił się po dziesięciu minutach. Skuł kajdankami trzydziestolatka i wziął go do radiowozu.

– Zaprowadź go do celi. Każ mu dmuchać w balonik i niech zrobi wszystkie inne testy – zarządził komisarz.

Gallo ruszył z piskiem opon, uwielbiał szybką jazdę.

Montalbano dotarł do komisariatu i, jak zawsze tego dnia w roku, wzruszony Catarella rzucił się mu na powitanie z wyciągniętą ręką.

– Panie komisarzu, ja panu życzę wszelką szczęśliwość i uzdrowienie, i wiek najdłuższy!

Montalbano najpierw uściśnął mu rękę, potem, wiedziony jakimś nieoczekiwanym odruchem, przygarnął go do piersi.

Catarelli łzy stanęły w oczach.

Ledwie komisarz usiadł w gabinecie, zjawił się Fazio.

– Panie komisarzu, najlepsze życzenia ode mnie i od całego zespołu.

– Dziękuję. Siadaj.

– Nie mogę, muszę jechać do Piano Lanterna, do komisarza Augella, który prosił, żebym przekazał panu życzenia od niego.

– A co się stało?

– Dzisiaj w nocy było włamanie do supermarketu.

– Ukradli proszki do prania?

– Nie, wczorajszy utarg. Podobno dość duży.

– Ale czy nie zanoszą codziennie wieczorem pieniądze do banku?

– Zwykle tak, ale wczoraj z jakiegoś powodu tego nie zrobili.

– No dobrze, jedź, zobaczymy się później.

– Panie komisarzu, jeśli nie ma pan nic pilnego do zrobienia, to może przyniosłbym kilka dokumentów do podpisu.

Nie, tylko nie to! Nie w urodziny!

– Odłożmy to na inny dzień.

– Ale panie komisarzu, niektóre dokumenty czekają już od miesiąca!

– Ktoś się o nie upominał?

– Jeszcze nie.

– To po co ten pośpiech? Dzień w tę czy we w tę nie zrobi różnicy.

– Ale jeśli się o tym dowie ministerstwo do spraw reformy administracji, dobiorą się panu do skóry.

– Jedyną rzeczą, na której im zależy, to przyspieszyć obieg tej masy dokumentów, w dziewięćdziesięciu procentach kompletnie niepotrzebnych.

– Mnie się wydaje, że urzędnik państwowy nie powinien się zastanawiać, który dokument jest ważny, a który nie, ma je po prostu podpisać.

– Bo co, urzędnik państwowy to jakiś robot? Nie ma własnego rozumu? Jeśli wie, że te wszystkie papiery niczemu nie służą, dlaczego ma się nimi przejmować?

– To co należy zrobić pana zdaniem?

– Wyeliminować bezcelowe praktyki.

– Moim zdaniem tego się nie da zrobić.

– Niby dlaczego?

– Bo bezsensowne działania są częścią naszej natury.

Montalbano popatrzył ze zdziwieniem na Fazio. Nie podejrzewał go dotąd o skłonności do filozofowania.

Fazio mówił dalej:

– Panie komisarzu, a może najlepiej byłoby podpisać dokumenty etapami? Przyniosę panu ich ze dwadzieścia, wystarczy pół godzinki i będzie pan miał to z głowy.

– Niech będzie, ale przynieś ich najwyżej z dziesięć.

Właśnie skończył podpisywać papiery, kiedy zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, bo tutaj adwokat Numerant z panem osobiście we własnej osobie rozmawiać pragnie.

– Przełącz go.

– A tego uczynić nie mogę, panie komisarzu, bo rzeczony pan Numerant osobiście w miejscu już się znajduje.

– Dobrze, przyslij go do mojego gabinetu. Aha, poczekaj, czy on na pewno nazywa się Numerant?

– Ależ tak, panie komisarzu, z precyzyjną naukowością on się tak nazywa, może pan sobie za to dać rękę uciąć.

– Sam sobie daj za to rękę uciąć, Catarè.

Mężczyzna, który wszedł do gabinetu, mógł być rówieśnikiem Montalbana, różnił się jednak od niego tym, że był wysoki, szczupły, elegancko ubrany i powściągliwy w zachowaniu. Jedno, co było w nim irytujące, to to, że wylał na siebie chyba z pół litra jakiejś słodkawej wody kolońskiej, która przyprawiała o mdłości.

– Czy można? Nullo Meranti, adwokat.

Uścisnęli sobie ręce.

Całe szczęście, że gość nie dał komisarzowi dojść do słowa! Inaczej nazwałby go Numerantem i dopiero doszłoby do awantury.

– Proszę usiąść. Przepraszam na chwilę.

Komisarz wstał i poszedł otworzyć okno, bo inaczej chyba nie oddychałby przez całą rozmowę. Wziął głęboki wdech i zaczerpnął powietrza śmierdzącego spalinami, które i tak było jednak bardziej znośne od tych perfum. Wrócił i usiadł przy biurku.

– Słucham pana.

– Przyszedłem tu w sprawie mojego klienta.

Montalbano wytrzeszczył oczy.

– Jakiego klienta?

– Giovanniego Strangia.

– A kto to taki?

– Jak to kto? Przecież sam go pan aresztował godzinę temu.

Wszystko stało się jasne. Klientem adwokata musiał być rozjuszony trzydziestolatek. Ale jak skontaktował się ze swoim prawnikiem?

– Przepraszam, ale jak się pan dowiedział...

– Mój klient do mnie zadzwonił.

– Zadzwonił? Skąd?

– Jak to skąd? Z celi! Z komórki.

Najwyraźniej Gallo nie pomyślał o zabranii aresztowanemu telefonu. Montalbano przyrzekł sobie, że zmyje mu głowę.

– Niestety nie przesłuchałem jeszcze pańskiego klienta.

Komisarz podniósł słuchawkę.

– Catarella, przyślij mi tu Galla.

Gdy tylko Gallo zjawił się w gabinecie, Montalbano spytał:

– Kazałeś mu dmuchać w balonek?

– Ma pan na myśli balonik, panie komisarzu?

– Jak go zwał, tak go zwał.

Przez moment miał wrażenie, że stał się drugim Catarellą.

– Wynik negatywny, panie komisarzu.

– A pozostałe badania?

– Pobrano próbkę krwi, którą przesłaliśmy do analizy do Montelusy.

– Prawo jazdy, dowód rejestracyjny pojazdu, ubezpieczenie, dokumenty w porządku?

– Tak jest.

– Dobrze, to wszystko. Aha, poczekaj, zabrałeś mu telefon?

Gallo walnął się w czoło.

– O cholera!

– To zabierz mu teraz. Potem porozmawiamy na ten temat w cztery oczy.

Gallo wyszedł.

– Zobaczysz pan, że badania toksykologiczne także dadzą wynik negatywny – powiedział adwokat.

– Skąd pan wie?

– Bo znam mojego klienta. Nie bierze i nigdy nie brał narkotyków.

– Bo jest oszołomem z natury? – spytał komisarz.

Adwokat rozłożył ręce.

– Widzi pan, już mu się zdarzały podobne historie.

– Chce pan przez to powiedzieć, że klucz angielski to jego ulubione narzędzie?

Adwokat jeszcze raz rozłożył ręce.

– Jest trochę niezrównoważony.

Mimo otwartego okna w pokoju niestety zbierał się zapach tego słodkawego świństwa, które doprowadzało Montalbana do szału. Prawdopodobnie z tego powodu odpowiedział mecenasowi z przesadną emfazą:

– Zdaje pan sobie sprawę, że ten Strangio to potencjalny morderca? Pirat drogowy? Jeden z tych, którzy uciekają z miejsca wypadku i nie zatrzymują się, aby udzielić pomocy poszkodowanym?

– Teraz to pan trochę przesadza.

– Sam pan powiedział, że on jest niezrównoważony.

– Tak, ale to nie znaczy, że należy w nim widzieć potencjalnego mordercę! Panie komisarzu, mówię to z ręką na sercu. Nie sprawia mi żadnej przyjemności reprezentowanie klienta takiego jak Giovanni Strangio.

– To dlaczego pan to robi?

– Bo jestem adwokatem jego ojca, który poprosił mnie...

– A kim jest jego ojciec?

– To Michele Strangio, prezydent regionu.

Komisarzowi nagle rozjaśniło się w głowie.

Przed wszystkim zrozumiał, dlaczego takiemu typowi jak Giovanni Strangio nie odebrano jeszcze prawa jazdy.

– Przyszedłem tutaj – kontynuował adwokat – poprosić pana o zamknięcie tej sprawy.

– O, ja tego pana zamknę z całą przyjemnością, czy wyrażam się jasno?

Co mu strzeliło do głowy, żeby mówić w taki sposób? Czy ten nieszczęsny zapach perfum wyzwolił w nim jakieś dzikie instynkty?

– Niech pan da temu spokój – nalegał Nullo Meranti – a my ze swojej strony zapomnimy o prowokacji.

– O jakiej prowokacji?

– Pańskiej. Na stacji benzynowej. To pan zrobił specjalnie manewr, żeby uniemożliwić mojemu klientowi odjechanie ze stacji. Wtedy on się trochę zdenerwował...

To akurat była prawda. Co mu strzeliło do głowy, żeby się wpakować w kłótnię z trzydziestolatkiem?! Teraz jedynym wyjściem było bronić się, kłamiąc w żywe oczy. Najpierw jednak musiał się trochę uspokoić. Przeprósł znowu adwokata, wstał, podszedł do okna, oczyścił płuca kilkoma głębokimi wdechami i wrócił do biurka.

– Tylko to panu powiedział pański klient?

– A zdarzyło się coś jeszcze?

– A jakże! Przede wszystkim z mojej strony nie było żadnej prowokacji. Zorientowałem się, że kończy mi się benzyna i zawróciłem na stację z niewłaściwej strony. Chciałem ruszyć z miejsca, ale silnik mi nie zapalił. Mój samochód jest bardzo stary. A swoją drogą, czy klient przyznał się panu do tego, że pięć minut wcześniej usiłował zepchnąć mnie z szosy?

Adwokat uśmiechnął się lekko.

– Co do zdarzenia na stacji mamy świadka, jej właściciela.

– Przecież właściciel stacji będzie mógł tylko zeznać, że mój samochód nie ruszył! Z całą pewnością nie może powiedzieć, że zrobiłem to umyślnie! Natomiast ja mam dwóch świadków na to, że pana klient chciał mnie zepchnąć z szosy!

– Doprawdy?

Pytanie adwokata było najwyraźniej ironiczne.

Wobec tego Montalbano uznał, że musi pójść na całość i zablefować w wielkim stylu. Patrząc adwokatowi w oczy, otworzył szufladę biurka, wyciągnął na chybił trafił dwie kartki i zaczął czytać:

– Ja, Antonio Passaloca, syn Carmela i Agaty Cognigliaro, urodzony w Vigacie 12 września 1950 roku i zamieszkały tamże na ulicy Martiri di Belfiore numer 18, oświadczam, co następuje: dzisiaj rano około godziny dziewiętej, kiedy jechałem drogą regionalną w stronę Vigaty...

– Dobrze, już dobrze – przerwał adwokat.

Pan mecenas dał się nabrać. Montalbano włożył kartki z powrotem do szuflady. Udało się!

– Zgoda. Nie będę się upierał przy prowokacji.

Adwokat nachylił się do komisarza, opierając ręce na biurku. Gdy wykonywał ten ruch, fala słodkich perfum popłynęła w stronę Montalbana, dotarła do jego nozdrzy i głębiej, do ust i żołądka, aż naszły go mdłości.

– Proszę jednak pana, panie komisarzu, o wyrozumiałość. Zresztą, jeśli my, ludzie w pewnym wieku, nie będziemy wyrozumiali, to kto...

Powiedział dokładnie to, czego nie powinien był powiedzieć. Walczący z młodościami Montalbano na wzmiankę o swoim wieku nie zdzierzył. Twarz mu poczerwieniała ze złości.

– Ja mam być wyrozumiały? Bo jestem w podeszłym wieku? Ja dla pańskiego klienta zażądam najwyższej kary! Najwyższej kary!

Zaniepokojony adwokat wstał z krzesła.

– Panie komisarzu, czy dobrze się pan czuje?

– Czuję się świetnie, znakomicie! Jeszcze pan zobaczy, jak się czuję!

Montalbano otworzył drzwi i wrzasnął:

– Gallo!

Wezwany przybiegł w popłochu.

– Weź aresztowanego i zabierz go do więzienia w Montelusie. Natychmiast!

Potem odwrócił się do adwokata i dodał:

– Nic tu po panu.

– Do widzenia – powiedział chłodno Nullo Meranti, wychodząc z gabinetu.

Komisarz zostawił okno otwarte, żeby przewietrzyć pokój.

Potem usiadł i zaczął pisać akt oskarżenia. Umieścił w nim z dziesięć różnych wykroczeń. Potem podpisał dokument i wysłał do prokuratora.

Giovanni Strangio się doigrał.

Okolo południa zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu? Bo tu by był pan Borsuchino, który osobiście z panem we własnej osobie rozmawiać pragnie.

Montalbano nie chciał ryzykować.

– Catarè, czy to już drugi raz?

– A pierwszy to co to było, panie komisarzu?

– Za pierwszym razem adwokat nazywał się Nullo Meranti, a nie Numerant.

– A co ja powiedziałem? Przecież powiedziałem, że Numerant!

No i jak tu z takim się dogadać?

– Jesteś pewien, że ten tutaj nazywa się Borsuchino?

– W całkowitej pewności jestem, panie komisarzu. Rękę sobie ucinam.

– Powiedział ci, czego chce?

– Powiedzieć nic nie chciał, panie komisarzu, ale mi się z głosu zdał bardzo wyburzony. Jak lew równikowy, co ryczy.

Komisarzowi bardzo się nie chciało odbierać telefonu, ale zwyciężyło poczucie obowiązku.

– Halo, pan Borsuchino? Mówi komisarz Montalbano.

– Borsuchino? Czy pan też się ze mnie nabija?! – krzyknął rozwścieczony głos w słuchawce. – Nazywam się Borsellino! Guido Borsellino!

No tak, to nauczka, żeby nigdy, przenigdy nie ufać Catarelli, jeśli chodzi o nazwiska.

– Bardzo mi przykro, proszę mi wybaczyć, nasz dyżurny w centrali musiał źle usłyszeć. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

– Oskarżają mnie tu o niestworzone rzeczy! Traktują jak złodzieja! Pan jest ich zwierzchnikiem, domagam się natychmiastowych przeprosin!

Przeprosin? Słowo to podziałało na komisarza jak płachta na byka.

– Proszę posłuchać, panie Borsu... Borsellino, niech pan weźmie zimny prysznic, uspokoi się, a potem zadzwoni znowu.

– Ja nie...

Komisarz odłożył słuchawkę.

Nie minęło nawet pięć minut i telefon odezwał się ponownie. Tym razem był to Fazio.

– Bardzo przepraszam, panie komisarzu, ale...

Najwyraźniej ciążyła mu ta prośba.

– No powiedz.

– Czy mógłby pan przyjechać do supermarketu?

– A co się dzieje?

– Kierownik sklepu strasznie się rzuca, bo komisarz Augello zadał kilka pytań, które mu się nie spodobały. Oświadczył, że będzie rozmawiał tylko w towarzystwie swojego adwokata.

– Czekaj, czy ten kierownik nie nazywa się Borsellino?

– Tak.

– Dopiero co i mnie zawracał głowę.

– To co, panie komisarzu, przyjedzie pan?

– Będę za dziesięć minut.

W drodze do Piano Lanterna Montalbano przypomniał sobie, że po miasteczku krążyły pogłoski, że właściciel supermarketu to figurant, bo tak naprawdę za

inwestycją stoi rodzina Cuffaro, która, wraz z konkurencyjnym klanem Sinagra, podzieliła się strefami wpływów w Vigacie.

Przejeżdżał właśnie przez tę część Piano Lanterna, gdzie wybudowano cztery paskudne miniwieżowce, a raczej parodie bloków, do których wprowadzili się mieszkańcy centrum miasteczka, przynoszący się masowo na wyżynę.

Jeśli wierzyć dawnym fotografiom i opowieściom dyrektora Burgio, starego przyjaciela komisarza, kiedyś stały tu, wzdłuż drogi prowadzącej na cmentarz, tylko dwa rzędy domów. Wokół było mnóstwo miejsca do gry w bule, urządzano tu mecze piłkarskie, niedzielne wycieczki i wielkie bijatyki między skłóconymi rodzinami.

Teraz wszystko pochłonęło morze cementu, było to coś w rodzaju kasby, nad którą górowały pseudowieżowce.

Supermarket był zamknięty, policjant pilnujący wejścia zaprowadził komisarza do biura kierownika.

Po drodze Montalbano zobaczył Fazia przesłuchującego ekspedientki.

W biurze Mimì Augello siedział na krześle przed biurkiem, za którym zabarykadował się bardzo chudy pięćdziesięciolatek, z głową łąsą jak kolano i okularami o grubych szklach na nosie. Z oczu ciskał gromy.

Gdy tylko zobaczył wchodzącego komisarza, skoczył na równe nogi.

– Żądam adwokata!

– Oskarżyłeś o coś pana Borsellina? – spytał komisarz swojego zastępcę.

– O nic go nie oskarżyłem – odpowiedział szybko Mimì. – Zadałem mu kilka prostych pytań, ale on...

– Proste pytania, akurat! – parsknął Borsellino.

– ...poczuł się urażony. A przecież to on zgłosił kradzież.

– A dlaczego, kiedy ktoś wam zgłasza kradzież, oskarżacie go, że to on jest złodziejem?

– Nic takiego nie powiedziałem – zaznaczył Mimì. – Sam pan wyciągnął takie wnioski.

– Dziwi się pan?

– Przepraszam – wtrącił się Montalbano – chciałbym zrozumieć sytuację. Czy może mi pan powtórzyć to, co opowiedział komisarzowi Augello? Jak pan odkrył kradzież?

Borsellino najpierw odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, potem zaczął mówić:

– Wczoraj wieczorem był dzień promocji na wiele towarów i mieliśmy duży utarg.

– Ile?

Kierownik popatrzył na kartkę leżącą na biurku.

– Szesnaście tysięcy siedemset dwadzieścia osiem euro i trzydzieści centów.

– Dobrze. Gdzie pan przechowuje utarg? Czy codziennie wieczorem oddaje go pan do depozytu bankowego?

– Oczywiście.

– Dlaczego wczoraj pan tego nie zrobił?

– Matko święta, przecież wyjaśniłem to już temu drugiemu panu! Ile razy mam się powtarzać?!

– Już powiedziałem przez telefon, że powinien się pan uspokoić. W swoim własnym interesie.

– Do czego pan pije?

– Złość jest złym doradcą. Kiedy ktoś się zdenerwuje, może mu się wyrwać coś, czego potem będzie żałować.

– Właśnie dlatego chcę mojego adwokata!

– Proszę pana, nikt pana o nic nie oskarża, dlatego nie trzeba tu żadnego adwokata. Niech pan nie będzie śmieszny! Wie pan, co powiem?

Nie powiedział tego jednak od razu. Zaczął się przyglądać znaczkowi na kopercie leżącej na biurku.

– No, co takiego? – spytał kierownik.

Montalbano odłożył kopertę na miejsce i popatrzył na niego.

– Pan wygląda mi nie tyle na zdenerwowanego, ile przestraszonego tą kradzieżą.

– Ja?! A niby dlaczego?

– Nie wiem, to tylko takie moje wrażenie. Rozmawiamy dalej, czy przeniesiemy się do komisariatu?

– Możemy rozmawiać tutaj.

– Pytałem, dlaczego wczoraj nie wpłacił pan pieniędzy do banku.

– Ach, tak. Kiedy przyjechałem z utargiem, na wpłatomacie wisiała kartka „nieczynny”. Co miałem zrobić? Wróciłem tutaj, włożyłem pieniądze do szuflady biurka, zamknąłem ją na klucz i pojechałem od razu do domu. Dzisiaj rano, jakąś godzinę po przyjeździe do pracy, zorientowałem się, że wyważono szufladę

i opróżniono ją z pieniędzy. Zadzwoiłem natychmiast do komisariatu i tak mnie potraktowano!

Montalbano zwrócił się do Augella:

– Dzwoniłeś do banku?

– Oczywiście. Powiedzieli, że wpłatomat wczoraj wieczorem działał i nic nie wiedzą o żadnej kartce.

– Przysięgam na duszę mojej zmarłej matki, że ta kartka tam była! – zaprotestował Borsellino.

– Nie wątpię w to – powiedział Montalbano.

Tamten wytrzeszczył oczy.

– Wierzy mi pan?

Montalbano nie odpowiedział, podszedł, by się przyjrzeć, w jaki sposób udało się otworzyć zamek w szufladzie. Nie wymagało to specjalnego wysiłku, wystarczyła zwykła spinka do włosów.

W środku, na stosie rachunków leżało trzydzieści centów.

– I jakie to pytania zadałeś panu Borsellino, że tak bardzo się zdenerwował? – Montalbano spytał Augella.

– Zapytałem tylko, czy biorąc pod uwagę to, że nikt poza nim nie wiedział o pieniądzach w szufladzie i że nie ma żadnych śladów włamania na zewnętrznych drzwiach do sklepu, może mi powiedzieć, kto jego zdaniem mógł się dostać do biura i skąd ten ktoś mógł wiedzieć, że nie oddano utargu do depozytu.

– To wszystko?

– To wszystko, nic mniej i nic więcej.

– I tak pana wzburzyło to najzupełniej zrozumiałe pytanie?

– Nie oburzyły mnie słowa, ale spojrzenie!

– Spojrzenie?

– Tak, proszę pana, spojrzenie! Kiedy zadawał mi pytanie, patrzył na mnie, jak gdyby chciał powiedzieć: wiem, że ta kradzież to twoja sprawka, nie opowiadaj mi bajek.

– Ależ nic podobnego – oświadczył Augello. – To chyba mu się przyśniło.

Komisarz przybrał namaszczonego wyraz twarzy jak biskup rozsądający spory wiernych.

– Widzi pan, jest pan zdenerwowany, to naturalne, wstrząsnęła panem ta kradzież, ale nie można się tak dawać ponosić nerwom. Jest pan zapalczywy i ma

skłonność do patrzenia podejrzliwie na każdy gest i słowo, choćby najbardziej niewinne. Niech pan spróbuje się uspokoić i odpowie na moje pytanie: kto ma klucze do supermarketu?

– Ja.

– Nie ma zapasowych?

– Jest tylko jeden rezerwowy komplet. Ale przechowuje go rada zarządzająca spółką.

– Rozumiem. A pan co o tym myśli?

– O czym?

– Że na zewnętrznych drzwiach nie było śladów włamania.

– Bo ja wiem?

– Zapytam inaczej. Czy to możliwe, że złodzieje dostali się do środka, używając zapasowych kluczy?

Kierownik zastanawiał się przez chwilę.

– No cóż, to możliwe.

– Tych, które przechowuje rada zarządzająca?

Na to pytanie Borsellino aż podskoczył na krześle. Zbladł jak trup i zaczęły mu się trząść ręce. Zauważył to i schował je do kieszeni.

– Kto tak powiedział?

– Jak to kto? Pan!

– Ależ nic podobnego, ja nic takiego nie powiedziałem! Nic nie powiedziałem, pan Augello świadkiem!

– Proszę mnie w to nie wciągać – powiedział Mimì. – Zgadza się z komisarzem: sam pan to powiedział.

– Czyli życzyście mi śmierci! – krzyknął Borsellino, który teraz zaczął pocić się jak w sierpniowym słońcu. – Powiedziałem tylko, że może weszli, używając zapasowych kluczy, ale nie miałem na myśli tych, które przechowuje rada, tylko inne!

– To znaczy, że skłamał pan, mówiąc, że istnieje jeden zapasowy komplet kluczy, bo są co najmniej dwa! – powiedział Montalbano.

Borsellino wyciągnął rękę z kieszeni i przyłożył ją do czoła, jak gdyby strasznie rozboleła go głowa.

– Nie, nie, nie! Chcecie, żebym dostał pomieszania zmysłów! Chcecie mnie skazać na śmierć! Powiedziałem i powtarzam, że złodzieje mogli użyć kluczy, które sami dorobili.

– Proszę wybaczyć, ale muszę dopytać – powiedział Montalbano. – Żeby dorobić zapasowe klucze, potrzebny jest oryginał. Zgadza się? A zatem, logicznie rozumując, albo pan sam pożyczył klucze złodziejom, albo zrobił to ktoś z rady zarządzającej. Co pan na to powie?

– Chcę adwokata!

Montalbano wydał z siebie westchnienie z nutą zniecierpliwienia.

– Mimì, trudno, nic tu po nas, wracamy do komisariatu.

Augello podniósł się bez słowa.

Borsellino, oniemiały, najpierw gapił się na nich, potem zaczął protestować.

– Jak to? Dlaczego?

– Proszę pana – odpowiedział Montalbano, także zmierzwiwszy go spojrzeniem – powiem szczerze, że pana nie rozumiem. Najpierw żądał pan adwokata, a teraz

nie chce, żebyśmy sobie poszli. Rozumiem doskonale, że czuje się pan bezpieczniej w naszej obecności, ale niestety nie możemy się tu dłużej zatrzymać. Chodźmy, Mimì.

Borsellino nie zamierzał pozwolić im odejść.

– Przepraszam, dlaczego miałbym się czuć bezpieczniej w obecności panów?

Montalbano podniósł oczy ku niebu.

– Do pana to trzeba mieć anielską cierpliwość. Dopiero co oskarżył nas pan, że chcemy pańskiej śmierci. Widać wyraźnie, że jest pan przerażony. Po prostu wyciągnąłem z tego wnioski. Dopóki tu jesteśmy, nikt panu nic nie może zrobić. Mam rację?

– A co, pana zdaniem, mogłoby mi grozić?

Borsellino przeszedł od przerażenia do brawury. Musiał mieć naprawdę niezły bigos w głowie.

– W każdym razie – ciągnął dalej komisarz – pańskie zgłoszenie zostało zaprotokołowane?

– Tak, ale...

– Zawiadomił pan o kradzieży prezesa rady zarządzającej?

– Jeszcze nie.

Montalbano udał wielkie zdziwienie.

– Ach, tak? To bardzo dziwne.

– Dlaczego?

– Bo to pierwsza rzecz, którą powinien pan być zrobić, jeszcze zanim zadzwonił pan na policję.

– Zrobię to zaraz...

– To i tak już może być za późno. Odwlekanie chwili wyjaśnień na nic się nie zda.

Borsellino znowu pobladł.

– Przecież od razu zadzwoniłem na policję!

– Ale my to nie oni, chyba pan to rozumie?

Teraz Borsellino zrobił się zupełnie siny i ręce znowu zaczęły mu drżeć.

– O...oni, czyli kto?

– Oni – odpowiedział wymijająco komisarz. – Wie pan doskonale, o kogo chodzi. I będę zadawać takie pytania, że w porównaniu do nich moje i te komisarza Augella wydadzą się panu niewinnym żartem.

Borsellino wyciągnął chusteczkę z kieszeni i starł nią sobie pot z czoła. Szklą okularów zaszczyła parą i zaczęło mu kapać z nosa.

Montalbano jeszcze mu dołożył.

– I może być pan pewien, że oni nie zawołają pańskiego adwokata.

Wydał z siebie chichot wygłodniałej hyeny na pustyni i dodał:

– Być może wezwą za to proboszcza, żeby dał panu ostatnie namaszczenie. Nie zazdroszczę panu. Do widzenia.

I udał, że wychodzi.

– Proszę... proszę poczekać – wykrztusił z siebie Borsellino, opadając bezwładnie na krzesło. – Przysięgam panu na duszę mojej matki, że to nie ja ukradłem...

– Ależ wiem to doskonale! – zawołał komisarz. – Nie jest pan tak głupi, żeby kraść pieniądze rodzinie Cuffaro. Jednak w jakiś sposób ułatwił pan zadanie przestępcy. On nie może być zwykłym złodziejem, tacy wiedzą, że Cuffarom lepiej się nie narażać, musi to jednak być ktoś, kto mógł bez problemów wziąć na godzinę drugie klucze, te, które przechowuje rada zarządzająca, dorobić kopię i odłożyć je na miejsce tak, żeby nikt się nie zorientował. Innymi słowy, to ktoś z rodziny, kto znalazł się w potrzebie finansowej i przywłaszczył sobie część pieniędzy należących do spółki. Zdrajca. I skończy tak jak wszyscy, którzy zdradzają rodzinę.

Teraz Borsellino, z głową opuszczoną na piersi, z trudem powstrzymywał łzy.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział Montalbano, wychodząc z biura.

– Gratulacje, panie komisarzu, mistrzowskie przesłuchanie, jak z podręcznika – powiedział Augello, gdy znaleźli się na zewnątrz. – Ale dlaczego nie naciskał pan dalej? On już się zupełnie rozsypał.

– Po pierwsze, bo zrobiło mi się go żal. Po drugie, bo nazwiska człowieka, który zmusił go do zrobienia tego, co zrobił, nie wyjawi za nic w świecie, choćby na torturach.

Dołączył do nich Fazio.

– Przyznał się?

– Nie, ale niewiele brakowało.

– Kto wie, jak go zmusili do współpracy.

– Zapewne szantażem. Fazio, dowiedz się o Borsellinie wszystkiego, ile dasz radę.

– Mimo wszystko – powiedział Mimì – coś mi się tu nie zgadza.

– To znaczy?

– Dlaczego użyli zapasowych kluczy? Skoro już zrobili przedstawienie z fałszywą kartką i wyłamaną szufladą, to powinni byli udać, że wyłamali też zamek od zewnętrznych drzwi. A tak sami nas naprowadzili na trop, że ktoś wziął klucze należące do rady, przy cichej zgodzie kierownika. To był wielki błąd!

Montalbano popatrzył na niego uważnie.

– Sądzisz, że to był błąd?

Augello stracił rezon.

– Masz inną hipotezę?

– Ściśle mówiąc, niejasne podejrzenie.

– A mianowicie?

– Moim zdaniem brak śladów sforsowania zewnętrznych drzwi zaskoczył także kierownika. Nie spodziewał się tego. Był umówiony ze złodziejem, że to ma wyglądać na prawdziwe włamanie. To dlatego był taki wystraszony.

– Ale o co w tym wszystkim chodzi?

– Tego jeszcze nie wiem. Teraz idę coś zjeść, zobaczymy się po obiedzie.

– Coś późno pan dzisiaj przyszedł – zauważył Enzo na widok Montalbana wchodzącego do lokalu.

Komisarzowi ścisnęło się serce.

– Nic już nie zostało? Klienci wszystko zjedli?

– Niech się pan nie martwi, dla pana zawsze coś się znajdzie.

Przystawka z owoców morza (podwójna porcja), makaron z jeżowcami (półtorej porcji), solone barweny (sześć sporych ryb).

Poprosił o rachunek, z okazji urodzin pozwolił sobie na wyjątkowo obfity posiłek. Tymczasem, gdy już wstawał od stołu, zobaczył Enza niosącego mały tort, akurat dla jednej osoby.

– Proszę przyjmą ode mnie najserdeczniejsze życzenia, panie komisarzu.

Zrozumiał, że nie może mu zrobić przykrości odmową, musiał zjeść deser, przez co przestał czuć w ustach cudowny smak barwen.

Humor zepsuły mu wetknięte w tort dwie świece, które razem układały się w liczbę 58.

Najwyraźniej Enzo dorównywał w rachunkach Livii.

Przechadzka na molo okazała się więc konieczna nie tylko po to, by stawić obiad, ale także, by pozbyć się złego humoru z powodu liczby na torcie.

*

Gdy tylko wrócił do komisariatu i usiadł w gabinecie, zjawił się Gallo.

– Panie komisarzu, chciałem poinformować, jak skończyła się sprawa Giovanniego Strangia.

– Mów.

– Kazał mi pan zawieźć go do aresztu w Montelusie, ale kiedy tam przyjechałem, powiedziano mi, że mam go zabrać do prokuratora.

– Kto jest prokuratorem?

– Pan Seminara.

Montalbano się skrzywił. Było tajemnicą poliszynelem, że prokurator Seminara łatwo ulega naciskom pewnych kręgów politycznych. Najwyraźniej adwokat Nullo Meranti zdążył go uprzedzić.

– I co zrobił prokurator?

– Wypuścił go na wolność.

– Przeczytał raport, który mu przesłałem?

– Tak. Leżał na jego biurku.

– I mimo to go zwolnił?

Gallo rozłożył ręce.

– No dobrze, dziękuję.

Gallo nie zdążył jeszcze wyjść, kiedy zadzwonił telefon.

– Oj, panie komisarzu, oj, panie komisarzu, oj!

Typowa litania Catarelli, zawsze kiedy dzwoni sam naczelnik policji.

– Powiedz mu, że nie ma mnie w biurze.

– Ale panie komisarzu, bo on wyzełłaszczony jest taki straszliwie!

– To rozzłość go jeszcze bardziej.

– O Matko święta, panie komisarzu, on mnie zeżre na żywca, nawet przez telefon!

Fazio wrócił o szóstej po południu.

– Czego się dowiedziałeś na temat Borsellina?

Fazio usiadł i wyciągnął z kieszeni kartkę.

– Ostrzegam cię – powiedział komisarz – że jeśli teraz zaczniesz mi odczytywać z kartki imiona rodziców, datę i miejsce urodzenia Borsellina, wyrwę ci ją z ręki, zgniotę w kulkę i każę połknąć.

– Jak pan uważa – odpowiedział Fazio, trochę zrezygnowany, a trochę urażony. Złożył kartkę i wsunął ją z powrotem do kieszeni.

Cierpiał na obsesję, którą komisarz nazywał „syndromem rejestracyjnym”. Jeśli Montalbano chciał na przykład się dowiedzieć, co jakiś typ robił o jedenastej rano poprzedniego dnia, Fazio w swoim raporcie zaczynał od daty urodzenia podejrzanego, imion jego rodziców, miejsca ich zamieszkania i tak dalej.

– No więc? – ponaglił go komisarz.

– Wdowiec, pięćdziesiąt lat, bezdzietny, nic nie wiadomo o jakichś jego nałogach czy historiach z kobietami – odpowiedział Fazio z demonstracyjną lakonicznością.

– A w mieście co o nim mówią?

– Że powierzono mu kierownictwo supermarketu za poręczeniem posła Mongibella.

Posel Gaetano Mongibello, były liberał, niegdysiejszy chrześcijański demokrat, po pewnej przerwie dostał się w ostatnich wyborach do parlamentu jako przedstawiciel partii rządzącej, tej, która bardzo się starała robić różne rzeczy na siłę. Oprócz tego był od dawna zaufanym adwokatem rodziny Cuffaro.

– No dobrze, a czym Borsellino zajmował się przedtem?

– Pracował w Sicudianie jako księgowy w jakiejś małej spółce należącej do Cuffarów.

– Czyli był ich człowiekiem?

– Na to wygląda.

– Przepraszam, mógłbyś się dowiedzieć, kto wchodzi w skład rady zarządzającej...

– Już to zrobiłem.

Teraz Fazio mógł się odegrać na komisarzu i to przywróciło mu dobry humor.

– To kto to jest?

– Panie komisarzu, zapisałem nazwiska na kartce. Mogę ją wyjąć?

Montalbano musiał przełknąć tę ironię podwładnego.

– Niech będzie.

– Członkowie rady zarządzającej to: Farruggia Angelo, Tridicino Filippo, Proscuto Gerlando i Lauricella Calogero. Dwaj pierwsi to osiemdziesięcioletni emerytowani kolejarze, Proscuto pracuje jako operator w kinie, a Lauricella był wcześniej magazynierem na targu rybnym. Sami figuranci.

– A kto jest prezesem?

– Poseł Mongibello.

Montalbano wytrzeszczył oczy.

– Ciekawe, czemu wystawił się na widok publiczny.

– Może w radzie zarządzającej potrzebna była przynajmniej jedna osoba, która umie pisać i czytać.

Nakrył stół na werandzie, wyciągnął z lodówki talerz z wielką porcją ośmiornicy, wyniósł ją na dwór, doprawił czosnkiem i cytryną. Zaczął jeść z pewną satysfakcją, to była jego zemsta za atak paniki, który przeżył rano. Ośmiornica rozplątywała się w ustach, Adelina przeszła samą siebie.

Nagle przypomniało mu się, że wyczytał kiedyś w książce jakiegoś naukowca o nazwisku Alleva, zajmującego się badaniem zwierząt, że ośmiornice są bardzo inteligentne. Zastygł na chwilę z widelcem zawieszonym nad talerzem. Potem uznał, że nieuchronnym przeznaczeniem istot inteligentnych jest to, że padają one ofiarą sprytnych kretynów. Bez oporów sam uznał się za takiego kretyna i wrócił do jedzenia.

Zresztą ośmiornica była ciężkostrawna, więc należało liczyć się z tym, że tym razem ona się zemści, nie pozwalając mu zasnąć w nocy, co będzie można uznać za wyrównanie rachunków.

Ledwo sprzątnął ze stołu i miał właśnie spokojnie zapalić papierosa, kiedy zadzwonił telefon. Instynktownie sprawdził godzinę. Dziewięta trzydzieści, za wcześnie na Livię.

– Oj, panie komisarzu, panie komisarzu. Ja się dopraszam przebaczenia za przeskodę! A co pan robił, jadł sobie?

– Tak, ale nic nie szkodzi, powiedz, co się stało.

– No bo telefoniła teraz pani, i ona rzekła, że jest spluwaczką, ale nie od nas, tylko od supermarketu w Piano Lanterna.

– Catarè, masz na myśli sprzątaczkę, prawda?

– No przecie powiedziałem!

– Dobrze, dajmy spokój. Czego chciała?

– Powiedziała, że Borsuchino, on się powiesił.

Dla Montalbana nie było to niespodzianką, w głębi duszy czegoś takiego się spodziewał.

– Fazio jest jeszcze w komisariacie?

– Nie, panie komisarzu, on się ruszył na miejsce z Gallem.

Kiedy komisarz dotarł do supermarketu, byli tam już dziennikarze i może z pięćdziesięciu gapiów, których Gallo i inni policjanci nie dopuszczali do miejsca zdarzenia.

W budynku zastał Fazia, który siedział naprzeciwko roztrzęsionej czterdziestolatki w rozpiętej bluzce. Jedna z koleżanek trzymała na czole kobiety wilgotną szmatkę, druga wachlowała jej twarz gazetą.

Czterdziestolatka co chwila uderzała się w piersi i powtarzała:

– Matko Boska, jak się przestraszyłam. Nieżywa jestem ze strachu!

– To ona odkryła ciało? – spytał komisarz.

– Tak. Ale do nas zadzwoniła tamta.

I wskazał na opartą o ladę drobną trzydziestolatkę, która ścisnęła w ręce miotłę.

– Zawiadomiłeś prokuratora i doktora Pasquana?

– Tak jest.

– Komisarz Montalbano.

– Nazywam się Graziella Cusumano.

– Może mi pani powiedzieć, jak odkryłyście...

– Przychodzimy tu codziennie o dziewiątej wieczorem. Pukamy do tylnych drzwi i kierownik przychodzi nam otworzyć. Ale dzisiaj pukałyśmy i pukałyśmy, i nikt nie przyszedł.

– Czy coś takiego już się kiedyś zdarzyło?

– Nie, proszę pana, nigdy.

– Proszę mówić dalej.

– No to pomyślałyśmy, że może kierownik poszedł do domu, może się źle poczuł z powodu tej kradzieży...

– Kto pani powiedział o kradzieży?

– Ależ panie komisarzu, całe miasteczko tylko o tym mówi! Zadzwoiłam do kierownika na komórkę, ale nie odebrał i to już wydało mi się dziwne. No to na wszelki wypadek zadzwoniłam do biura spółki, do Filippa Tridicina, który jest moim dalekim krewnym, i wyjaśniłam mu sytuację. Filippo przyjechał tu na miejsce z kluczami i otworzył drzwi. Filumena, która odpowiada za sprzątanie biura kierownika, poszła tam. Zobaczyła wisielca i zemdlą. Wtedy zadzwoniłam do was.

– O której zamykają supermarket?

– O ósmej. Ale dzisiaj już nie otworzyli go po przerwie obiadowej.

– Dlaczego?

– Skąd mam wiedzieć? Mnie zawiadomiła kuzynka, która tu pracuje jako ekspedientka. Kierownik powiedział pracownikom, że po południu supermarket będzie zamknięty.

– Dziękuję – powiedział Montalbano i poszedł do biura.

Borsellino postawił krzesło na biurko, przywiązał jeden koniec liny do belki pod sufitem, drugi owinął sobie wokół szyi, potem kopnął krzesło i do widzenia.

Montalbano usiadł, zapalił papierosa i zaczął się przyglądać wisielcowi, który kołysał się odrobinę w lewą stronę, trącany jakimś lekkim powiewem powietrza.

Przyszedł Fazio.

– Zebrałem zeznania od wszystkich sprzątaczek. Czy mogę je puścić do domu?

– Dobrze.

Kwadrans później zjawił się doktor Pasquano, jak zwykle wściekły.

– Jechałem do klubu, gram dzisiaj ważną partię w pokera, a pan mi tu dupę zawraca!

– Ja? Chyba raczej ten trup.

Pasquano rzucił okiem na wisielca.

– No co, samobójstwo, prawda?

– Panie doktorze, przepraszam, że zawracam głowę, ale bardzo mi zależy na ustaleniu przybliżonej godziny śmierci.

– Po co?

– Bo czuję taką potrzebę. Chcę być pewien godziny zgonu.

– Rozumiem. Ale dopóki nie przyjedzie prokurator, ja...

– Nie mógłby pan wejść na biurko i przyrzeć mu się z bliska?

Przeklinając pod nosem, doktor z pomocą Fazia wdrapał się na biurko i zaczął obracać zwłoki niczym salami zawieszona na sznurku.

– Która teraz godzina? – spytał.

– Za piętnaście jedenasta.

– Moim zdaniem, ale pewność będę miał dopiero po sekcji, powiesił się między czwartą a piątą po południu.

– Nie mógł tego zrobić o pierwszej?

– To bym wykluczył.

– Dziękuję. Fazio, ja wracam do Marinelli, ty poczekaj na prokuratora. Dobranoc, panie doktorze.

– Co jest, do kurwy nędzy?! A kto mi pomoże zejść z tego stołu?! – zawołał rozwścieczony Pasquano.

Montalbano wrócił do Marinelli zbyt wcześnie, żeby się położyć spać. Zresztą nie byłoby to rozsądne: czuł jeszcze ósmiornicę szamoczącą się w jego żołądku, lepiej było odczekać.

Przebrał się i umył, a że tymczasem zrobiła się północ, włączył telewizor.

Na ekranie ukazała się twarz jak kurza dupa Pippa Ragonese, najbardziej wpływowego dziennikarza Telegigaty i zaprzysięgłego wroga komisarza.

... pytanie dzisiejszego wieczoru. Streszczam pokrótce fakty. Kierownik supermarketu w Piano Lanterna, Guido Borsellino, odkrywa, że w nocy ukradziono utarg. Zawiadamia komisariat w Vigacie i na miejsce przyjeżdża komisarz Augello, który po niespełna półgodzinnej rozmowie z Borsellinem zaczyna insynuować, że to on jest zamieszany w tę kradzież. Oburzony tym oskarżeniem Borsellino dzwoni do komisarza Montalbano, który nie chce z nim rozmawiać i odkłada słuchawkę. Wkrótce jednak dzielny komisarz również przyjeżdża do supermarketu i wraz ze swoim podwładnym, nie mając w ręku najmniejszego dowodu czy choćby poszlaki, zaczyna torturować, to najbardziej odpowiednie słowo, nieszczęsnego kierownika sklepu. Są tak brutalni, że zaraz po zakończeniu tej rozmowy wstrząśnięty i rozdygotany Borsellino puszcza pracowników do domu, po czym idzie do swojego biura i popełnia samobójstwo przez powieszenie.

Nawet zakładając czysto hipotetycznie, że Borsellino, człowiek o nieskazitelnej przeszłości i uważany przez wszystkich za osobę kryształowo uczciwą, rzeczywiście uległ chwilowej pokusie, w żaden sposób nie usprawiedliwia to stosowanych przez komisarza i jego zastępcę metod, których nie zawaham się uznać za godne gestapo.

Ta śmierć, mówię to z całą odpowiedzialnością, obciąża sumienie komisarza Montalbano. Jego nieludzkie i barbarzyńskie postępowanie przynosi hańbę Policji Państwowej, która zawsze i we wszystkich okolicznościach...

Zanim Montalbano zgasił telewizor, napłuł na twarz dziennikarza, przypominając sobie, że ten sam Ragonese wychwalał brutalne zachowanie policji w czasie szczytu G8 w Genui.

Doszedł jednak do przekonania, że ktoś inny podsunął wersję zdarzeń przedstawioną przez tego krętacza, Ragonese tylko ją powtórzył.

Z jego słów łatwo było się domyślić, za jakim scenariuszem opowiedzą się adwokaci rodziny Cuffaro, na czele z Mongibellem: to Borsellino ukradł pieniądze i nie wytrzymał psychicznie przesłuchania trzeciego stopnia, jakie Montalbano przeprowadził razem z Mimì. Klan Cuffaro nie mógł przecież przyznać, że zdradził ich ktoś z rodziny, to byłby cios dla ich prestiżu.

W swoim czasie mieli zapewne zamiar rozprawić się po cichu też ze zdrajcą.

Po raz pierwszy w życiu dławiona w środku złość spletała komisarzowi paskudnego figla. Musiał pobiec do łazienki i wymiotować żółć, która napłynęła mu do ust.

Kiedy klęczał z głową w muszli, zadzwonił telefon.

Nie był w stanie się podnieść, żeby odebrać go od razu, i dzwonek ucichł. Rozległ się znowu, gdy komisarz umył twarz.

To była Livia.

– Dlaczego nie odebrałeś wcześniej?

– Jesteś pewna, że chcesz to wiedzieć? Wymiotowałem żółcią.

Livia przestraszyła się.

– O Boże, dlaczego?

Pytanie zezłościło Montalbana.

– Dla rozrywki.

– Nie bądź kretynem. Źle się czujesz?

– Tak.

– Za dużo zjadłeś?

– Nie, za dużo musiałem przełknąć.

– Nie rozumiem.

Wtedy coś w nim pękło i opowiedział jej wszystko, zaczynając od porannego zdarzenia ze Strangiem, z trudem powstrzymując łzy bezradnej wściekłości.

Po skończonej rozmowie poszedł wypalić papierosa na werandzie. Zastanawiał się nad tym, dlaczego taki typ jak Ragonese, a także bardziej znani od niego dziennikarze piszący do ogólnowłoskich dzienników i występujący w programach o większej oglądalności uprawiali swój zawód w taki sposób? Odpowiedzialny dziennikarz zadzwoniłby do komisarza, żeby poznać jego wersję wydarzeń i po porównaniu zebranych wypowiedzi wyrobiłby sobie własną opinię.

Takim typom jak Ragonese wystarczy jednak tylko jeden punkt widzenia przekazany im przez szefów. I często nie można ich nawet oskarżyć o to, że robią to dla pieniędzy.

Dlaczego więc tak robią? Logicznie da się to wyjaśnić jedynie ich służalczą duszą. Z własnej woli padają na kolana przed Władzą, wszystko jedno jaką.

Nie mogą nic na to poradzić, tacy się już urodzili.

W każdym razie, kiedy jakieś pół godziny później Montalbano poszedł spać, zasnął prawie od razu. Najwyraźniej złość, która go ogarnęła, pomogła mu szybciej strawić ośmiornicę.

*

Następnego ranka przyjechał do komisariatu wcześniej, jeszcze przed dziewiątą. Gdy tylko zobaczył go Catarella, zaczął swoją litanię:

– Oj, panie komisarzu, panie komisarzu!

Nie było potrzeby pytać, o co chodzi.

– Kiedy zadzwonił?

– Właśnie teraz!

– Czego chce?

– On tak mówi, żeby on, czyli pan, udał się z największą szybkością do niego, czyli pana naczelnika.

– Dobrze, już jadę. Wrócę, jak się od niego uwolnię.

Gdy tylko ruszył, zorientował się, że nie ma benzyny. Najbliżej było mu do stacji, gdzie poprzedniego dnia zdarzył się incydent ze Strangiem. Tak przy okazji powinien także wymienić szybę, jeżdżenie z pękniętą groziło niebezpieczeństwem.

Na stacji nie było kolejki, właściciel, który miał na imię Luciano, zjawiał się natychmiast.

– Do pełna, panie komisarzu?

– Tak.

Kiedy miał właśnie zapłacić, właściciel dał znak, że nie chce pieniędzy. Co to za nowość?

– To prezent ode mnie, panie komisarzu.

Montalbano zapalił silnik, odjechał na miejsce parkingowe, wyciągnął z portfela kwitek za benzynę, na którym już wcześniej sprawdził kwotę. Wysiadł z samochodu i wrócił na stację.

Właściciel siedział w swojej klitce. Komisarz nie odezwał się, popatrzył tylko na niego groźnie i położył pieniądze na stole. Luciano spojrzął na niego i potulnie wsunął banknoty do kieszeni zatłuszczonego kombinezonu.

– A teraz powiedz mi, skąd ci przyszedł do głowy ten wspaniały pomysł.

Luciano wyglądał na zmieszanego.

– Panie komisarzu, bo wczoraj nie zachowałem się w porządku wobec pana i chciałem, żeby mi pan wybaczył.

– Co?

– To, co powiedziałem adwokatowi.

– Adwokatowi tego typu z BMW?

– Tak.

– No to co mu powiedziałaś?

– Powiedziałem, że pan zaparkował przed jego samochodem i dlatego nie mógł ruszyć.

– No i co? Przecież tak było.

– Ale ja nie chciałem mu tego powiedzieć! Chciałem wszystkiemu zaprzeczyć z szacunku dla pana i powiedzieć, że nic nie widziałem!

– No to dlaczego zmieniłeś zdanie?

– On mnie zmusił!

– Jak?

– Wspomniał o mojej sprawie z władzami regionu, które chcą zamknąć stację. Złożyłem odwołanie. On o tym wie i ostrzegł mnie, że jeśli...

– Do zobaczenia – przerwał mu Montalbano.

Wrócił do samochodu i ruszył do Montelusy.

Nie ma co, przyjemniaczki! Bez skrupułów zaszantażowali biedaka, który nie chciał ulec ich żądaniom. Nawet jeśli adwokat Nullo Meranti oblewałby się do woli swoimi słodkimi perfumami, i tak śmierdział jak kłoa.

On i jego szef, prezydent regionu.

– Pan naczelnik jest w tej chwili zajęty. Poleciał przekazać, żeby pan nie odjeżdżał, tylko poczekał na niego w saloniku – powiedział woźny siedzący obok drzwi wejściowych.

Salonik był tak obskurny, że wystarczyło w nim posiedzieć pięć minut i człowieka nachodziły myśli samobójcze.

Na stoliku leżało czasopismo „Nowoczesna Policja”. Komisarz zaczął je czytać od pierwszej strony. Kiedy doszedł do ostatniej, minęła godzina.

Wstał, podszedł do woźnego.

– Jeszcze jest zajęty?

– Tak. Pytał, czy pan już jest, i prosił, żeby na niego zaczekać.

– Ile czasu będzie jeszcze zajęty?

– Moim zdaniem jakieś dwie godziny.

– Dziękuję.

Wyszedł na korytarz i zamiast wrócić do saloniku, zszedł na parter, opuścił budynek, wsiadł do samochodu i wrócił do Vigaty.

Jakieś pół godziny po jego powrocie do biura zadzwonił doktor Pasquano.

Było to zdarzenie niespotykane. Zwykle, gdy Montalbano chciał dowiedzieć się o wyniki sekcji, musiał iść do doktora i znieść wszystkie jego obelgi, złośliwości i przytyki.

Pasquano nie tylko miał trudny charakter, ale humor pogarszał mu się jeszcze bardziej, jeśli poprzedniego wieczoru przegrał w klubie w pokera.

– Chciałem pana zawiadomić, że wczoraj wieczorem, mimo pańskiego niefortunnego zwracania mi dupy, zdążyłem pojechać do klubu i wygrać partię. Trzy godziny szczęścia w kartach. Trafił mi się ful, kareta i poker królewski.

– Gratuluję udanej partii.

– Niech pan sobie wsadzi w tyłek te gratulacje.

I się rozłączył. Montalbano nie zdjął ręki ze słuchawki, od razu się domyślił, że Pasquano się z nim droczy. I rzeczywiście, nie minęła nawet minuta i telefon zadzwonił znowu.

– Aha, prawie bym zapomniał. Tak zupełnie mimochodem chciałem też panu powiedzieć, że dzisiaj rano przeprowadziłem sekcję zwłok. Potwierdzam.

– Co takiego?

– Że nieboszczyk dał się, że tak powiem, powiesić po czwartej po południu. W żołądku miał jeszcze niestrawione resztki obiadu.

– Co pan ma na myśli, mówiąc, że dał się powiesić?

– Jest pan zaskoczony? Proszę nie udawać niewiniątka! Niech pan nie udaje, że tego nie podejrzewał!

– Nic takiego nie twierdzę. Ale co pan odkrył?

– Sądzę, że uduszono go gołymi rękami. Ktoś go unieruchomił, przyciskając mu tak mocno ramiona, że pozostały siniaki. Morderców było co najmniej dwóch. Sznur, belka, krzesło, to wszystko inscenizacja, żeby upozorować samobójstwo.

– Jest pan tego pewny na sto procent?

– Nie. I nie napiszę tego w protokole sekcji.

– A dlaczego?

– Bo w sądzie każdy sprytny adwokat znajdzie sto sposobów, żeby wyjaśnić te siniaki.

– Ale jeśli pan nie napisze tej profesjonalnej opinii w swoim raporcie, to jak ja mam się zachować?

– A co mnie to, kurwa, obchodzi! – odpowiedział jak zwykle z nienaganną uprzejmością doktor Pasquano.

I się rozłączył.

– Wczoraj wieczorem słyszałem przypadkiem wywody tego drania Ragonese – powiedział Mimì Augello, wchodząc do gabinetu. – Czy nie możemy się jakoś bronić przed tymi pomówieniami?

– A co chcesz zrobić? Podać go do sądu? Możliwe, że sędzia przyzna nam rację, ale za trzy lata, kiedy wszyscy już zapomną o sprawie.

– Aż mnie ręce świerzbiją, jak na niego patrzę. Jeśli go spotkam któregoś dnia na ulicy, nie ręczę za siebie.

– Mimì, jeśli ciebie ręce świerzbiją, niech cię żona podrapie. Zresztą, zostawiając na boku jego złośliwości i obelgi, Ragonese dał ci odpowiedź, której szukałeś.

– Mnie?!

– Tak. Powiedziałeś wczoraj, że zastanawiasz się nad tym, dlaczego nie pozostawiono śladów włamania na zewnętrznych drzwiach, i że użycie klucza było błędem. No więc Ragonese pośrednio ciebie poinformował, że złodziej specjalnie tak postąpił, żeby zrobić Borsellina i zrzucić na niego odpowiedzialność za kradzież.

– To tym gorzej! A więc ten Ragonese to nie tylko wredny dziennikarz, ale w dodatku drań na usługach Cuffarów.

– To już są twoje wnioski – stwierdził Montalbano.

Mimì wyszedł jeszcze bardziej zdenerwowany i prawie zderzył się w drzwiach z Faziem.

– Dobrze, że jesteś – powiedział komisarz – potrzebuję informacji. Dowiedz się, z jaką agencją nocnej ochrony supermarket podpisał umowę.

Fazio się uśmiechnął.

– Już to zrobiłem.

Fazio był bez wątpienia świetnym policjantem, ale kiedy tak się zachowywał, Montalbano świerbiło, żeby go walnąć w ucho, tak jak Mimì chciał potraktować Ragonese.

– Słucham.

– Z żadną, panie komisarzu. Nie było takiej potrzeby. Wszyscy wiedzieli, że supermarket należy do Cuffarów. Żadnemu złodziejowi nie przyszłoby na myśl, żeby się tam włamać. Jednak...

– No?

– Tuż obok znajduje się filia Banku Regionalnego. Oni na pewno mają umowę z firmą ochroniarską. Stróż nocny, obchodząc bank, siłą rzeczy musi przejść także obok supermarketu. Mam zasięgnąć informacji?

– Tak.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Montalbano niemal bezwiednie podniósł słuchawkę i zdrętwiał. Głos, który go doszedł, należał bez wątpienia do istoty ludzkiej, ale wydawał się raczej rykiem jakiegoś prehistorycznego stwora, może tyranozaura.

– Mooo...aaaa...nooo!

Moano? To jakieś nazwisko? Męska forma imienia Moana?

Całe szczęście, że nie był Moanem, bo rozmowa z taką trąbą jerychońską byłaby dość nieprzyjemna.

– Pomyłka – powiedział.

I odłożył słuchawkę.

– To co, mam pójść się dowiedzieć? – spytał Fazio.

– Tak, idź.

Fazio właśnie wyszedł, kiedy telefon zadzwonił znowu. Montalbano podniósł słuchawkę, trzymając ją na wszelki wypadek w pewnej odległości od ucha.

– Komisarz Montalbano? Mówi Lattes.

Szef biura naczelnika policji zyskał przezwisko Mleczko z Miodkiem z racji przesłodzonego sposobu mówienia.

– Słucham pana.

– Naczelnik pragnie pana niezwłocznie widzieć. Poprosił, żebym zadzwonił, bo sam musiał pobiec do toalety.

Czyżby naczelnik miał problemy z trzymaniem moczu? Informacja bez wątpienia cenna, choć Montalbano nie wiedział, do czego mogłaby mu się przydać. Potem jednak doznał olśnienia, które ścięło mu krew w żyłach.

– Czy... czy to on... dzwonił do mnie przed chwilą?

– Tak.

Matko Boska, co mu się stało? Zmienił się w gigantycznego gada?

– Przepraszam, ale dlaczego pan naczelnik tak dziwnie mówi?

– Bo nie posiada się ze złości. Z pana winy.

– Z mojej?!

– Przede wszystkim dlatego, że nie zaczekał pan, aż skończy zebranie, o co pana prosił.

– Ależ ja...

– A poza tym, dlaczego odłożył pan słuchawkę? Niech pan tu niezwłocznie przyjedzie, zaklinam pana. Niezwłocznie. Na skrzydłach. Boże broń, żeby się jeszcze bardziej zdenerwował!

– Kiedy widzi pan, ja myślałem, że to...

W porę zamilkł. Nie mógł przecież powiedzieć, że wziął naczelnika za dinozaura!

– Niech pan natychmiast przyjedzie, bardzo proszę.

Do kurwy nędzy! Ten dziki głos rodem z dżungli należał do naczelnika Bonettiego-Alderighiego? Do człowieka, którego można było o wszystko podejrzewać, tylko nie o brak dobrych manier! Musiał się wkurzyć do imentu, więc Montalbano miał przed sobą dwa wyjścia: albo do niego pojechać i dać się pożreć jak chrześcijanie lwom w Koloseum, albo natychmiast zakończyć swoje życie strzałem w głowę. Wybrał pierwszą opcję.

Lattes czekał na niego, krążąc po korytarzu. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

– Dałem mu dwie tabletki na uspokojenie. Teraz, dziękować Bogu, czuje się trochę lepiej.

– Ale co ja mu zrobiłem?

– Sam to panu powie. Proszę wejść, czeka na pana.

Bonetti-Alderighi siedział w swoim fotelu za biurkiem, na którym stała fiolka z tabletkami i szklanka wody.

Włosy rozczochrane, oczy przekrwione, krawat przekrzywiony, jeden z guzików koszuli rozpięty. Ten zawsze taki elegancki naczelnik! Jednak poza tym wyglądał dość normalnie. Gdy tylko zobaczył wchodzącego komisarza, wytrząsnął z fiolki tabletkę, wziął ją do ust i popił łykiem wody, po czym powiedział:

– Zrujnował mi pan karierę!

Montalbanowi zachciało się śmiać.

Z powodu dzikich krzyków naczelnik najwyraźniej stracił głos i mówił teraz jak ten człowiek, który szeptał do koni.

– Panie naczelniku, bardzo mi przykro...

– Ci...cisza! Ja...ja mówię!

Zanim Bonetti-Alderighi zaczęła znowu, połknął jednak jeszcze jedną pastylkę.

Potem otworzył i zamknął dwukrotnie usta, najwyraźniej miał kłopoty z wydaniem z siebie głosu.

– Najpierw za... zadzwonił pre...prezydent regionu, Mi...Michele Strangio... żeby... mi powiedzieć, że pan... spro...sprovokował jego syna i kazał za...zakuć go w kajdanki...

– Kiedy widzi pan...

– Cisza! A potem, godzinę temu... po... poseł Mongibello...

Montalbano wpatrywał się w niego zafascynowany. Głos naczelnika brzmiał teraz bełkotliwie, jakby był pijany w sztok. Można się było poczuć prawie tak, jak słuchając głosów imitowanych przez Fiorella w audycji radiowej.

– ...i zakomunikował mi... swoją... decyzję... że... że wniesie interpelację par...parlamentarną z ramienia swojej... partii... w sprawie... samo...samobójstwa kierownika Bor...Borsellina...

Opuścił głowę na oparcie fotela i zamilkł. Montalbano zaniepokoił się. Czyżby zemdłał? Zasłabł? Obszedł biurko dookoła, nachylił się nad naczelnikiem, żeby posłuchać jego oddechu.

Bonetti-Alderighi spał głęboko, z otwartymi ustami.

Co robić? Spróbować go obudzić?

Po połknięciu czterech tabletek uspokajających nie ocknąłby się, nawet słysząc huk armat, to jasne, że będzie spał do następnego dnia.

Komisarz wyszedł z gabinetu na palcach i zamknął cicho drzwi.

– Wszystko wyjaśnione – powiedział Lattesowi, który czekał na niego w korytarzu z pytającym wyrazem twarzy.

Po powrocie do komisariatu Montalbano zastał w swoim gabinecie czekającego na niego Fazio.

– Co nowego?

– Panie komisarzu, zasięgnąłem informacji o nocnej ochronie filii Banku Regionalnego. Mają umowę z agencją Spokojne Sny.

– Zadzwoń do nich i...

– Już to zrobiłem. Zadzwoiłem przed chwilą. W noc, kiedy włamano się do supermarketu, dyżur miał niejaki Domenico Tumminello, który dzisiaj ma dzień wolny.

– Powinieneś ich poprosić o jego numer...

– Już to zrobiłem.

Do cholery z tym „już to zrobiłem”! Już to zrobiłem i już to zrobiłem, co za upierdliwy typ! Fazio działał komisarzowi na nerwy.

– I może przypadkiem już zadzwoniłeś do niego?

– Nie, wołałem tego nie robić.

– Dlaczego?

– Bo sobie pomyślałem, że biedak pewnie odsypia noc spędzoną w pracy.

– Zapisalesz adres?

– Tak. Salita Lauricella dwanaście.

– Wiesz co? Pojadę tam. Jeśli śpi, nie będę go budził. Ale jeśli nie, to utnę z nim sobie pogawędkę.

*

Pod numerem 12 przy Salita Lauricella znajdował się niewielki, dość zaniedbany dwupiętrowy budynek. Nie było domofonu, brama wejściowa stała otworem.

Wszedł, przy pierwszych drzwiach, na które się natknął, nie było dzwonka, zapukał. Cisza. Zapukał znowu, mocniej, dodając parę kopniaków nogą.

– Kto tam? – odezwał się głos jakiejś staruszki.

– Komisarz Montalbano, policja.

– Że jak? Kominiarz? A niech mówi głośniej, bo słabo słysząca jestem.

– Komisarz Montalbano!

– A czego szuka?

– Szukam pana Tumminella!

– Że co?

Słabo słysząca, akurat, nawet wystrzału z armaty pewnie by nie usłyszała.

– Szukam pana Tumminella! – wrzasnął na cały głos Montalbano.

– Parinella?

Na szczęście z balkonu na pierwszym piętrze wychyliła się około czterdziestoletnia kobieta.

– Kogo pan szuka?

– Pana Domenica Tumminella.

– Jestem jego żoną. Niech pan wejdzie, niech pan wejdzie.

Dlaczego miała taki zmartwiony głos?

Montalbano nie zdążył wejść na pierwsze trzy stopnie, a już kobieta wybiegła mu naprzeciw. Komisarz zobaczył teraz, że ciężko oddycha, a w oczach ma przerażenie.

– Co się stało z moim mężem? Co mu się przydarzyło?

– Proszę się uspokoić. Nic mu się nie stało. Nie ma go w domu?

– Nie, nie ma. A czemu pan go szuka?

– Muszę się czegoś od niego dowiedzieć. Gdzie go mogę znaleźć o tej godzinie?

Kobieta nie odpowiedziała, dwie wielkie łzy spłynęły jej po twarzy.

Odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach.

Montalbano poszedł za nią. Znalazł się w jadalni, kobieta zaprosiła go gestem, żeby usiadł, a sama wypiła szklankę wody.

– Może pani słyszała wcześniej, nazywam się Montalbano, jestem komisarzem policji. Dlaczego jest pani taka przestraszona?

Kobieta usiadła i załamała rękę.

– Wczoraj rano Minico, mój mąż, wrócił do domu z pracy o szóstej. Wypił trochę ciepłego mleka i poszedł spać. Tak około dziesiątej, wtedy dopiero co wróciłam z zakupów, zadzwonił telefon. To był jakiś mężczyzna, powiedział, że jest z agencji, gdzie pracuje Minico.

– Przedstawił się?

– Nie. Powiedział tylko: jestem z agencji.

– Wcześniej go pani nigdy nie słyszała?

– Nigdy.

– Dobrze, proszę mówić dalej.

– Powiedział, że Minico musi natychmiast przyjechać do agencji, bo przyszedł jakiś klient i twierdzi, że Minico nie wypełnił należycie swoich obowiązków. Powtórzył, że Minico ma zaraz przyjechać, i odłożył słuchawkę.

– Co pani wtedy zrobiła?

– Co miałam zrobić? Obudziłam Minica, powiedziałam mu, o co chodzi, biedak się ubrał, chociaż ze zmęczenia ledwie na oczy patrzył, i pojechał.

Zaczęła płakać, tym razem już głośno szlochała. Montalbano nalał jej do szklanki wody i dał do wypicia.

– Mąż nie wrócił? Nie zadzwonił? Nie dał znać w żaden sposób?

Kobieta potaknęła głową. Nie była w stanie wydać z siebie głosu.

– Czy pani mąż ma samochód?

Znowu kiwnęła głową.

– Dzwoniła pani do agencji?

– Oczywiście. Ale zaprzeczają wszystkiemu... mówią, że nikt od nich... że żaden klient nie protestował...

– Może źle się poczuł?

Kobieta zaprzeczyła głową. Wskazała na stolik, na którym znajdował się telefon i otwarta książka telefoniczna.

–do wszystkich szpitali – powiedziała. – I nic.

Montalbano zastanowił się przez chwilę.

– Może powinna pani zgłosić zaginięcie.

Po raz kolejny zaprzeczyła głową.

– Dlaczego nie?

– Bo jeśli to zrobię, to może już naprawdę przepadnie.

Trudno było dyskutować z takim argumentem.

– Ma pani fotografię męża?

Podniosła się z trudem i wyszła z pokoju. Wróciła ze zdjęciem legitymacyjnym, podała je komisarzowi, po czym usiadła i ukryła twarz w dłoniach.

Montalbano pogłaskał ją lekko po włosach i wyszedł.

Po powrocie do komisariatu zawołał Fazia i przekazał mu to, czego się dowiedział od żony Tumminella.

– Nie podoba mi się ta sprawa – stwierdził Fazio.

– Mnie też nie. Ale zanim zaczniemy podejrzewać najgorsze, dobrze byłoby się dowiedzieć czegoś o prywatnym życiu tego Tumminella. Masz, tu jest jego fotografia.

Fazio popatrzył na nią. Na zdjęciu widać było przeciętnego czterdziestolatka, bez żadnych znaków szczególnych, pieprzyków czy blizn. Jedna z tych twarzy, które zapomina się pięć minut po ich zobaczeniu.

– Nie wygląda na takiego, który coś kombinuje.

– Wrażenia bywają złudne, wiemy to z doświadczenia.

Fazio wyszedł, wszedł Augello. Wciąż miał skwaszoną minę.

– Co jest?

– Cały czas myślę o tym bydlaku Ragonese i krew mnie zalewa.

– No to zaraz cię zaleje jeszcze bardziej.

Kiedy Montalbano opowiedział Augellowi o swoim spotkaniu z naczelnikiem, jego zastępcą sposepniał jeszcze bardziej.

– To znaczy, że szacowny adwokat i poseł Mongibello chce tę sprawę wnieść na forum parlamentu?

– A jakże.

– Ale co mu to da?

– Żartujesz, Mimì? Dla nich to świetna okazja, nie mają zamiaru jej przegapić!

– Możesz mi to wyjaśnić?

– W parlamencie Mongibello może liczyć na poparcie swoich kolegów z partii rządzącej. Minister spraw wewnętrznych należy do innej partii, ale jest ulepiony z takiej samej gliny jak członkowie koalicji, więc niezwłocznie podejmie kroki: będzie to co najmniej przeniesienie naczelnika gdzie indziej i wysłanie mnie na przyspieszoną emeryturę. Wiesz, co to znaczy?

– Że wreszcie znikniesz z pola widzenia.

– To też, oczywiście. Ale przede wszystkim oznacza to, że mafijne wpływy Cuffarów wzrosną o sto procent, a wszystko dzięki uprzejmości rządu.

– Czy oni sobie z tego nie zdają sprawy?

– Niektórzy może nie, inni na pewno tak.

– Jeśli do tego dojdzie, złożę wypowiedzenie – oświadczył Mimì.

– Nie rozśmieszaj mnie. Zadam ci to samo pytanie, które ty mi zadałeś: co ci to da? W ten sposób tylko przysłużyłbyś się mafii, a ty musisz dalej walczyć.

– Na dwa fronty trochę trudno.

- Dwa?! Policz dobrze. Na cztery.
- Jak to cztery?!
- No tak. Po pierwsze, przestępstwa pospolite, po drugie, od czasu do czasu morderstwa, po trzecie, mafia, po czwarte, politycy współpracujący z mafią.
- Wiesz co? To może ja się lepiej od razu zwolnię.
- I co będziesz robił?
- Coś sobie znajdę. O już wiem, mógłbym zostać szefem straży miejskiej w jakimś miasteczku.
- Jasne, napisz podanie. Zanim odpowiedzą, zdążysz się zestarzeć. Dlatego na razie lepiej zabezpieczyć sobie tyły. Napisz zaraz raport dla naczelnika, przeczyta go sobie, kiedy się obudzi.
- Co mam mu napisać?
- Opisz fakty. Od momentu, kiedy przyjechałeś do supermarketu, reakcję Borsellina na twoje pytania, nielogiczności w szczegółach dotyczących włamania, mój udział w przesłuchaniu, wszystko. Żadnych komentarzy, tylko fakty.
- Dobrze.

Montalbano nie martwił się o swoją karierę tak jak naczelnik, który o mało nie dostał ataku serca: komisarz i tak zbliżał się już do emerytury. Czuł jednak w sobie tak ogromną wściekłość, że zdawało się, że krew mu się zaraz zagotuje w żyłach.

W ostatnich latach, być może wraz ze starzeniem się, coraz trudniej przychodziło mu powstrzymać oburzenie i wynikający z niego bunt, kiedy patrzył, jakiego poparcia pewne kręgi polityczne, za pośrednictwem posłów i senatorów, udzielały mafii. A teraz zaczęto uchylać różne przepisy, które z praworządnością nie miały nic wspólnego. Co to za kraj, w którym urzędujący minister może sobie pozwolić na wypowiedź, że z mafią trzeba jakoś współżyć? W którym senator, skazany w pierwszej instancji za kontakty z mafią, zostaje oczyszczony z zarzutów i wybrany ponownie do senatu? W którym poseł, skazany za udzielanie pomocy mafii, uzyskuje promocję na senatora? W którym minister w wielu rządach, a potem premier, choć udowodniono mu ponad wszelką wątpliwość współpracę z mafią, może się dalej cieszyć statusem dożywotniego senatora?

Już samo to, że nikomu nie przychodziło do głowy podać się do dymisji, świadczyło o tym, z jakiej gliny są ulepieni.

Odsunął od siebie talerz stojący przed nim na stole.

– Co to, nie je pan? – spytał z troską Enzo.

– Straciłem nagle apetyt.

– Dlaczego?

– Naszły mnie różne myśli.

– Panie komisarzu, pan wie, że myśli to najgorszy wróg żołądka, a także, uczciwszy uszy, kutasa?

– To prawda, ale nie zawsze da się je utrzymać na wodzy. Przykro mi, bo makaron był wyśmienity.

Nawet zwyczajowy spacer na molo aż do latarni nie mógł poprawić mu humoru.

– W powszechnej opinii Tumminello to bardzo porządny człowiek – zaczął Fazio. – Zwolniony z pierwszej pracy w wieku trzydziestu lat, po jakimś czasie znalazł zajęcie jako nocny stróż w tej agencji, bo jakiś krewny jego żony był jednym z jej założycieli. Nic nie wiadomo o jakichś nałogach czy romansach. Wzorowy mąż i pracownik.

– Posłuchaj, usiłowałem przekonać panią Tumminello, żeby zgłosiła zaginięcie, ale mi się nie udało. Powinieneś ty spróbować.

– Już to zrobiłem.

Uch, udusić takiego!

– Pojechałeś się z nią zobaczyć?

– Tak.

– W jakim była nastroju?

– Zrozpaczona.

– I co ci powiedziała?

– Że nie chce złożyć doniesienia, bo to ściągnie na nich nieszczęście... wbiła sobie do głowy, że jeśli to zrobi, mąż naprawdę zaginie.

– I mnie powiedziała to samo. Zastanawiam się, czy twoim zdaniem ona sądzi, że mąż tylko upozorował zaginięcie?

Fazio rozłożył ręce.

– Co o tym myślisz? – spytał komisarz.

– Już panu powiedziałem. Czarno to widzę.

– To znaczy?

– Ten biedak Tumminello, przejeżdżając na rowerze koło supermarketu, mógł zobaczyć kogoś otwierającego drzwi wejściowe...

– Ale nie bił na alarm, bo znał człowieka – podjął Montalbano – To był ktoś z zarządu spółki, do której należy sklep.

– Otóż to. Wobec tego nie zareagował, zakończył swoją zmianę i wrócił do domu się wyspać. Kiedy złodziej zadzwonił i żona go obudziła, nieszczęśnik nie miał żadnego powodu, żeby coś podejrzewać, był przekonany, że naprawdę dzwonił z agencji.

– I weź pod uwagę, że nic nie wiedział o kradzieży. Nikt nie miał czasu go o tym zawiadomić.

– No właśnie. Wyszedł z domu i natknął się na czekającego na niego złodzieja. Nie miał powodu, by mu nie ufać. Być może przyjął propozycję podwiezienia go do agencji samochodem.

– Biedak – skomentował Montalbano.

Po chwili milczenia Fazio powiedział:

– Jednym słowem, jeśli wypadki potoczyły się tak, jak sądzimy, to włamanie doprowadziło do morderstwa i samobójstwa.

– Dwóch morderstw.

Fazio patrzył oniemiały, z otwartymi ustami, na komisarza, po czym zrozumiał:

– Kierownik supermarketu!

– Otóż to.

Komisarz opowiedział mu pokrótce, czego dowiedział się od doktora Pasquana.

– Mnie to wszystko do końca nie przekonuje – oświadczył Fazio.

– Wyjaśnij mi to.

– Jeśli dobrze pamiętam, z supermarketu ukradziono niespełna dwadzieścia tysięcy euro.

– No i?

– Czy to wystarczający powód, żeby popełnić dwa morderstwa?

– Ale co ty mi tu opowiadasz? Po pierwsze, przypominam ci, że dzisiaj potrafia zamordować emeryta dla pięciuset euro, po drugie, gdyby chodziło o inny supermarket, pewnie przyznałbym ci rację. Ale połaskwienie się na pieniądze Cuffarów to inna historia. Jeśli odkryją, kto to zrobił, koniec z nim, nie ma zmiłu się.

– Też prawda.

Komisarzowi przyszło coś do głowy.

Nie podzielił się z Faziem od razu swoją myślą, najpierw zastanawiał się dłuższą chwilę. Potem powziął decyzję.

– Słuchaj, czy supermarket jest dalej zamknięty?

– Tak, jeszcze dwa dni.

– Wiesz, czy ktoś tam jeszcze wchodził po nas?

– A kto miał wchodzić? Poprosiłem prokuratora Tommasea, żeby polecił założyć plomby na drzwiach.

Ten Fazio to ma łeb!

– Czy wiesz, co się stało z kluczami do supermarketu, które należały do Borsellina?

– Nie, panie komisarzu. Prawdopodobnie są w którejś kieszeni jego ubrania, w laboratorium doktora Pasquana.

– Zadzwoń tam zaraz. Aha, słuchaj, nie rozmawiaj bezpośrednio z doktorem, lepiej z jego asystentem. Jeszcze się nam Pasquano rozindyczy i nic nie załatwimy. Zadzwoń stąd.

Odpowiedź była twierdząca, wszystkie przedmioty osobiste Borsellina znajdowały się wciąż u Pasquana.

– Jedź tam, zabierz wszystko i przywieź tutaj. Czekam na ciebie.

– Ubrania też?

– Wszystko.

Wśród rzeczy Borsellina przywiezionych z laboratorium były koszula, podkoszulek, slipki, spodnie, skarpetki i buty. W kieszeni spodni znajdowały się chusteczka, pęk kluczy i dziewięć euro w bilonie.

– Brakuje marynarki i krawata – zauważył Fazio.

– Pamiętam doskonale, że kiedy wisiał na belce, nie miał ani marynarki, ani krawata. Z pewnością zdjęli mu je mordercy, bo przecież nikt się w tym nie wieszka. W samej koszuli ma się większą swobodę ruchów.

– To znaczy, że są jeszcze w jego biurze w supermarkecie.

– Prawie na pewno. Wydaje mi się, że widziałem je, jak tam wisiały. Ale na razie popatrz na tę koszulę. Pamiętasz, jaką miał na sobie, kiedy wezwał nas do włamania?

– Tak, chyba była ciemnobłękitna.

– Ja też tak zapamiętałem. Tymczasem ta tutaj jest biała. Wynika z tego, że to nieprawda, że Borsellino powiesił się zaraz po naszym odjeździe, wstrząśnięty przesłuchaniem. Doktor Pasquano ma rację. Borsellino wrócił do domu, zjadł coś, niedużo, bo martwił się z powodu sytuacji, zmienił koszulę (pamiętasz, jak się pocił, kiedy z nami rozmawiał?) i wrócił do supermarketu.

– Potem ktoś zadzwonił albo zapukał do drzwi i nieszczęśnik otworzył swoim mordercom.

– To prawdopodobne – przyznał komisarz.

I dodał, patrząc Faziowi prosto w oczy:

– Może powinniśmy się rozejrzeć w biurze Borsellino.

– Trzeba by uzyskać pozwolenie prokuratora.

– A co mu powiem? Gdyby Pasquano uwzględnił w raporcie swoje podejrzenia, nie byłoby z tym problemów...

– Mogę o coś spytać?

– Pewnie.

– Dlaczego doktor Pasquano w raporcie nie wspomniał o siniakach?

– Mnie wyjaśnił, że w sądzie taką opinię łatwo podważyć. Ale, moim zdaniem, chciał się zabezpieczyć.

– Przed czym?

– Mój drogi, czy uważasz, że Pasquano, zawsze doskonale we wszystkim zorientowany, nie wie, że za aferą kryje się rodzina Cuffaro? Doszedł do wniosku, że lepiej zachować ostrożność.

– Co pan sugeruje? – spytał Fazio.

– Tłumaczę ci, że nie dysponując żadnymi konkretnymi poszlakami, raczej nie mamy po co iść do prokuratora Tommasea.

– Ma pan rację – przyznał Fazio, domyślając się już, jaki jest plan komisarza.

I rzeczywiście.

– Czujesz się na siłach wybrać się ze mną na małą nocną wyprawę?

– Do supermarketu?

– A niby gdzie indziej? Na tańce?

Fazio nawet się nie zawahał.

– Zgoda.

– Słuchaj, dla sprawnego przebiegu akcji najpierw coś zrób. Pojedź i sprawdź, które klucze pasują do wejścia do supermarketu, a które do mieszkania Borsellina, w ten sposób nie będziemy tracić czasu przy otwieraniu drzwi. Przyjedź po mnie samochodem między wpół do pierwszej a pierwszą w nocy.

– Panie komisarzu, im później, tym lepiej.

– No to przyjedź po pierwszej.

Fazio nie ruszył się z krzesła.

– No, co jeszcze?

– Panie komisarzu, chciałbym poprosić, żeby pan się dobrze zastanowił, zanim podejmie pan taką akcję.

– To znaczy?

– Jeśli wyjdzie na jaw, że weszliśmy do supermarketu bez pozwolenia, mogą z tego wyniknąć przykrości.

– Boisz się, że naczelnik...

– Panie komisarzu, proszę mnie nie obrażać. Mogę tylko powiedzieć, że naczelnik mnie nie obchodzi.

– No więc?

– Obawiam się, że jeśli dowie się o tym ktoś inny, na przykład poseł Mongibello, mógłby nas oskarżyć, że weszliśmy do supermarketu, żeby sfabrykować dowody.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Ale my wślizgniemy się tak, żeby nikt nie zauważył.

W Marinelli pożarł kolejną wielką porcję ośmiornicy. Tym razem nie brakowało mu czasu na jej strawienie. Potem sprzątnął ze stołu i wrócił na werandę z paczką papierosów, nalaną do połowy szklanką whisky i lokalną gazetą. Znalazł w niej oczywiście artykuł o włamaniu do supermarketu i samobójstwie dyrektora. Nie wspomiano ani o Montalbanie, ani o Augellu,

tekst koncentrował się na przypuszczeniu, że utarg ukradł sam kierownik, który powiesił się, kiedy odkryto jego przekręt.

– Amen – powiedział Montalbano.

O północy włączył telewizor.

Pippo Ragonese o twarzy coraz bardziej przypominającej kurzą dupę mówił właśnie, że być może kierownik supermarketu rzeczywiście sam stał za kradzieżą, ale to nie usprawiedliwiało brutalnych metod stosowanych przez Montalbana, które doprowadziły biednego Borsellina do samobójstwa.

– Od kiedy to w naszym kraju za kradzież skazuje się na karę śmierci? – zapytał w pewnej chwili dla większego efektu.

– Odpowiem ci na to pytanie – burknął Montalbano. – Od kiedy twój rząd dał pozwolenie na strzelanie do złodziei.

Zgasił telewizor i poszedł wziąć prysznic.

Wpół do pierwszej zadzwoniła Livia.

– Przepraszam, że tak późno, ale byłam w kinie z przyjaciółką. Położyłeś się już do łóżka?

– Nie, muszę wyjść w sprawie służbowej.

– O tej godzinie?

– O tej godzinie.

Usłyszał, jak mruczy pod nosem coś niezrozumiałego.

– Co powiedziałaś?

– Nic.

Ze sposobu, w jaki powiedziała to „nic”, Montalbano wynioskował, co sobie pomyślała. Ogarnęła go złość.

– Dlaczego się dąsasz, przecież rozmawialiśmy na ten temat już sto razy. Nie jestem urzędnikiem, który ma stałe godziny pracy. Nie podbijam karty obecności o piątej po południu i nie wracam do domu. Ja...

– Przepraszam, ale dlaczego tak się wściekasz?

– Bo co, nie mam prawa? Insynuujesz, że...

– Ja nic nie insynuuję. Zadałam ci proste pytanie, a ty od razu się nastroszyłeś. Musisz jednak przyznać, że praca w policji daje dobrą wymówkę, żeby włączyć się po nocy.

– Wymówkę?!

– Pewnie. Jak mogę skontrolować, czy rzeczywiście masz do załatwienia sprawę służbową?

– Skontrolować?

– Nie powtarzaj moich słów jak papuga, bardzo proszę.

Montalbanowi pociemniało w oczach.

– A ja, jak mam skontrolować, czy dzisiaj wieczorem byłeś w kinie z przyjaciółką?

– A z kim miałabym pójść, twoim zdaniem?

– A skąd mam wiedzieć? Może z tym swoim kuzynkiem, z którym spędziłaś wakacje na jachcie!

No i oczywiście wybuchła dzika awantura.

Fazio przyjechał piętnaście po pierwszej.

– Pojedziemy moim samochodem czy pańskim?

– Twoim.

W czasie jazdy komisarz powiedział:

– Kiedy rozmawialiśmy w komisariacie, zapomniałem cię poprosić o sprawdzenie, jakie godziny obchodu mają ochroniarze banku.

– Ale ja nie zapomniałem.

Był to po prostu kolejny wariant tego przekłętego „już to zrobiłem”. Montalbano przygryzł wargę, żeby nie powiedzieć brzydkiego słowa.

– Czego się dowiedziałeś?

– Że nocny strażnik robi obchód około wpół do drugiej. Kiedy dojedziemy do supermarketu, już go nie będzie.

– A kiedy jest następny obchód?

– Po godzinie.

– Nie mamy dużo czasu.

– Niech się pan nie martwi, biuro jest w tylnej części budynku, strażnik nas tam nie zobaczy.

Milczał chwilę, po czym powiedział:

– Chciałbym o coś spytać.

– Pytaj.

– Czego będziemy szukać w biurze?

– Niczego.

- To po co tam jedziemy?
- Chcę jeszcze raz obejrzeć biuro.

Fazio zgłupiał.

- Przecież już je pan oglądał kilka razy.
- Tak, ale zawsze z innego punktu widzenia.
- Może mi pan to wyjaśnić?
- Kiedy wszedłem tam pierwszy raz, biuro było miejscem kradzieży i pod tym kątem na nie patrzyłem. Potem wróciłem tam, bo popełniono w nim samobójstwo. Później Pasquano mnie zawiadomił, że w rzeczywistości chodzi o morderstwo. Nie miałem okazji popatrzeć na biuro z takiej perspektywy. Mam zamiar zrobić to teraz.

Fazio zaparkował samochód dwie przecznice od supermarketu.

- Lepiej, żeby nikt go nie zobaczył w pobliżu sklepu.

Potem, zamiast podejść do drzwi wejściowych, skręcił za róg i skierował się na tyły budynku.

– Z tyłu znajduje się wejście służbowe, panie komisarzu. Tędy wnosi się towar, wchodzą sprzątaczkę i personel. I nie przebiega tu żadna ulica.

I rzeczywiście tak było.

Z tyłu supermarketu znajdował się ogrodzony teren pokryty cementową nawierzchnią, najwyraźniej wykorzystywano go jako parking dla samochodów dostawczych.

Za ogrodzeniem ciągnęły się pola.

Fazio odkleił kawałek taśmy, która przytrzymywała kartkę służącą za plombę, błyskawicznie otworzył zamek, wpuścił komisarza, wszedł za nim i zamknął za sobą drzwi.

Ruszyli w stronę biura kierownika w zupełnych ciemnościach. W pewnej chwili Montalbano nadepnął na leżącą na ziemi puszkę i pojechał po podłodze, klnąc jak wariat, bo nie mógł się zatrzymać. Wpadł na piramidę małych pojemników ze środkiem czyszczącym, która runęła z wielkim hukiem.

Fazio rzucił się wyciągnąć komisarza spod góry pojemników.

Być może z powodu ostrej woni proszków Montalbano zaczął kichać, aż załzawiły mu się oczy. W ten sposób przestał już widzieć cokolwiek. Zrobił ze dwa kroki z rękami wyciągniętymi przed siebie jak ślepiec, potem musiał się poddać.

- Pomóż mi.

Fazio wziął go pod rękę i doprowadził do biura. Później zostawił go i poszedł domknąć żaluzje, żeby nie przepuszczały światła, a następnie zapalił lampkę na biurku.

Teraz mogli wziąć się do pracy.

Jednak, kiedy Fazio spojrzął na komisarza, nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Montalbano się naburmuszył.

– Może i ja się pośmięję?

– Proszę mi wybaczyć, ale wygląda pan jak ryba obtoczona w mące, przygotowana do usmażenia na patelni.

Montalbano popatrzył na swoje buty i ubranie. Były białe. Najwyraźniej w wyniku zderzenia jakiś pojemnik z proszkiem musiał się otworzyć.

Poszedł do małej łazienki przy biurze i przejrzał się w lustrze. Wyglądał jak klaun. Umył się i po powrocie do biura usiadł na fotelu kierownika.

Rozejrzał się dookoła.

Tak jak pamiętał, marynarka i krawat wisiały na wieszaku na ścianie obok drzwi.

– Wyjmij wszystko, co jest w marynarce, i mi podaj.

Biurko Borsellina było zupełnie gołe, żadnych papierów, długopisów, niczego, co zwykle kładzie się na blacie.

Montalbano otworzył środkową szufladę, tę, którą wyłamano. Kiedy oglądał ją pierwszy raz, nie zwrócił na to uwagi, ale teraz skonstatował, że Borsellino trzymał w niej wszystko, czego potrzebował w biurze: kartki, długopisy, ołówki, pieczątki. Telefon stał na osobnym stoliku. Tymczasem Fazio położył na blacie portfel, pięć złożonych we czworo kartek i zapalniczki książeczkowe w rodzaju tych, które w szczęśliwych czasach, kiedy można było palić, gdzie się chciało, nie narażając się na grzywny i więzienie, rozdawano w hotelach, klubach i restauracjach. Na opakowaniu widniał napis Chat noir.

– To wszystko, co znalazłem, panie komisarzu.

W portfelu było sto pięćdziesiąt pięć euro, karta do bankomatu i karta ubezpieczenia zdrowotnego, karta kredytowa i dowód osobisty, zdjęcie kobiety, zapewne zmarłej żony, kwitek potrzebny do odbioru okularów zostawionych w naprawie.

Złożone kartki okazały się fakturami zakupu i sprzedaży towarów z supermarketu.

A właśnie, zastanowił się komisarz, gdzie Borsellino trzymał komputer?

Montalbano otworzył szufladę po prawej stronie, w środku znajdował się komputer. Pod blatem biurka zamontowane były gniazdka elektryczne i telefoniczne.

– Wiesz, co to jest ten Chat noir?

– Tak jest. Rodzaj klubu dla panów.

– Szczerze powiedziawszy, nie wydaje mi się, żeby Borsellino był kimś, kto odwiedza takie miejsca.

– Mnie też się nie wydaje.

– To skąd się wzięły w jego kieszeni te zapalniczki?

– No cóż, powody mogą być różne. Może ktoś mu je podarował.

– Przecież nie palił! Na co by mu były?

– Może wsadził je do kieszeni odruchowo – Fazio wysunął następną hipotezę.

Po kilku sekundach Montalbano uśmiechnął się do niego.

– Możesz coś dla mnie zrobić? Zajrzyj pod biurko i sprawdź, czy nie ma tam popielniczki i niedopałka.

Fazio położył się płasko na ziemi, bo między spodem biurka a podłogą była zaledwie dziesięciocentymetrowa szpara.

– Są! – powiedział, wstając, i położył na biurku popielniczkę i niedopałek. – Jak pan się domyślił, że...

– Wyobraziłem sobie całą scenę.

– To może mi pan ją opisać.

– Morderca wchodzi do biura ze swoim współnikiem, siada, wyciąga z paczki papierosa, jednocześnie Borsellino bierze z szuflady popielniczkę i mu ją podaje. Morderca zapala papierosa ostatnią zapalniczką i rzuca opakowanie na biurko. Borsellino, który nie znosi mieć czegokolwiek na blacie, bierze je odruchowo, tak jak powiedziałaś, i wkłada do kieszeni. Potem w czasie szarpaniny, która poprzedziła upozorowanie samobójstwa, popielniczka spada pod biurko. Przekonuje cię to?

– Przekonuje.

– Posłuchaj, wrzuć niedopałek i opakowanie do plastikowego woreczka. Mogą być ważne.

Gdy Fazio wykonywał to polecenie, Montalbanowi nagle przyszło na myśl coś innego.

– Gdzie się podziała komórka?

– Czyja?

– Borsellina.

– A miał komórkę?

– Pewnie. Pamiętam doskonale, że kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, Borsellino trzymał ją w ręce.

– Niech pan przeszuka dokładnie szuflady.

Montalbano otworzył tę środkową i macając ręką, spenetrował ją do samego końca. Długopisy, ołówki, papier firmowy, pieczątki, pudełka pełne spinaczy, gumki.

Otworzył szufladę po prawej. Tylko komputer.

Potem szufladę po lewej. Faktury, listy spedycyjne, książki rachunkowe.

Ani śladu komórki.

– Może zabrali ją mordercy – powiedział Fazio.

– Albo zostawił ją w domu, kiedy wrócił tam coś zjeść i zmienić koszulę.

– Możliwe – przyznał Fazio.

– Wiesz, co to znaczy?

– Że musimy pojechać do mieszkania Borsellina – powiedział zrezygnowany Fazio.

– Zgadłeś. Włóż wszystko z powrotem do marynarki i jedziemy.

Wkładając portfel do marynarki, Fazio wydał z siebie okrzyk zdziwienia.

– Co jest?

– Panie komisarzu, chyba komórka jest jednak tutaj, w wewnętrznej kieszeni. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi.

Wsunął do niej rękę i wyjął coś, ale nie komórkę.

Był to przedmiot trochę krótszy i szerszy od termometru, zrobiony z metalu.

– Co to takiego? – spytał komisarz.

– Przecież na pewno widział pan mnóstwo takich urządzeń na konferencjach prasowych! Używają ich dziennikarze!

– I do czego służą?

– Rejestrują dźwięk, potem można je podłączyć do komputera. Są bardzo czułe i bateria długo działa. Nie wiem, jak się nazywają.

– Daj mi to.

Fazio wręczył mu dyktafon i Montalbano schował go sobie do kieszeni.

– Wiesz co? Na wszelki wypadek weźmy też komputer.

Fazio pomajstrował przy otwartej szufladzie i po chwili powiedział:

– Gotowe.

Wyszli z biura i znowu znaleźli się w całkowitych ciemnościach.

– Panie komisarzu – powiedział Fazio – niech pan idzie za mną i trzyma rękę na moim ramieniu. W ten sposób unikniemy ponownego wypadku.

Wyszli z supermarketu niezauważeni przez nikogo.

W drodze do samochodu też nie spotkali żywej duszy.

Kiedy dotarli w okolice domu Borsellina, Fazio zaparkował na pobliskiej ulicy. Była już jednak późna noc i tylko jakieś dwa psy kotłowały się z trzema kotami w pobliżu kontenerów na śmieci. Zanim wysiedli, Fazio wziął dwie latarki i podał jedną komisarzowi.

– Borsellino mieszkał na piątym piętrze – powiedział, gdy szli do budynku.

– Jest winda? – zaniepokoił się Montalbano.

– Tak. Co robimy?

– To znaczy?

– Wjedziemy na szóste i zejdziemy albo zatrzymamy się na czwartym i podejdziemy do góry?

– Wolę pierwszą możliwość – powiedział komisarz.

Fazio otworzył drzwi wejściowe do bloku z taką swobodą, jak gdyby sam tam mieszkał. Jednak z drzwiami do mieszkania nie poszło mu tak łatwo.

– Co się dzieje?

Klucz nie chciał wejść do zamka.

Spróbował ponownie.

– Co jest grane? – mruknął do siebie. – Kilka godzin temu otworzyłem bez problemów!

W końcu się mu udało i dostali się do środka. Zamknęli za sobą drzwi i zaświecili latarki.

Mieszkanie składało się z małego korytarzyka, z którego można było dojść do czterech pokoi, dwóch łazienek i kuchni. Było oczywiste, że Borsellino po śmierci żony nie przyjmował u siebie innych kobiet. Wszystko było w idealnym porządku.

Komórki nie znaleźli ani w sypialni, ani w salonie, ani w jadalni. Nie było jej także w kuchni ani w żadnej z dwóch łazienek.

Ostatni pokój pełnił funkcję gabinetu.

Znajdowało się tam biurko identyczne z tym w supermarkecie, fotel i dwie metalowe szafy pełne segregatorów. Ani śladu komórki.

Montalbano otworzył po kolei trzy szuflady biurka i od razu stwierdził, że nie ma w nich telefonu.

Coś mu jednak nie pasowało. Nagle zrozumiał co.

Pod blatem, koło szuflady z prawej strony, znajdowały się gniazdka telefoniczne i elektryczne, potrzebne do podłączenia komputera. Jednak na biurku komputera nie było.

Fazio, który śledził wzrokiem ruchy komisarza, pojął w lot, w czym rzecz.

– Może nie trzymał w domu komputera. Te biurka to już taki model, nie jest powiedziane, że...

Montalbano przesunął na bok papiery na biurku i pod spodem odkrył myszkę i klawiaturę.

Pokazał je Faziowi bez słowa.

Nagle Fazio walnął się w czoło i pobiegł do korytarza. Komisarz poszedł za nim.

Fazio otworzył po cichu drzwi, spróbował włożyć klucz do zamka i znowu napotkał trudności.

– Sforsowano drzwi – powiedział. – Ktoś wszedł do mieszkania i...

– ...zwędził komputer – dokończył Montalbano.

– Ale dziwne, bo musieli to zrobić już po tym, kiedy ja sprawdziłem klucz – powiedział Fazio. – Wtedy, kiedy my byliśmy w supermarkecie. Możliwe, że...

– Oni teraz tam pojechali, żeby zabrać komputer, bo nie wiedzą, że myśmy go już wzięli – stwierdził komisarz. – Zamieniliśmy się miejscami.

– Co robimy? Jedziemy ich zaskoczyć? – zaproponował Fazio.

– Jedziemy!

Pobiegli do samochodu. Kiedy już ruszyli, Fazio spytał:

– Ma pan broń?

– Nie. A ty?

– Ja tak. W schowku mam klucz angielski. Niech go pan weźmie, to lepsze niż nic.

Ostatnio często natykam się na klucze angielskie, pomyślał komisarz, chowając narzędzie do kieszeni.

– Najpierw przejedźmy przed głównym wejściem i sprawdźmy, czy jest tam zaparkowany jakiś samochód – powiedział Fazio.

Nie zobaczyli żadnego auta. Wtedy Fazio ostrożnie wjechał na parking z tyłu. On także był pusty.

Wysiedli i od razu zobaczyli leżące na ziemi plomby. Fazio był pewien, że po wyjściu umieścił je ponownie na miejscu.

Oznaczało to, że ktoś dopiero co opuścił supermarket albo jeszcze w nim był.

Potwierdzenie, że ktoś wszedł po nich do supermarketu, uzyskali od razu, bo klucz tym razem też nie chciał wejść do zamka.

W końcu udało się go przekręcić, ale wbrew oczekiwaniom komisarza Fazio nie otworzył od razu drzwi. A do tego się jeszcze odwrócił i spojrzał na Montalbana.

– Co jest?

– Najpierw musimy zawrzeć umowę – powiedział Fazio.

– No słucham.

– Ja wejdę, a pan poczeka na zewnątrz.

– Dlaczego?

– Bo nie jest pan uzbrojony.

– Przecież mam klucz angielski!

– Już widzę, jak się przestraszą klucza angielskiego! Jestem przekonany na sto procent, że to ci sami bandyci, którzy zabili już dwie osoby.

– Nawet o tym nie myśl! Nie ma mowy, żebym tu został. I pamiętaj, że jestem twoim zwierzchnikiem.

– Panie komisarzu, z całym szacunkiem, niech pan się zastanowi. Nie umie się pan poruszać w ciemnościach i nic wtedy nie widzi. A jeśli znowu wpadnie pan na jakieś puszki, to tamci zaczną strzelać, zanim ich zobaczymy.

Montalbano poczuł się upokorzony i obrażony, ale nie mógł nie przyznać Faziowi racji. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– No to zgoda?

– Zgoda – przyrzekł Montalbano, przełykając gorzką pigułkę.

Fazio wyjął pistolet, naładował go, otworzył drzwi i wszedł.

Komisarz przymknął drzwi i popatrzył przez szparę do środka, ale nie mógł nic zobaczyć. Winny był temu zapewne jego wiek. Nic też nie słyszał, bo Fazio umiał się poruszać bezszelestnie jak kot.

Nie minęło nawet pięć minut, a Fazio wrócił.

– Byli tu, ale już wyszli.

– Z czego to wywnioskowałeś?

– Wszystkie szuflady biurka i szafki są otwarte. Szukali komputera. Całe szczęście, że go w porę zabraliśmy.

Po powrocie do Marinelli komisarz wziął prysznic, żeby zmyć z siebie proszek, który wpadł za koszulę na piersi i na plecy. Zajęło mu to dużo czasu, bo w zetknięciu z wodą proszek pienił się bardziej od mydła.

Kiedy poszedł się położyć, pachniał jak świeże pranie.

Nie udało mu się jednak zasnąć od razu.

Dręczyło go pytanie: dlaczego Borsellino trzymał w kieszeni znaleziony przez nich dyktafon?

Na pewno nie nosił go w niej cały czas, chyba miał zwyczaj gdzieś chować ten sprzęt, kiedy nie był już mu potrzebny.

Ale do czego mu służył? Nagrywał muzykę?

Nie, nie wyglądał na miłośnika Chopina czy Brahmsa. Ani na takiego, który słucha arii operowych czy najnowszych przebojów.

A zatem najwyraźniej używał go do nagrywania rozmów prowadzonych w biurze.

W jakim celu?

Zapewne włączał nagrywanie, kiedy miał upomnieć albo nawet zwolnić jakiegoś pracownika.

Gdyby ktoś złożył skargę lub odwołanie, Borsellino mógł dzięki nagraniu udowodnić, jaki był prawdziwy przebieg zdarzeń.

Zadowolony z tej konkluzji, komisarz wreszcie zasnął.

*

Nad ranem miał sen.

Zapamiętał go, bo obudził się w środku historii, która mu się przyśniła. Dzięki temu wryła mu się w pamięć.

Oto oglądał film amerykański widziany wiele lat wcześniej.

Nosił tytuł *Niezwyciężeni*.

Nie, mylił się, tytuł brzmiał *Nietykalni*. Film opowiadał o wojnie, którą specjalny oddział policji wydaje sławnemu gangsterowi Alowi Capone.

Jedna scena szczególnie spodobała się komisarzowi: aresztowanie księgowego Ala Capone na wielkich schodach dworca kolejowego.

Schwytanie tajemniczego księgowego było niezwykle ważne, bo na podstawie prowadzonej przez niego buchalterii można było udowodnić, że boss mafii nie płacił podatków.

Najzabawniejsze w tym śnie było to, że on, Montalbano, był szefem oddziału, a Fazio jego pomocnikiem.

W filmie, kiedy amerykańscy policjanci celują do ochroniarzy księgowego, przechodzącej obok kobiecie wymyka się z rąk wózek z dzieckiem i zaczyna spadać po schodach. Był to oczywiście hołd złożony wielkiemu sowieckiemu reżyserowi Eisensteinowi.

Montalbano nie miał powodu składać nikomu hołdu, więc rolę wózka we śnie odegrał pojemnik z proszkiem. W środku, zamiast niemowlęcia, znajdował się kierownik Borsellino w śpioszka, czepeczku i okularach, który płakał wniebogłosy i prosił przez telefon o pomoc.

Fazio próbował zatrzymać pojemnik-wózek, ale nie dał rady i pojemnik z Borsellinem w środku wpadł pod nadjeżdżającą lokomotywę.

Tymczasem ochroniarze księgowego rzucali w Montalbana puszkami pomidorów. Jedna trafiła go prosto w czoło i pękła.

Fazio wpadł w przerażenie na widok czerwonej cieczy spływającej po twarzy komisarza.

– Panie komisarzu, pan jest ranny!

– Nie, to tylko przecier pomidorowy! Zapomniałeś, że to film?

Jednym słowem, jakiś kolosalny nonsens.

Potem Montalbano przypomniał sobie, że przed nocną wyprawą z Faziem pożarł wielką porcję tej przeklętej ośmiornicy.

Oto wyjaśnienie męczącego snu: nie strawił dobrze kolacji.

Obudził się zupełnie nieprzytomny tylko dlatego, że nastawił budzik. Nie przespał nawet trzech godzin. Na wszelki wypadek pierwszą rzeczą, którą zrobił, było wyjęcie resztek ośmiornicy z lodówki i wystawienie ich na werandę, żeby zajęły się nimi koty.

Wziął bardzo długi prysznic, raczej po to, żeby się obudzić, niż w celach higienicznych. Zakręcił w końcu wodę tylko z powodu obaw, że skończy się jej zapas w zbiorniku retencyjnym.

Na koniec włożył świeże ubranie, to z poprzedniego dnia było całe w proszku i wrzucił je do kosza na brudną bieliznę, żeby Adelina zaniósła je do pralni.

Był gotów do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon.

O Jezu, powiedział do siebie, oszczędź mi kolejnego trupa rano! Nie czuję się dzisiaj w stanie prowadzić śledztwa!

To była jednak Livia.

– Jak się masz?

Gdzie to on wyczytał, że tego pytania nie należy nikomu zadawać?

– Świetnie. A ty?

– Przez ciebie całą noc nie spałam.

– Przeze mnie?

– Tak. Bo wczoraj się pokłóciliśmy, zrobiło mi się przykro i chciałam cię przeprosić. Dzwoniłam co pół godziny, ale nie odpowiadałaś. O trzeciej dałam za wygraną, ale nie mogłam się uspokoić. Dlaczego nie odbierałaś telefonu?

– Livio droga, spróbuj pomyśleć logicznie i mi odpowiedz: twoim zdaniem o co się pokłóciliśmy?

– Już nie pamiętam.

– To ci odświeżę pamięć. Pokłóciliśmy się, bo cię zirytowało, że wychodzę w nocy w sprawach służbowych. Teraz już sobie przypominasz?

– Mniej więcej.

Ta kobieta potrafiła go doprowadzić do szału!

– Krótko mówiąc: byłem poza domem, więc nie mogłem odebrać telefonu. Elementarne, mój Watsonie.

– Aha!

– Co ma znaczyć to „aha”?

– Znaczy, innymi słowy, że nazywasz mnie Watsonem, bo sam się uważasz za Sherlocka Holmesa.

Nie, na kłótnie z samego rana naprawdę nie miał siły.

– Cześć, do wieczora. Teraz muszę zmykać.

– A zmykaj, zmykaj.

Jezu, czasami bywa naprawdę upierdliwa!

– Catarè, czy Fazio przypadkiem wspomniał ci o komputerze?

– Tak jest, panie komisarzu. On mi wykonał dostawę. Wyjaśnić mi pan może, co pan pragnie, abym ja z owym uczynił?

– Włącz go, sprawdź wszystko, co jest w środku, ale dosłownie wszystko, a potem to zrekapitulujesz.

Catarella zbladł.

- Co się dzieje?
- No bo nie rozumiem, co ja mam rekapultować.
- Jak to co?
- Tę rzecz, co pan powiedział.
- Masz po prostu przyjść do mnie i opowiedzieć, co znalazłeś w komputerze.
- Oj, to dobrze, panie komisarzu. Bom się nastraszył!

Wszedł Fazio.

- Co nowego?
- Nic, panie komisarzu.
- Augello?
- Zgłoszono próbę włamania dzisiaj w nocy do sklepu z futrami i komisarz Augello pojechał na miejsce.
- Miejmy nadzieję, że potem nie zostanie znowu oskarżony o doprowadzenie właściciela do samobójstwa.
- Tym razem mu to nie grozi, panie komisarzu. Sklep należy do niejakiego Alfonsa Pirotty, jednego z tych, którzy odmówili płacenia haraczu mafii.
- To znaczy, że próba włamania jest ostrzeżeniem, które ma go przekonać, żeby zmienił zdanie – stwierdził Montalbano. Potem spytał: – Ilu jest w Vigacie takich, którzy nie płacą haraczu?
- Teraz może ze trzydziestu, ale kto wie, czy nie dołączą inni. W Montelusie jest nowy sędzia, Barrafato, który nie idzie na układy, więc właściciele sklepów nabrali odwagi.
- Biedny Barrafato!
- Fazio popatrzył na niego ze zdziwieniem.
- Dlaczego tak pan mówi?
- Bo prędzej czy później sędzia ten nadepnie mafii na odcisk i zostanie wezwany na dywanik w sprawie podsłuchu, który kazał założyć, chociaż zdaniem jakiegoś posła nie powinien tego robić. Obsmarują go we wszystkich gazetach i programach telewizyjnych, a na koniec przeniosą na inne stanowisko. Chcesz się założyć?
- Nie. Nie lubię przegrywać.

Fazio wrócił po chwili, z uśmiechem, który się komisarzowi wcale nie spodobał.

– Panie komisarzu, załatwimy następną porcję?

– Porcję czego?

– Dokumentów do podpisania.

Montalbano rozważał różne możliwości. A że nie miał nic innego do roboty, lepiej już było ścierpieć tę torturę.

– No dobrze, przynieś mi z dziesięć.

*

Skończył czytać i podpisywać mniej więcej połowę dokumentów, kiedy zadzwonił telefon. Popatrzył na zegarek, była prawie jedenasta. Odebrał ochoczo, z nadzieją że zdarzyło się coś, co go zwolni z podpisywania tych cholernych papierzysek. To był Catarella.

– Panie komisarzu, bo by było tak, że tu by był pan z przedwczoraj, który z panem osobiście we własnej osobie rozmawiać pragnie.

– Jaki znowu pan z przedwczoraj? Powiedział, jak się nazywa?

– Tak jest, panie komisarzu. Strangio.

Strangio?! Giovanni Strangio?! Kierowca wariat?

To niemożliwe. Catarella jak zwykle musiał przekreślić nazwisko.

– Na pewno nazywa się Strangio?

– Ależ tak, rękę sobie ucinam, że on się tak nazywa.

Biorąc pod uwagę skłonność Catarelli do przekreślania nazwisk, teraz powinien już mieć kikut zamiast ręki.

Czego mógł chcieć Strangio?

Komisarz, zanim go przyjął, chciał się upewnić, że naprawdę o niego chodzi.

– Słuchaj, posadź go w poczekalni. Aha, poczekaj. Przy tej okazji postaraj się sprawdzić, czy nie ma w kieszeni klucza angielskiego.

Lepiej się zabezpieczyć.

Catarella wrócił po chwili do aparatu.

– Panie komisarzu, a wie pan, co ja narobiłem? Na niby się poślizgnąłem i żeby upadnięcia uniknąć, pochwyciłem onego i pomacałem dokładnie. Czy nie pomyśliłem tego sprytnie?

– Bardzo sprytnie, gratulacje. No i co, ma klucz?

– Nie, nie ma. Rękę sobie ucinam.

Komisarz jeszcze nie był do końca przekonany.

Odczekał kilka minut, potem wstał, wyszedł z gabinetu, minął Catarellę, przyłożywszy palec do ust, żeby mu dać do zrozumienia, że ma siedzieć cicho. Wystawił głowę przez drzwi wejściowe i popatrzył na parking.

Doskonale znane mu BMW stało na widoku.

Nie było wątpliwości, że chodzi o tego samego faceta.

Komisarz przeszedł znowu obok skołowanego Catarelli, wrócił do gabinetu i podniósł słuchawkę.

– Catarè, połącz mnie z Faziem.

Nie zdążył policzyć do pięciu i Fazio już był na linii.

– Słucham pana.

– Fazio, przyjechał tutaj kierowca, Strangio, ten, którego dwa dni temu zatrzymałem, bo się strasznie rzucał...

– Opowiedziano mi tę historię, panie komisarzu, sam jednak tego Strangia nie widziałem.

– Nieważne, zobaczysz go teraz. Nie wiem, co mu chodzi po głowie, lepiej byłoby więc, żebyś dotrzymał mi towarzystwa, kiedy będę z nim rozmawiał.

– Już idę.

Lepiej zachować ostrożność, kiedy ma się do czynienia z takim typem.

Fazio zjawił się, po czym usiadł na jednym z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem.

Montalbano zadzwonił do Catarelli i powiedział mu, żeby zawołał mężczyznę, który chce rozmawiać z komisarzem.

Kiedy Montalbano zobaczył wchodzącego Strangia, wytrzeszczył oczy.

To nie był Giovanni Strangio, którego spotkał dwa dni wcześniej, tylko ktoś wyglądający na jego brata bliźniaka.

Tamten był chamski, neurasteniczny i agresywny, ten – grzeczny, spokojny, opanowany.

– Dzień dobry – powiedział.

– Proszę usiąść – rzekł Montalbano, wskazując mu krzesło.

Strangio usiadł.

– Czy mogę zapalić? – spytał.

– Tu właściwie nie wolno – powiedział komisarz. – Ale możemy zrobić dla pana wyjątek.

Czy nie mówi się zawsze, że wariatom trzeba dogadzać?

Strangio wyjął z kieszeni zapałki i papierosa i go zapalił.

Dopiero wtedy komisarz i Fazio zauważyli, że drżą mu ręce. Najwyraźniej z trudem opanowywał silne emocje.

Montalbano wymienił szybkie spojrzenie z Faziem, żeby dać mu do zrozumienia, że ma zachować czujność.

Lepiej było nie popędzać Strangia, dać mu czas, aż zdecyduje się mówić.

– Przyszedłem tutaj... przyszedłem, żeby zgłosić morderstwo – wyrzucił nagle z siebie trzydziestolatek.

Jego słowa odniosły taki efekt, jak gdyby ktoś wrzucił bombę do pokoju.

Fazio aż podskoczył, Montalbano zeszczywniał w fotelu.

– Kogo zamordowano? – odważył się spytać komisarz.

– Moją... moją narzeczoną – odpowiedział Strangio.

Montalbano i Fazio nie śmieli odetchnąć.

– Nazywa się... nazywała się Mariangela Carlesimo.

Zaciągnął się po raz ostatni papierosem.

– Gdzie to wyrzucić? – spytał, wskazując na niedopałek.

To pytanie rozładowało napięcie.

Montalbano odprężył się, a Fazio powiedział:

– Niech mi go pan da.

Poszedł wyrzucić peta przez okno.

– Oczywiście, to nie ja ją zabiłem – oświadczył Strangio – ja tylko znalazłem jej ciało. Poza tym...

– Chwileczkę – powstrzymał go Montalbano. – Niech pan w tym miejscu przerwie. Proszę dalej nie mówić.

Trzydziestolatek popatrzył na komisarza pytająco. To samo zrobił Fazio.

– Widzi pan, sprawy mają się tak, że to ja aresztowałem pana w związku ze zdarzeniem dwa dni temu.

– I co z tego?

– To znaczy, że chyba nie jestem najwłaściwszą osobą, by zająć się przestępstwem, w które do pewnego stopnia jest pan zamieszany.

– Dlaczego?

– Bo ktoś mógłby mnie oskarżyć o stronniczość w prowadzeniu tej sprawy. Czy wyraziłem się jasno?

– Bardzo jasno. I co w związku z tym?

– No więc powiem jeszcze jaśniej. Rozmawiał pan już o tym ze swoim adwokatem Nullem Merantim?

– Tak. Był pierwszą osobą, którą zawiadomiłem.

– Drugą był pana ojciec?

Za późno ugryzł się w język. Wymknęło mu się.

Strangio nie zareagował jednak na prowokację.

– Oczywiście.

– I co panu powiedział adwokat?

– Żebym w każdym razie zgłosił się do pana.

– A dlaczego z panem nie przyszedł?

– Jest zajęty w sądzie.

Fazio nie mógł się dłużej powstrzymać.

– Do czego pan zmierza? – spytał komisarza.

– Gdzie znajduje się ciało? – zapytał ze swej strony Montalbano.

– W naszym mieszkaniu. Od jakiegoś czasu mieszkaliśmy razem.

– Jedziemy – powiedział komisarz, wstając.

– Czy mam zawiadomić ekipę techniczną, prokuratora i doktora Pasquana? – spytał Fazio.

Montalbano już miał mu powiedzieć „tak”, ale się powstrzymał.

Nie lepiej najpierw sprawdzić, czy ciało rzeczywiście tam jest? Może ten wariat wszystko sobie wymyślił?

– Zadzwońisz po nich, kiedy ci powiem.

– Nie chce pan wiedzieć nic więcej? – zdziwił się trzydziestolatek.

– Wystarczy to, co mi pan powiedział. Resztę opowie pan prokuratorowi, nie mnie.

– Jak pan sobie życzy. Pojedziemy moim samochodem? – spytał Strangio.

Żeby się rozbić o jakieś drzewo?

– Nie, pojedziemy samochodem służbowym. Jest Gallo?

– Tak, jest.

Fazio poszedł po Galla. Montalbano i Strangio wyszli przed budynek, żeby poczekać na radiowóz. Trzydziestolatek zapalił kolejnego papierosa.

Montalbano przyglądał mu się spod oka, bo ciałem Strangia wstrząsnął rodzaj dreszczu, zdawało się, że przebiega przez nie prąd.

Potem wszystko zdarzyło się w ułamku sekundy.

Gdy tylko pojawił się samochód prowadzony przez Galla, Strangio wyrzucił papierosa, zrobił wielkiego susa i wślizgnął się szczupakiem pod auto.

Na szczęście radiowóz już zwolnił i powoli się toczył, dlatego Strangio nie skończył pod kołami, tylko uderzył głową w zderzak i upadł oszołomiony na ziemię, gdy z czoła trysnęła mu krew niczym z fontanny.

Fazio i Montalbano przykucnęli, żeby mu się przyjrzeć, na pierwszy rzut oka rana nie wyglądała groźnie.

Gallo pobiegł do komisariatu. Strangio zaczął płakać.

Policjant wrócił ze środkiem dezynfekującym i bandażem i usiłował zatamować krew, jednak bez skutku, rana była zbyt duża.

– Zawieźcie go na pogotowie – powiedział Montalbano – a potem przyjedźcie po mnie.

Zamiast wrócić od razu do gabinetu, najpierw zapalił papierosa.

Wyczyn Strangia nie zrobił na nim wrażenia.

Zrozumiał od razu, że nie był to impuls podyktowany cierpieniem, rozpaczą, wyrzutami sumienia czy wynikający z jakiegoś innego motywu.

Nie, Strangio zrobił to z zimną krwią, w sposób przemyślany i szczegółowo zaplanował ten czyn. Bynajmniej nie stracił głowy, choć takie chciał wywołać wrażenie. Bez wątpienia chciał coś osiągnąć. Ale co?

Było to typowe działanie osoby, która ma coś na sumieniu, ale chce sprawić wrażenie, że jest niewinna. Było to jakby złożenie podpisu pod morderstwem. Potem Strangio twierdziłby, że chciał się rzucić pod samochód z rozpaczony po stracie narzeczonej.

Komisarz postanowił jednak nie roztrząsać tej sytuacji dalej, żeby nie wyrobić sobie z góry opinii.

Wrócił do gabinetu i żeby zająć czymś głowę, zabrał się do podpisywania tych przekłętých papierzysk.

Fazio wrócił po godzinie.

– Jak poszło?

- Założyli mu pięć szwów.
- Gdzie jest teraz?
- Tutaj, przed budynkiem. W samochodzie.
- Czy jest w stanie...
- Moim zdaniem poza lekkim bólem głowy czuje się świetnie.

Kiedy wyszli z komisariatu, Montalbano zobaczył Galla z gąbką i wiaderkiem pełnym wody, który szedł właśnie w stronę radiowozu.

- Co robisz?
- Chcę umyć zderzak. Jest cały pobrudzony krwią.
- Poczekaj. Mamy polaroid?
- Nie. Ale mam dobry aparat.
- Jeszcze lepiej. Weź go i zrób zdjęcia plam krwi. Potem je zmyjesz.
- Czy może mi pan powiedzieć, czemu to ma służyć? – spytał Fazio.
- Bo z tym Strangiem nic nie wiadomo, jeszcze będzie przysięgał, że to my rozbiliśmy mu głowę w komisariacie, bo chcieliśmy zmusić go do przyznania się do winy.

Nic na to nie mógł poradzić, uprzedził się do tego typu, choć jego niechęć była ze wszech miar uzasadniona.

Lepiej przekaże dochodzenie komuś innemu, gdy tylko nadarzy się okazja.

Strangio mieszkał w jednopiętrowej willi na via Pirandello pod numerem 14. Była to ulica na obrzeżach miasteczka, równoległa do drogi regionalnej, którą Montalbano dojeżdżał z Marinelli.

Zaraz po prawej stronie, oddzielony wąską uliczką, na której mieścił się z trudem jeden samochód, wznosił się sześciopiętrowy blok. Nikt nie wyglądał przez okno, z wyjątkiem jakiejś pani, która wystawiła się na promienie słońca.

Na szczęście wieść o morderstwie jeszcze się nie rozeszła.

Pozostawiona na oścież brama wiodła do alejki, wystarczająco szerokiej, aby mogło nią przejechać auto. Droga ta przecinała mały, zaniedbany i porośnięty chwastami ogród i prowadziła za budynek.

Fazio zaparkował tuż przed bramą. Wszyscy wysiedli.

- Niech pan prowadzi – powiedział Montalbano do Strangia.

Przeszli alejką do drzwi wejściowych. Strangio, który już trzymał w ręce klucz, włożył go do zamka. Zanim go jednak obrócił, zawahał się na chwilę. Wreszcie zdecydował się i otworzył drzwi, po czym usunął się zaraz na bok.

– Mam iść pierwszy? – spytał.

– Tak.

– Nie czuję się na siłach – powiedział zdecydowanie, podnosząc rękę do obandażowanej głowy.

Był blady jak trup.

– Woli pan zostać tu na zewnątrz? – spytał Montalbano.

– Jeśli to możliwe...

– Jestem ciekaw jednej rzeczy. Dlaczego przyjechał pan do komisariatu, zamiast zawiadomić nas telefonicznie zaraz po odkryciu ciała?

Strangio przełknął z trudem ślinę, musiał mieć wyschnięte gardło.

– Nie wiem... chciałem uciec stąd jak najdalej.

– Dobrze. Gallo, zostań z nim. Gdzie jest...?

– Kto? – spytał zdezorientowany Strangio.

– Ciało.

– Na górze. W gabinecie.

Na dole znajdowała się jadalnia, salon, kuchnia i łazienka. Eleganckie drewniane schody prowadziły na pierwsze piętro. Weszli.

Na górze była wielka sypialnia małżeńska z niepościelonym łóżkiem, pokój gościnny, druga łazienka i gabinet.

Na całym piętrze unosił się dobrze znany Faziowi i Montalbanowi słodkawy odór krwi, który dusił w gardle i przyprawiał o mdłości.

Na biurku w gabinecie leżały nagie zwłoki dziewczyny z rozłożonymi nogami. Miała jasne, bardzo długie włosy. Musiała być śliczna.

Zarżnięto ją, nie dało się tego inaczej nazwać.

Całe ciało było jedną wielką raną. Morderca z taką furią zaatakował jej piersi i podbrzusze, że widać było wnętrzności.

Krew na podłodze zebrała się w ogromną kałużę. Nie wchodząc w nią, nie można się było zbliżyć do zmarłej.

Montalbano nie był w stanie na to patrzeć.

– Zawiadom wszystkich – powiedział, wychodząc z pokoju.

Teraz rozumiał, dlaczego Strangio nie chciał z nimi wejść.

Zszedł na parter, wychynął przez drzwi, zawołał Galla i Strangia. Wszyscy trzej siedli w salonie, czekając na przyjazd służb.

Dopóki ekipa techniczna nie dotarła na miejsce, nikt nie otworzył ust.

Zaraz potem zjawił się doktor Pasquano.

Przyjechał ambulans, z dwoma asystentami, którzy potem mieli przewieźć ciało na sekcję do zakładu medycyny sądowej. Nie przywitał się z nikim, był ponury.

Najwyraźniej poprzedniego wieczoru przegrał w pokera.

– Gdzie jest?

– Na górze – odpowiedział Fazio.

Pasquano zniknął, ale po niespełna minucie był już z powrotem, poczerwieniały na twarzy i jeszcze bardziej zezłoszony.

– Co jest, do kurwy nędzy? Powiedzieli mi, że to potrwa jeszcze pół godziny! Zabawiają się robieniem zdjęć! Tak jakby były do czegoś potrzebne! Nie mam czasu na takie głupoty!

Usiadł na fotelu obok komisarza, wyciągnął z kieszeni gazetę i zabrał się do czytania.

Jednak ponieważ Montalbano wyciągnął szyję, żeby zerknąć na jakiś tytuł, doktor zmierzył go wzrokiem bazyliuszka, wstał i usiadł na innym krześle.

Gallo patrzył przed siebie, Strangio obejmował sobie głowę rękami, Pasquano czytał, mamrocząc pod nosem, Fazio, który zszedł do salonu po przyjeździe ekipy technicznej, sprawdzał coś na kartce.

Komisarz odniósł wrażenie, że siedzi w poczekalni u dentysty.

Wstał i wyszedł na zewnątrz, do ogrodu, żeby wypalić papierosa.

Po chwili dołączył do niego Fazio.

– Panie komisarzu, dlaczego nie przesłuchuje pan Strangia?

– Bo to strata czasu.

– Dlaczego?

– Jestem przekonany, że gdy tylko naczelnik oprzytomnieje, odbierze mi tę sprawę. I tym razem nawet nie bez racji.

– Tylko dlatego?

Fazio był inteligentny, czego dowodem było to pytanie.

– Fazio, innych powodów sam się domyśl.

– Boi się pan, że zastawiono na pana pułapkę?

– Poniekąd. Jeśli zaczną się czepiać, że miałem powody być uprzedzony do Strangia, łatwo będzie podważyć wyniki śledztwa.

W tym momencie zjawił się prokurator Tommaseo z kancelistą sądowym Delucą.

– Proszę mi wybaczyć spóźnienie. Niestety po drodze miałem mały wypadek.

Tommaseo nie tylko nosił bardzo grube okulary, które przypominały szkła pancerne, ale miał też zwyczaj prowadzić samochód jak w pijanym widzie. Wpadał na każdy kontener na śmieci, słupek czy drzewo przy drodze, ale dzięki temu, że jeździł z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę, uszkadzał tylko samochód.

– Kim jest ofiara? – spytał Montalbana.

– Piękna młoda dziewczyna – odpowiedział komisarz.

I widząc, że prokuratorowi zaświeciły się oczy, dodał dla lepszego efektu:

– Zupełnie naga.

– Zgwałcono ją?

– To prawdopodobne.

Tommaseo skoczył do drzwi i w mgnieniu oka zniknął w willi.

– Idź za nim – powiedział Montalbano do Fazia. – Zawołaj mnie, kiedy zaczniesz przesłuchiwać Strangia. Chcę być przy tym.

Zeznanie trzydziestolatka przyjął w salonie Tommaseo, a zapisał kancelista. Fazio był przy tym obecny, Galla poproszono, by poczekał na zewnątrz.

Wyproszono także doktora Pasquana, który nie szczędząc przekleństw, poszedł do jadalni.

– Proszę podać swoje dane.

Strangio je podał.

Kiedy Tommaseo usłyszał jego nazwisko, zawahał się.

– Czy przypadkiem jest pan synem...

– Tak, prezydent regionu to mój ojciec.

– Ach, tak – powiedział Tommaseo.

Westchnął i kontynuował przesłuchanie:

– Proszę mi powiedzieć, jak odkrył pan morderstwo.

Wyglądało na to, że Strangio odzyskał panowanie nad sobą. Wyglądał wręcz na odprężonego, ręce już mu nie drżały. Może pomogło mu uderzenie w głowę i duża utrata krwi?

– Dzisiaj rano, kiedy przyleciałem na lotnisko Punta Raisi...

– Skąd pan przyleciał?

– Z Rzymu.

– Dlaczego był pan w Rzymie?

- W celach służbowych.
- Czy pan tam pracuje?
- Nie, musiałem polecieć do Rzymu na zebranie.
- Gdzie jest pan zatrudniony?
- W P&T. Produkują komputery, drukarki... właściwie nie jestem pracownikiem, ale wyłącznym przedstawicielem tej firmy na Sycylii. Przedstawiciele raz w miesiącu przyjeżdżają do Rzymu na jednodniowe zebranie, terminy się zmieniają, ale zawsze spotykamy się w pierwszym tygodniu miesiąca.
- A zatem był pan cały dzień w Rzymie?
- Tak.
- O której godzinie miał pan lot z Palermo?
- Wczoraj? Poleciałem samolotem o siódmej rano.
- Proszę mówić dalej.
- Dzisiaj rano, kiedy wylądowałem, zgodnie z rozkładem, o dziewiętej, poszedłem po samochód, który zostawiłem poprzedniego dnia na parkingu, i od razu ruszyłem do Vigaty. Ale...
- Ale?
- Czułem się nieswojo. Coś było nie tak.
- Co takiego?
- Widzi pan, zawsze, kiedy ląduję na Punta Raisi, dzwonię do narzeczonej, Mariangeli. Dzisiaj rano też to zrobiłem, ale nie odebrała telefonu. Dzwoniłem kilkakrotnie w czasie jazdy samochodem. Wciąż nie odpowiadała. To mnie zaniepokoiło.
- Dlaczego? Mogła wyjść na zakupy albo w innym celu.
- Mariangela nigdy nie wstawiała przed dziesiątą.
- Mogła pójść do rodziców.
- Nie mieszkają w Vigacie.
- Dzwonił pan do domu czy na komórkę?
- Do domu. Jeden z aparatów stoi na szafce przy łóżku. Dzwoniłem bardzo długo.
- Dlaczego nie próbował pan zadzwonić na komórkę?
- Bo Mariangela ma... miała zwyczaj wyłączać ją, kiedy szła spać. Poza tym wiedziała, że zadzwonię do niej jak zwykle zaraz po przylocie, dlatego...
- Proszę mówić dalej.

– Kiedy przyjechałem, wstawiłem samochód do garażu za willą i wszedłem do domu od strony ogrodu. Otworzyłem drzwi, zawołałem, nikt nie odpowiedział. Pomyślałem, że może mocno śpi, czasami brała środki nasenne. Wszedłem na pierwsze piętro i zajrzałem do sypialni. Nie było jej tam. Wróciłem na korytarz i stamtąd zobaczyłem coś... coś strasznego na biurku w gabinecie. Zrobiłem krok i... to wszystko.

– Czyli nie wszedł pan do gabinetu?

– Nie.

– Dlaczego?

– No... trochę dlatego, że nogi odmówiły mi posłuszeństwa... no i zrozumiałem, że nic się już nie da zrobić. A także... nie byłem w stanie w to uwierzyć. Nie wiem, jak to wyjaśnić.

– Jak pan się domyślił, że nie żyje?

Po raz pierwszy Strangio podniósł głowę i popatrzył na Tommasea.

– Mój Boże, to było oczywiste!

– Jak się nazywała pana narzeczona?

– Mariangela Carlesimo, miała dwadzieścia trzy lata, studiowała architekturę w Palermo.

– Od jak dawna byliście parą?

– Od ponad półtora roku. Ale zamieszkaliśmy tutaj razem sześć miesięcy temu. W tym momencie Montalbano podniósł się i wyszedł.

– Gallo, zawieź mnie do Enza.

Nie miało sensu przysłuchiwać się pytaniom Tommasea, lepiej było pójść coś zjeść.

Przed bramą z mikrofonami i kamerami stali już dziennikarze, którzy zlecieli się jak muchy do krowiego łajna.

Nie dał Enzowi satysfakcji, na jaką zasługiwały jego dania. Zjadł mało i bez apetytu.

Nie umiał sobie wytłumaczyć powodu swojego złego samopoczucia.

Czy to dlatego, że wciąż miał przed oczami okaleczone ciało biednej dziewczyny? Czy dlatego, że nie przekonywało go zachowanie Strangia?

Poszedł, jak zwykle, pod latarnię, ale bardziej dla zabicia czasu niż z potrzeby strawienia obiadu.

Po powrocie do komisariatu od razu zadzwonił do Bonettiego-Alderighiego. Odebrał Lattes i powiedział, że naczelnik wciąż źle się czuje. Chwilowo jego obowiązki pełni zastępca Concialupo i jeśli Montalbano ma jakąś pilną sprawę, może zwrócić się do niego.

Komisarz nie miał jednak ochoty rozmawiać z Concialupem, którego uważał za pocziwego faceta, ale trzeba mu było powtarzać wszystko trzy razy, zanim coś zrozumiał.

– Czy wie pan, kiedy naczelnik...

– Na pewno jutro, jak Bóg da.

Co robić?

Lepiej było unikać kontaktu ze Strangiem, dopóki komisarz nie porozmawia z naczelnikiem. Wcześniejsze przesłuchanie byłoby błędem.

Zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, bo tutaj na telefonie by był pan prokurator.

– Tommaseo?

– Osobiście we własnej osobie.

– Przełącz go do mnie.

– Widział pan, jaka to była piękna dziewczyna? – zaczął prokurator.

A jakże! Pewnie Tommaseo już się ślinił. Uwielbiał morderstwa pięknych dziewcząt, zabójstwa w afekcie, konflikty miłosne. Pławił się w nich jak ryba w wodzie.

Komisarz doszedł do wniosku, że prokurator tak sobie rekompensował całkowity brak relacji emocjonalnych w swoim życiu.

– Mam tu przed sobą jej fotografię i zapewniam pana, że rzadko spotyka się tak piękne kobiety – mówił dalej Tommaseo.

Montalbano zdrętwiał.

O jakie fotografie chodziło? Zdjęcia okaleczonego ciała?

– Dała je panu ekipa techniczna?

– Ależ nie! Poprosiłem o nie Strangia. Nawiasem mówiąc, wyrobiłem już sobie zdanie o tej sprawie, wie pan?

Montalbano zaniemówił.

Co tam Sherlock Holmes! Tommaseo był niczym przygotowana w mikserze mieszanka Poirota, Maigreta, Marlowe'a, Carvalha, Derricka, porucznika Columbo i Perry'ego Masona.

– Co pan powie!

– Ależ tak, mój drogi! Jestem pewien, że sprawy potoczyły się tak, jak to panu teraz opowiem. Dałbym sobie rękę uciąć.

Tak samo jak Catarella, który niedługo miał zostać nie tylko bez ręki, ale i bez całego ramienia.

– Proszę mnie oświecić.

– Najprostsza sprawa pod słońcem! Jestem przekonany, że Strangio, wróciwszy bez uprzedzenia do domu, przyłapał narzeczoną na uprawianiu seksu z innym mężczyzną. I oszalały z zazdrości, zabił ją.

Czyżby Tommaseo nie zauważył, że krew w gabinecie zdążyła już zaschnąć? Że dziewczynę zabito co najmniej dzień wcześniej? Montalbano postanowił go trochę podpuścić.

– Ale jak udało się panu tak szybko... – spytał, udając podziw i zdumienie.

– Wystarczyła mi rozmowa ze Strangiem. Zresztą pan to pewnie też zauważył? To jego opanowanie, jakąś taką bezlitosną jasność umysłu.

– Samokontrolę? – dodał Montalbano.

– Otóż to. No jak to, zabijają ci narzeczoną, dziewczynę, z którą mieszkałeś, a ty jesteś zimny jak gład?

– Niewzruszony jak skała?

– Tak jest. Nawet ci powieka nie drgnie?

– Łza ci z oka nie spłynie? – zasugerował Montalbano.

– Tak jest. Nie uważa pan, że taka oziębłość to typowe zachowanie mordercy?

– Jakżeby nie?

– Wobec tego niech pan go od razu przycisnie, nalegam!

– Kazał go pan aresztować?

– Nie. Zresztą na jakiej podstawie? Na razie jest tylko świadkiem.

No więc należało go traktować jak świadka. O żadnym przyciskaniu nie było mowy.

Fazio zjawił się godzinę później.

– Wiesz co? Dzwonił do mnie Tommaseo.

– Czego chciał?

– Żebym przycisnął Strangia.

– Ha, ha.

– Czemu się śmiejesz?!

– Bo on bynajmniej się nie palił, żeby go przycisnąć. Widział pan, jaką zrobił minę, kiedy Strangio powiedział mu, kto jest jego ojcem? Pan prokurator chce, żebyśmy dla niego wyciągnęli kasztany z ognia!

– Jednak – zauważył Montalbano – to nie znaczy, że mamy nie podejmować działań. Najlepiej zróbmy to tak, żeby nic nie doszło do uszu Strangia lub jego ojca, bo moglibyśmy się sparzyć.

– Nie dotykać drutów pod napięciem! – zauważył Fazio.

– Ta dziewczyna, jak się nazywała, aha, Mariangela Colosimo... – zaczął komisarz.

– Carlesimo – poprawił go Fazio.

Jak to możliwe, wcześniej nigdy nie przekreślał nazwisk, a teraz zaczął przypominać Catarellę?

– Ta dziewczyna – Montalbano ciągnął dalej trochę zirytowany – jeśli wierzyć temu, co powiedział jej narzeczony, nie wyglądała na osobę, która miałaby ochotę zajmować się domem. Na pewno zatrudniała dochodzącą sprzątaczkę. Trzeba się dowiedzieć, kto to taki, jak się nazywa...

– Już to zrobiłem – powiedział Fazio.

Komisarzowi zrobiło się ciemno przed oczami.

Z niepohamowaną i zupełnie irracjonalną furią walnął z całej siły ręką w biurko.

Fazio popatrzył na niego przestraszony.

– Co się stało?

– Nic, nic – odpowiedział Montalbano, wstydząc się swojej reakcji. – Zabiłem natrętną muchę. Mów dalej.

– Mogę spojrzeć na kartkę, którą mam w kieszeni? – spytał na wstępie Fazio nieco wojowniczym tonem.

– Pod warunkiem że nie będziesz recytował danych.

– Zgoda. Skończyliśmy czynności w willi i wszyscy odjechali. Ja też szedłem już do samochodu, żeby wrócić do komisariatu, kiedy podeszła do mnie kobieta pod pięćdziesiątkę, pytając, co się stało. Odpowiedziałem, żeby obejrzała sobie dziennik w telewizji. A ona na to, że jest sprzątaczką u Strangiów i zaczyna pracę o pierwszej. Wobec tego powiedziałem jej, co się stało, a ponieważ po usłyszeniu wiadomości zasłabła, odwieźliśmy ją do domu z Gallem. W ten sposób miałem okazję przesłuchać ją sam na sam.

– Świetnie się spisałeś.

– Dziękuję.

Dopiero teraz wyciągnął z kieszeni kartkę, rzucił na nią szybko okiem i schował ją z powrotem.

– Sprzątaczką nazywa się Concettina Vullo. Pracowała codziennie z wyjątkiem niedziel. Przychodziła o pierwszej i zostawała do czwartej. Gotowała, prasowała i sprzątała dom.

– Co ci powiedziała o Strangiu?

– Że słabo go zna, bo prawie zawsze jadł obiad poza domem. Powiedziała, że jest nierówny.

– Jak to nierówny?

– Chodzi o usposobienie. Raz wesoły, a za pięć minut zły jak osa.

– Czy słyszała kiedykolwiek kłótnię między narzeczonymi?

– Nie.

– A o niej co ci powiedziała?

– W sumie miła dziewczyna. Całe dni siedziała na komórcie.

– Jednym słowem, nie dowiedziałeś się niczego ważnego.

– Powiedziała mi jedną ciekawą rzecz.

– To może się nią ze mną podzielić?

– Powiedziała, że dziewczyna czasami sama ściełiła łóżko.

Montalbano popatrzył na Fazio z niedowierzaniem.

– I to ma być ta rewelacja?

– Sprzątaczką powiedziała, że prawie zawsze to ona ściełiła łóżko, ale czasami zastawała je już pościelone.

– Tyle zrozumiałem. No i co z tego? Może czasami dziewczyna miała ochotę posprzątać trochę mieszkanie.

Fazio mówił dalej, nie zwracając uwagi na Montalbana:

– To zdarzało się niemal zawsze wtedy, kiedy Strangio z powodów służbowych spędzał noc poza domem. Czy teraz wyraziłem się jasno?

To zupełnie zmieniało postać rzeczy.

– Doskonale. Teraz wszystko jest jasne. W te noce, kiedy Strangio nie spał w domu, dziewczyna mogła, nazwijmy to w ten sposób, podejmować gości bez obaw, że narzeczony niespodziewanie wróci. A żeby sprzątaczką nie zorientowała się, że w łóżku spały dwie osoby, a nie jedna, ścieliła je sama.

– Na to wygląda.

Komisarz zamyślił się. Potem powiedział, patrząc Faziowi prosto w oczy:

– Trzeba by się koniecznie dowiedzieć, kto do niej przychodził, kiedy nie było Strangia.

– Pewnie – przyznał Fazio. – Ale jak to zrobić? Tylko przypadkiem natknąłem się na sprzątaczkę i ona mi o tym powiedziała. Inaczej pewnie nie przyszłoby nam to nawet do głowy. Jeśli nie brać pod uwagę bloku obok, willa znajduje się na uboczu. Mało prawdopodobne, że ktoś zgłosi, że w niektóre noce taki a taki samochód parkował przed bramą aż do świtu.

– Możemy spróbować, zaczynając od dziewczyny.

– To znaczy?

– Fazio, co my o niej wiemy? Praktycznie nic. Wiemy, że studiowała architekturę, że jej rodzice nie mieszkają w Vigacie i że lubiła spać do dziesiątej. Nie sądzisz, że warto się dowiedzieć czegoś więcej? Pójść do willi, przejrzeć zdjęcia, papiery. A jak już tam będziesz, mógłbyś też przeszukać jej rzeczy... sprawdzić, czy miała jakąś przyjaciółkę, z kim się spotykała...

– Panie komisarzu, na drzwiach są założone plomby.

– Nie mówię, że mamy zrobić powtórkę z supermarketu. Tym razem zwróć się o pozwolenie do Tommasea.

– Catarella? Posłuchaj mnie dobrze. Poszukaj w Rzymie numeru głównej siedziby P&T...

– Tak jest, pojęty jestem.

– Co takiego?

– Że pan komisarz mnie się doprasza numeru głównej siedziby.

– Tak, ale jakiej firmy?

– Panie komisarzu, pan mi nie zapowiedział, jakiej firmy, tylko mi pan zapowiedział, żebym poszukał numeru głównej siedziby, a potem mnie pan zapytał, czy to dla mnie pojęte, a ja powiedziałem panu, że jestem pojęty.

Dopiero teraz Montalbano zorientował się, że doszło do nieporozumienia.

– Nie, Catare, nie pytałem, czy pojąłeś, firma nazywa się Pi ‘n’ Ti.

– Teraz już pojęty jestem całkiem, upraszam się przebaczenia. A co potem zrobić mam?

– Kiedy znajdziesz numer, zadzwoń tam i jeśli odbiorą, przełącz do mnie do biura.

– Szybkościowo, panie komisarzu.

Nie minęło nawet pięć minut i zadzwonił telefon.

– Biuro P&T. Czym mogę panu służyć? – spytał szorstko kobiecy głos z wyraźnym rzymskim akcentem.

– Tu komisarz Montalbano. Chciałbym porozmawiać z kimś z dyrekcji.

– Przepraszam, w jakiej sprawie?

– W sprawie wczorajszego zebrania przedstawicieli regionalnych firmy.

– Wobec tego przełączę pana do dyrektora Quagliottiego. Proszę chwilkę poczekać.

Chwilka, uprzyjemniana wzniosłą muzyką Bacha, która nie bardzo współgrała z komputerowym profilem firmy, trwała tak długo, że Montalbano zdążył powtórzyć tabliczkę mnożenia przez 7, 8 i 9.

– Quagliotti. Słucham pana, panie komisarzu. Muszę jednak uprzedzić, że nie możemy udzielać zastrzeżonych informacji przez telefon. Taka jest polityka naszej firmy. Dlatego lepiej byłoby, żeby pan...

– Nie potrzebuję zastrzeżonych informacji. Chciałem tylko spytać, w jakich godzinach odbywało się wczorajsze spotkanie przedstawicieli handlowych.

– Od dziesiątej do trzynastej – odpowiedział Quagliotti głosem jak automatyczna sekretarka – przerwa obiadowa od trzynastej do czternastej, sesja popołudniowa od czternastej do siedemnastej.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy Giovanni Strangio był obecny na popołudniowej sesji?

– Podpisał listę obecności o czternastej. Czy potem wyszedł wcześniej...

Montalbano podziękował i zakończył rozmowę.

To oznaczało, że alibi Strangia wcale nie było takie mocne. Gdyby sekcja wykazała na przykład, że Mariangela została zamordowana późnym

popołudniem, Strangio miałyby czas wsiąść do samolotu w Rzymie, pojechać samochodem do Vigaty, zabić dziewczynę, wrócić na Punta Raisi, spędzić noc w Rzymie i ponownie polecieć na Sycylię następnego ranka.

Żeby uwiarygodnić tę hipotezę, trzeba było jednak sprawdzić najpierw loty, a Montalbano nigdy nie potrafił rozeznaczyć się w jakimkolwiek rozkładzie jazdy, czy to pociągów, czy promów, czy autobusów, a już szczególnie lotów, zwłaszcza jeśli w grę wchodziły jeszcze przesiadki czy międzylądowania.

Było jednak wyjście.

– Catarè, zadzwoń na komisariat na lotnisku Punta Raisi i poproś do telefonu komisarza. Potem przełącz go do mnie.

– Szybkościowo, panie komisarzu.

I naprawdę załatwił to szybkościowo.

– Halo, komisarz Montalbano? Naszego komisarza chwilowo nie ma, ale może pan mnie powiedzieć, o co chodzi, nazywam się De Felice, jestem jego zastępcą.

Montalbano wyjaśnił mu szczegółowo swój problem. De Felice spytał:

– Może pan poczekać przy telefonie?

Wrócił zaledwie po trzech minutach.

– Mam tu pod ręką rozkład lotów i potwierdzam, że to, co mi pan powiedział, jest możliwe. Zaraz przedyktuję szczegóły.

– Przepraszam, ale ja nie mam głowy do rozkładów. Wystarczy mi informacja, że moja hipoteza nie jest bezpodstawna.

– Z całą pewnością.

Potrzebował jednak jeszcze jednego potwierdzenia. Trzeba było zadzwonić do zakładu medycyny sądowej.

– Mówi Montalbano.

– Chce pan rozmawiać z doktorem Pasquanem? – spytał woźny.

A niby z kim? Z jednym z nieboszczyków w kostnicy?

– Proszę mi powiedzieć, czy doktor zrobił sekcję tej dziewczyny zabitej nożem?

– Właśnie skończył. Mam go dać do telefonu?

– Wolę z nim porozmawiać osobiście.

– To niech pan się pospieszy, bo doktor chce dzisiaj wcześniej pójść do domu.

Wychodząc, komisarz opowiedział się Catarelli:

– Wróć za godzinę. Gdyby szukał mnie Fazio albo Augello, pojechałem do doktora Pasquana.

Po drodze do Montelusy zdarzyły się wszystkie możliwe przygody.

Dwie ciężarówki, które przez jakiś czas jechały obok siebie, blokując możliwość wyprzedzania, stłuczka z udziałem dwu samochodów, zepsuty autobus.

W rezultacie stracił dużo czasu na dojazd.

Ledwie zaparkował na placu, kiedy kątem oka zobaczył, że stojący obok samochód z piskiem opon rusza niczym rakieta.

Odwrócił się, żeby lepiej się przyjrzeć, a wtedy z okienka od strony kierowcy wysunęła się ręka i pomachała mu na do widzenia.

To był ten kutas Pasquano, który uciekał, żeby z nim nie rozmawiać!

Montalbano zapalił silnik i ruszył w pościg.

Udało mu się wyprzedzić auto Pasquana, zanim doktor dojechał do bramki i stanął przed nim w poprzek.

Potem wysiadł niespiesznie jak amerykańscy policjanci, kiedy chcą komuś wystawić mandat. Żałował tylko, że nie ma takich rękawiczek jak oni, żeby mógł je ściągnąć powoli z rąk. Podszedł do samochodu doktora.

– Prawo jazdy i dowód rejestracyjny – powiedział.

– A czemu nie, pod warunkiem że je pan sobie wsadzi w tyłek – odpowiedział rozwścieczony Pasquano. – Co to jest, do cholery? Uczciwy człowiek nie ma już prawa wrócić do domu po dniu ciężkiej pracy? Co ja takiego zrobiłem w życiu, że mnie pan bez przerwy prześladowa? Kiedy pan wreszcie pójdzie na emeryturę? Nie widzi pan, że jest pan wrakiem, który się rozsypuje na kawałki?

– Teraz, kiedy pan już sobie ulżył – odpowiedział komisarz – powie mi pan coś o tej dziewczynie?

– Bo niby nie zrozumiałem, że to o nią chodzi? Opowiem wszystko szczegółowo, żeby mi pan już nie zawracał więcej dupy. Niech pan nadstawi ucha, bo dwa razy powtarzać nie będę. A zatem, czterdzieści siedem ciosów nożem, jeśli można je tak nazwać, z których śmiertelny był pierwszy, w żyłą szyjną.

– Ale w takim razie...

– Niech pan nie przerywa, bo nie powiem nic więcej, nawet wzięty na tortury. Pozostałe czterdzieści sześć ciosów posłużyło do wyładowania furii mordercy, który zadał je przede wszystkim w okolice pochwy i piersi. Jak dotąd wszystko

jasne? Niech pan nic nie mówi, nawet tak ani nie, tylko da znak głową. Tak? No to idę dalej. Zabójstwa dokonano po południu między piątą a siódmą, najpóźniej ósmą. Przykro mi ze względu na prokuratora Tommasea, który będzie tym bardzo rozczarowany, ale mimo pozorów dziewczyna nie została, podkreślam to z całą stanowczością, nie została zgwałcona. Nie znalazłem także śladów stosunku seksualnego. A teraz żegnam pana.

– Chwileczkę, bardzo proszę! – zawołał Montalbano, czepiając się okienka, bo doktor już włączył silnik. – Czy były jakieś ślady szamotaniny?

Pasquano popatrzył na niego z politowaniem.

– Jakim cudem mogłoby dojść do szarpaniny, skoro dopiero co panu powiedziałem, że podcięto jej gardło pierwszym ciosem! Cierpi pan na starcze zdziecinnienie, bez dwóch zdań. Dziewczyna poszła do gabinetu, morderca ją tam zaskoczył i zabił natychmiast.

– Ale po co poszła nago do gabinetu?

– A skąd mam wiedzieć, do cholery? To pana działka.

– Jakiego noża użył?

– Właściwie to nie był nóż, tylko jakieś bardzo cienkie i ostre narzędzie. Brzytwa, skalpel, coś w tym rodzaju.

– Czy ekipa techniczna znalazła narzędzie zbrodni?

– No i widzi pan, że z głową coś nie tak? Gdyby je znalazła, mógłbym panu powiedzieć dokładnie, czym ją zabito. Mogę już jechać?

– Oczywiście, dziękuję.

Montalbano poszedł przestawić samochód.

Pasquano ruszył i przejechał koło niego powoli. Wystawił głowę przez okienko.

– Aha, zapomniałem o tym wspomnieć. Była w ciąży.

– Który miesiąc? – zawołał Montalbano.

– Początek trzeciego – odkrzyknął Pasquano.

I przyspieszył.

Zrobiło się późno. Przed powrotem do Marinelli komisarz zajechał jednak do komisariatu, żeby sprawdzić, czy zdarzyło się coś nowego.

Nie tylko nie było żadnych nowości, ale z wyjątkiem Catarelli nikogo już nie zastał.

– Na jakim jesteś etapie z komputerem Borsellina?

– Panie komisarzu, zakończę nad nim pracować.

– Co w nim znalazłeś?

– Trzy foldery w onym znajdują się. Jeden jest listowny, znaczy się listy napisane do dostawiaczy rozmaitych towarów, które owi dostawiać mieli do supermarketu, no, zamówienia do dostawiaczy...

– Dostawców.

– No, jak ich tam zwał. A w sprawie takiej, czy supermarket dostał dostawienie w ilości takiej, jakiej owy supermarket pożyądał, to...

– Dobrze, zrozumiałem. A pozostałe dwa foldery?

– Panie komisarzu, jeden to jest taki, w którym są ustawienia codziennych utargów...

– Zestawienia.

– No, jak zwał, tak zwał. A potem są ustawienia utargów na tydzień, a potem na miesiąc, a potem...

– Zrozumiałem. No, a trzeci folder?

– W trzecim to codzienna ilość wyprzedanych towarów, a potem ilość na tydzień, a potem...

– Dobrze, wystarczy. Jest tam coś jeszcze?

– Tak, muszę przepatrzeć cztery pliki.

– Do widzenia, ja wracam do Marinelli.

W drzwiach natknął się na Augella, który właśnie wychodził.

– Możesz zostać jeszcze pięć minut? Muszę z tobą porozmawiać – spytał Mimi.

Widać było, że jest wściekły.

– Jasne – odpowiedział komisarz. Odwrócił się na pięcie i poszli do jego gabinetu.

– Muszę ci powiedzieć, że zupełnym przypadkiem dowiedziałem się od Fazio małego szczegółu, który dotyczy Borsellina.

– Mianowicie?

– Mianowicie, że nie powiesił się sam, tylko uduszono go, a potem upozorowano samobójstwo.

– Nie powiedziałem ci tego? – spytał szczerze zdziwiony Montalbano.

– Nie. Tymczasem powinienem był zostać o tym poinformowany w pierwszej kolejności.

– Przepraszam, jakoś mi umknęło.

– Przeprosiny nie wystarczą.

– Co mam zrobić, paść na kolana? Aż tak się obraziłeś?

– Tak jest. Zwierzyłem ci się, jak bardzo się przejąłem słowami tego chuja dziennikarza, który oskarżał nas o doprowadzenie Borsellina do samobójstwa. Wiadomość, że tak naprawdę to było morderstwo, przyniosłaby mi ulgę.

Montalbanowi nie przypadło do gustu rozumowanie Augella.

– Świetnie, teraz się dowiedziałeś i możesz spać beztrzesko.

– Nie rób sobie kpiny, bo mówię poważnie. Chcę, żebyś to oświadczył publicznie.

– Co?

– Że Borsellino został zamordowany. Wtedy będę mógł podać dziennikarza do sądu.

– I przegrasz.

– Dlaczego?

– Bo nie ma żadnego, ale to żadnego dowodu na to, że Borsellina zamordowano.

Mimì zgłupiał.

– To skąd wiesz, że tak było? Fazio mi przekazał, że powiedział ci to Pasquano.

– To prawda. Powiedział, ale nie napisał. Nie napisał w swoim raporcie. Nie chciał tego zrobić, bo twierdzi, że powód powstania siniaków na ramionach mógłby zostać zinterpretowany inaczej przez obrońcę w sądzie.

– Pierwszy raz słyszę, żeby Pasquano martwił się tym, co może zrobić obrona.

– Tym razem o tym pomyślał.

– Ale dlaczego?

– Bo mafii boją się wszyscy, zwłaszcza kiedy ma poparcie w kręgach politycznych. W każdym razie chcę ci coś zaproponować.

– Słucham.

– Nie chcę się zajmować sprawą Strangia, moja sytuacja jest dość niezręczna. Gdy tylko naczelnik dojdzie do siebie, poproszę go, żeby przekazał tobie dochodzenie.

Wychodząc, przeszedł obok Catarelli, który wciąż grzebał w komputerze Borsellina.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Catarè, zadzwoń do komendy Policji Finansowej w Montelusie i przełącz do mnie do gabinetu.

Wrócił do siebie i zaraz zadzwonił telefon.

– Mówi komisarz Montalbano z Vigaty. Chciałbym rozmawiać z sierżantem Lagana.

– Może pan powtórzyć nazwisko?

Telefonista wydawał się trochę niepewny.

– Lagana.

– Proszę chwilę poczekać.

Usłyszał w tle szmer rozmowy.

– Bardzo przepraszam, panie komisarzu, pracuję tu od niedawna. Sierżant Lagana przeszedł na emeryturę rok temu.

Zamarło mu serce. Ale była jeszcze nadzieja.

– Macie przypadkiem numer jego telefonu?

– Proszę poczekać, zapytam.

Po chwili komisarz usłyszał to, czego się obawiał.

– Bardzo mi przykro, ale tutaj nikt...

– Dziękuję.

I jak miał teraz skontaktować się z sierżantem? Przypominał sobie, że Lagana kiedyś mu opowiadał, że pochodzi z Fiakki i jego ojciec zostawił mu tam dom... Możliwe, że na emeryturze postanowił wrócić do rodzinnego miasteczka. Komisarz zadzwonił do Catarelli i wezwał go do gabinetu. Lepiej było mu wyjaśnić osobiście, co ma zrobić.

– Na rozkazanie, panie komisarzu.

– Catarè, posłuchaj uważnie. Zadzwoń do komisariatu w Fiakce i zapytaj, czy wiedzą może, czy mieszka tam były sierżant Policji Finansowej o nazwisku

Lagana. Powtórz!

– Laguna.

– Jaka znowu laguna! Lagana. Powtórz.

– Laggana.

– Wyrzuć jedno g.

– Wyrzuciłem.

– To powtórz.

– Laguna.

– Świetnie, tylko nie zapomnij. Jeśli potwierdzą, poproś o numer telefonu, a potem zadzwoń i przełącz do mnie. Zrozumiałeś?

– Z dokładnością najzupełniejszą, panie komisarzu.

Ale nie ruszył się z miejsca.

– No, co jest?

– Panie komisarzu, a ja jedną rzecz panu wypowiedzieć mogę?

– Powiedz.

– Czy ja pana pozwolenia mogę się uprosić, żeby zamiast telefonicznie do komisariatu i uzyskiwać telefon długo, zrobić na szybkiego?

Można było to załatwić szybciej?

– To znaczy?

– Książkę telefoniczną Fiakki przepatrzę, żeby zobaczyć, czy tam Lagana jest.

Komisarz poczuł się jak głupiec.

To prawda, że kiedy się kogoś szuka, ostatnią rzeczą, która przychodzi do głowy, jest książka telefoniczna, ale dla komisarza tego było już za wiele.

Doktor Pasquano miał rację, sugerując, że Montalbano cierpi na dzieciństwo starcze.

Żeby jakoś odpędzić ponure myśli, podszedł do okna i zapalił papierosa. Potem zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, odnalazłem go!

– Jesteś pewny?

– Rękę sobie ucinam! On to jest! Wybyły sierżant!

– Dziękuję. Przełącz do mnie. Sierżant Lagana? Pamięta mnie pan? Mówi komisarz Montalbano.

– Jak mógłbym zapomnieć! Co za miła niespodzianka! Cieszę się, że pana słyszę. Jak się pan ma?

Montalbano nie odpowiedział na pytanie, bo w tym momencie, z powodu tej sytuacji z książką telefoniczną, czuł się jak kretyń.

– A pan?

– Tak sobie. Musiałem przejść na wcześniejszą emeryturę z powodu problemów z sercem...

– Bardzo mi przykro, naprawdę.

– To szczęśliwy traf, że zastał mnie pan w domu, wie pan? Właśnie zbieram się do wyjazdu.

– Ach, tak, a dokąd?

– Do Ragusy, z żoną. Postanowiliśmy odwiedzić wnuki.

– Ile ich pan ma?

– Dwoje. Chłopczyk i dziewczynka. Potrzeba panu czegoś, panie komisarzu? Ja już nie pracuję, ale mogę polecić mojego kolegę, który...

– Panie sierzancie, jeśli ma pan pięć minut do dyspozycji, możemy rozwiązać wszystko przez telefon.

– Niech pan mówi.

Montalbano opowiedział mu o dwóch komputerach Borsellina.

– To znaczy – podsumował Lagana – udało im się zabrać komputer, który kierownik trzymał w domu, ale nie zdołali ukraść tego z supermarketu. Czy tak?

– Tak.

– I chciałby pan wiedzieć, dlaczego zależało im na obu komputerach?

– Otóż to.

– Jest tylko jedno wyjaśnienie. Chcieli uniknąć, by ktoś z policji wpadł na pomysł porównania danych z obu komputerów.

– Nie rozumiem.

– Już wyjaśniam. Powiedział mi pan, że komputer z supermarketu zawiera między innymi dane dotyczące utargów i zestawienia codziennej sprzedaży towarów. Jestem przekonany, że jeśli przekaże pan te pliki mojemu koledze, on powie panu, że wszystko jest w porządku, przychody i rozchody się zgadzają.

– Ale jeśli wszystko jest w porządku, to dlaczego... Przepraszam, dalej nie rozumiem.

– Zaraz pan zrozumie. Gdyby udało się panu przejąć także drugi komputer, ten, który znajdował się w domu, sam pan by zauważył, że zawarte w nim zestawienia różnią się od danych w komputerze z supermarketu.

– Ach, więc o to chodzi! – zrozumiał wreszcie komisarz. – W domowym komputerze były zapisane prawdziwe zestawienia, w służbowym sfałszowane. Zarabiali i sprzedawali więcej, niż ujawniali w oficjalnej księgowości, tej zapisanej w komputerze ze sklepu. Jednak to wszystko jest czystą hipotezą, bo przestępcy postarali się, aby nie można było porównać danych z dwóch komputerów.

– No i widzi pan, że wszystko świetnie zrozumiał? Może mi pan coś przyrzec?

– Czego tylko pan sobie zażyczy.

– Jeśli przypadkiem odzyskacie ten drugi komputer, przekaże pan oba mojemu koledze? Chwileczkę, zaraz dam jego telefon. Nazywa się Sclafani. Jeśli moja hipoteza się potwierdzi, ci z supermarketu dostaną nauczkę.

Wychodząc, komisarz zatrzymał się przy Catarelli.

– Sprawdzenie tego komputera już nie jest takie pilne.

– Ale ja już go wykańczam, panie komisarzu – odpowiedział rozczarowany Catarella.

– Nie powiedziałem, że nie trzeba tego zrobić, chciałem ci tylko zakomunikować, że nie musisz się spieszyć.

W tej samej chwili minął ich Augello. Wymruczał ze spuszczoną głową:

– Dobranoc.

I poszedł w stronę parkingu. Montalbano pobiegł za nim i zagroził mu drogę.

– Wciąż jesteś wkurzony?

– Przejdzie mi.

– Mimì, kiedy rozmawialiśmy u mnie w gabinecie, nie wyjaśniłem ci, że nie chcę, żeby wiadano o podejrzeniach Pasquana, bo dla nas byłoby to niekorzystne.

– W jakim sensie?

– To ważne, żeby mordercy byli przekonani, że wierzymy w samobójstwo Borsellina.

– Sądzisz, że jeśli będą się czuli spokojni, zrobią jakiś fałszywy krok?

– Niekoniecznie, choć to możliwe. Ale dla nas tak jest lepiej, bo możemy prowadzić śledztwo w kierunku morderstwa, podczas gdy oni będą sądzić, że daliśmy sobie z tym spokój. Rozumiesz?

– Wszystkiego najlepszego – powiedział Mimì, wsiadając do samochodu.

– I tobie też – odpowiedział komisarz.

Odwrócił się, żeby otworzyć drzwiczki swojego samochodu, który był zaparkowany obok auta Augella.

– Panie komisarzu, niech pan poczeka!

Był to głos nadbiegającego Catarelli.

– Co znowu, do cholery? – spytał poirytowany komisarz.

– Bo tu na telefonie by był adwokat Numerant, który zapowiedział, że on z wielką pilnością z panem osobiście we własnej osobie rozmawiać pragnie. Co ja mu powiem? Że pan jest czy nie ma?

Czy tego wieczoru los sprzyścił się przeciw komisarzowi, że nie mógł wrócić do Marinelli?

– Idź i powiedz mu, że jestem.

Catarella rzucił się pędem z powrotem, natomiast Montalbano postanowił się nie spieszyć, najpierw wypalił papierosa, spacerując po parkingu, po czym przeszedł koło Catarelli stojącego na baczność ze słuchawką w ręku.

– Policz do dziesięciu i połącz mnie.

Wszedł do gabinetu, usiadł i wtedy telefon zadzwonił.

– Słucham pana, panie mecenasie.

– Bardzo przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze, dyżurny powiedział mi, że właśnie wychodził pan do domu.

– Nic nie szkodzi, słucham pana.

– Chodzi o mojego klienta, Strangia.

– Jakiś problem?

– Nawet kilka, niestety. Widzi pan, po tym jak prokurator Tommaseo przyjął od mojego klienta zeznanie, podczas którego niestety nie mogłem być obecny, wszystko się z niewyjaśnionych przyczyn zatrzymało.

Montalbano czekał na podsumowanie, którego się niestety nie doczekał.

– Z niewyjaśnionych przyczyn? Nie rozumiem pana. Zresztą, jak mi się zdaje, prokurator Tommaseo nie podjął żadnych działań ograniczających wolność pańskiego klienta.

– No cóż, to zależy od znaczenia, jakie przypisze się przymiotnikowi „ograniczający”. Jeśli rozumie pan przez to zatrzymanie czy aresztowanie, naturalnie do tego nie doszło. To zresztą oczywiste, mój klient ma żelazne alibi.

Raczej papierowe niż żelazne, pomyślał Montalbano.

Nie powiedział jednak tego głośno, tylko zapytał:

– Wobec tego na czym polega problem?

– Na tym, że prokurator stanowczo zabronił mojemu klientowi wyjeżdżać z Vigaty i założył plomby na drzwiach willi i garażu.

– No cóż, to są rutynowe działania, jako adwokat powinien pan o tym wiedzieć.

– To prawda. Zapomina pan jednak, tak jak zapomniał o tym prokurator, że mój klient jest przedstawicielem rzymskiej firmy i potrzebuje przemieszczać się służbowo po całej Sycylii. W dodatku nie może nawet korzystać ze swojego samochodu, bo stoi zablokowany w garażu.

– Rozumiem. Nie wiem jednak, jak ja...

– Mógłby pan przynajmniej wezwać go na komisariat, żeby pozwolić mu wyjaśnić lepiej sytuację. W ten sposób jego męka nie trwałaby tak długo...

– Panie mecenasie, przesłuchanie pańskiego klienta leży w gestii prokuratora, a nie mojej. To do niego powinien pan się zwrócić z ponagleniem. Czy to jasne?

– Jak najbardziej – odpowiedział szorstko adwokat. – Do widzenia.

Wreszcie mógł wrócić do Marinelli.

W lodówce Adelina zostawiła mu sałatkę z owoców morza, a w piecyku czekały roladki z miecznika.

Nakrył stół na werandzie, wieczór był piękny. Minęło półtorej godziny, zanim wszystko zjadł.

Sprzątnął ze stołu, wrócił na werandę ze szklaneczką whisky, usiadł i zaczął rozmyślać.

Co kryło się za telefonem Merantiego?

Chcieli, żeby zrobił głupstwo i sam przesłuchał Strangia, może jeszcze bez jego adwokata? I bez Tommasea?

Było rzeczą powszechnie znaną, że komisarz często tak się właśnie zachowywał, gwiżdżąc na zasady i procedury, tym razem jednak sytuacja przedstawiała się inaczej. Podejmując samowolne działania z własnej inicjatywy, mógł przynieść wielką szkodę śledztwu.

Nie, tym razem musiał koniecznie trzymać się ściśle regulaminu.

Potem przyszła mu do głowy sprawa z komputerem. Gdyby tamtej nocy mieli z Faziem więcej szczęścia i przejęli oba komputery, Policja Finansowa miałaby podstawy, aby wytoczyć sprawę posłowi Mongibellowi i zarządowi spółki, do której należał supermarket.

Tak się jednak nie stało, niestety, jak miał zwyczaj mówić adwokat Meranti. Nocne przeszukanie w domu i w biurze Borsellina ostatecznie okazało się

bezużyteczne...

Znieruchomiał.

Odniosł wrażenie, że cały jego układ trawienny nagle się zatrzymał.

Nalał sobie pół szklanki whisky i wychylił ją jednym haustem.

Oblał go pot. Jak mógł o tym tak zupełnie zapomnieć?

Ostatnimi czasy zdarzało mu się to coraz częściej.

Czy potrzebował innych dowodów, żeby dojść do wniosku, że jest już za stary, by wykonywać swój zawód?

Pamiętał doskonale, że włożył do swojej kieszeni ten dziwny dyktafon, który Fazio wyciągnął z marynarki Borsellina.

Kiedy wrócił do Marinelli, pozbył się pobrudzonego pyłem ubrania i wrzucił je do kosza na pranie.

Teraz pytanie brzmiało: czy Adelina zauważyła dyktafon w kieszeni i go wyjęła, zanim zaniósła ubranie do pralni?

A jeśli tak, gdzie mogła go położyć?

Montalbano wstał i zaczął przeszukiwać gorączkowo cały dom, robiąc przy tym wielki bałagan. Po półgodzinie się poddał.

Już mu się zdarzył podobny incydent z końską podkową i o mało nie przypłacił tego życiem. Ale końska podkowa to jedno, a dyktafon to drugie.

Jeśli ci z pralni dali już marynarkę do czyszczenia, nie sprawdzisz kieszeni, to żegnajcie nagrania!

Jedynym wyjściem było zadzwonić do Adeliny. Popatrzył na zegarek. Jedenasta. Możliwe, że poszła już spać. Mówi się trudno.

– Matko Boska, panie komisarzu! Co się stało? Ja już spać poszłam.

– Przepraszam, Adeli, ale to bardzo ważne.

– To proszę powiedzieć.

– Czy zauważyłaś, że w kieszeni marynarki, którą zaniósłaś do pralni, coś było?

– Nie, a było coś?

– Tak.

– Nie zauważyłam, bom i nie szukała. Pan nigdy nic do kieszeni nie wkłada.

Rzeczywiście.

– Posłuchaj, masz numer do pralni?

– Nie mam.

– Na kiedy powiedzieli, że pranie będzie gotowe?

– Pojutrze.

Może była jeszcze nadzieja.

– O tej porze pralnia jest zamknięta, prawda?

– Pewnie. Ale niech pan poczeka, cosik sobie pomyślałam. Jeśli to takie ważne...

– Bardzo ważne.

– To ja dam adres pralni.

– Przecież powiedziałaś, że jest zamknięta!

– Tak, ale właściciel, pan Anselmo, mieszka na pierwszym piętrze nad pralnią. Adres to piazza Libertà osiem. Obok kinematografu.

Ubrał się, ruszył do Vigaty, a ponieważ na szosie nie było już prawie ruchu, odważył się przekroczyć o dziesięć kilometrów dopuszczalną szybkość pięćdziesięciu na godzinę.

Dojechał, zaparkował, wysiadł. Obok pralni były drzwi wejściowe bez domofonu, ale pod dzwonkiem widniała karteczka z napisem: „Anselmo”.

Zadzwoił. Niemal od razu otworzyły się drzwi balkonowe i pojawił się wąsaty czterdziestolatek w podkoszulku i spodenkach od piżamy.

Plac był dobrze oświetlony i pan Anselmo od razu rozpoznał Montalbana.

– Pan komisarz! Co się stało?

– Bardzo pana przepraszam za najście, ale potrzebuję, żeby otworzył mi pan pralnię.

– Już się robi.

Z mieszkania do pralni musiały prowadzić wewnętrzne schody. Po chwili drzwi wejściowe się otworzyły.

– Proszę wejść. O co chodzi?

– Przyniesiono panu do czyszczenia moje ubranie, które...

– Już zostało uprane. Jutro je wyprasujemy.

Montalbano zbladł.

– Bo widzi pan, w kieszeni marynarki był...

– Panie komisarzu, zanim wrzucimy jakąś rzecz do pralki, zawsze ją dokładnie sprawdzamy. Proszę tu podejść.

Anselmo poszedł za wielką ladę, która dzieliła pomieszczenie na pół i otworzył szufladę. W środku wały się okulary, długopisy, prawa jazdy, legitymacje, komórki...

– To on! – uradowany komisarz wskazał na dyktafon.

Miał ochotę pocałować pana Anselma w czoło.

Jak zwykle, kiedy otwierał drzwi, odezwał się telefon. Przestał dzwonić akurat, kiedy położył rękę na słuchawce.

Następnego dnia miał zamiar włożyć to samo ubranie, więc rozbierając się, zostawił dyktafon w kieszeni.

Nie chciało mu się spać. Włączył telewizor. Na ekranie pojawiła się twarz jak kurza dupa Pippa Ragonese.

To właśnie pytanie sobie zadajemy: gdzie się podział szybki jak błyskawica stróż sprawiedliwości, którym był kiedyś komisarz Montalbano? Teraz można odnieść wrażenie, że przeszedł całkowitą przemianę i nic nie chce mu się już robić. Nie poczynił żadnych postępów w sprawie kradzieży w supermarkecie i sprowokowanego przez nią samobójstwa kierownika Borsellina. A jeśli chodzi o okrutne morderstwo studentki Mariangeli Carlesimo, zbrodnię, która wstrząsnęła opinią publiczną nie tylko w Vigacie, nikt nie ruszył palcem. Wiadomo, że narzeczonemu dziewczyny, Giovanniemu Strangiowi, zabroniono opuszczać miasto. Poza tym nie zrobiono nic. Biedny Strangio znalazł się w czyścicu, nie będąc w stanie...

Zgasił telewizor.

Ragonese przeszedł samego siebie! Ilu osobom się wysługiwał? Posłowi Mongibellowi i prezydentowi regionu razem wziętym? I to miało być dziennikarstwo? Ragonese mówił to, co mu kazano. Z pewnością nieźle go za to oplacali.

Potem komisarzowi przypomniało się, że kilka dni wcześniej jakiegoś typa z prywatnej telewizji, który nie bał się sprzeciwić mafii, oskarżono o to, że para się dziennikarstwem, chociaż nie jest zapisany do stowarzyszenia dziennikarzy.

– Dzisiaj – podsumował – żeby walczyć z mafią, trzeba najpierw uzyskać jej pozwolenie.

Wszystko było na opak!

Poszedł na werandę, żeby trochę odpocząć. Ale nie minęło nawet pięć minut i znowu zadzwonił telefon.

To była Livia.

– Dlaczego nigdy nie odbierasz, kiedy dzwonię?

– Przecież właśnie odebrałem!

– Nie odebrałeś, kiedy dzwoniłam wcześniej!

– Mogę ci zadać pytanie?

– Proszę.

– Dlaczego dzwonicz, kiedy nie ma mnie w domu?

– Zawsze odwracasz kota ogonem! Nie chciałabym nigdy wpaść w twoje szpony!

– Wpadłaś w nie wiele razy i o ile dobrze pamiętam, z pewną przyjemnością.

– Nie to mam na myśli. Chodzi mi o to, że nie chciałabym wpaść w twoje szpony jako osoba podejrzana o popełnienie przestępstwa.

– Livio, wiesz o mnie prawie wszystko.

– Prawie? A czego nie wiem?

– Na przykład jak prowadzę przesłuchanie. Mówienie, że odwracam wtedy kota ogonem, to dla mnie obraza. Jestem zawsze całkowicie bezstronny.

To była oczywiście bzdura. Ile razy zastawiał zasadzki na podejrzanych? Więcej niż mógł zliczyć.

– Udam, że ci wierzę – powiedziała Livia.

Potem spytała:

– Zajmujesz się sprawą tej biednej studentki zaszlachtowanej nożem?

– Skąd się o tym dowiedziałaś?

– Mówili w dzienniku, a potem przeczytałam także w gazecie.

– Tak, zajmuję się nią.

– Tylko pamiętaj, dobrze?

– Co takiego?

– Żebyś nie podejrzewał od razu narzeczonego. Dzisiaj to jest w modzie. Gdy tylko zamordują jakąś dziewczynę, zaraz aresztują narzeczonego.

– Nie interesują mnie mody – odpowiedział poirytowany.

Potem przyszło mu do głowy, jak może się zemścić.

– Słuchaj, ciekawi mnie jedna rzecz. Czy przypadkiem dzwonił do ciebie adwokat Nullo Meranti?

– Nie. Kto to taki?

– Adwokat narzeczonego.

– Co to za jakaś nowa głupota?

– Dałaś mu się przekupić, żeby przekonać mnie o niewinności narzeczonego?

– Dupek – powiedziała rozgniewana Livia.

I odłożyła słuchawkę.

Poszedł spać. Ulżył sobie, teraz mógł wreszcie zasnąć.

Pierwsze, co Montalbano zrobił po wejściu do komisariatu, to przystanął przy stanowisku Catarelli. Wyjął z kieszeni dyktafon i pokazał mu go.

– Catarè, wiesz, co to takiego?

Catarella nawet się nie zawahał.

– Panie komisarzu, to by było coś takiego, co jest cyfrowany nagrywacz.

– To znaczy?

– To by był taki umodyfikowany emipitre.

– Co to jest zmodyfikowany emipitre?

– No, emipitre umodyfikowany, panie komisarzu.

Lepiej zmienić taktykę, inaczej groziło im spędzenie poranka na powtarzaniu tego samego pytania i tej samej odpowiedzi.

– I do czego służy?

– Do różnych rzeczy, panie komisarzu. Na ten przykład, to może być nagranie, co się zakłada do komputera i...

– Ale czy trzeba koniecznie odsłuchiwać nagrania z komputera, czy można zrobić kopię na piśmie i wydrukować?

– Najzupełniej można, panie komisarzu.

– No to przesłuchaj nagranie i wydrukuj mi zapis.

– Wszystkiego?

– Tak, wszystkiego. Ile czasu ci to zajmie?

– Oj, panie komisarzu, a tego to ja nie wiem.

– Dlaczego?

– Bo to jest całkowicie zależnionie od tego, co empitre w sobie posiada. Empitre może w środku mieć boską komedię, kodeks karany i cywilniony, historię stworzonego świata, Ewangelię, Biblię, wszystkie piosenki Di Capria...

– Di Caprio śpiewa?

– A jakże, panie komisarzu! On się już wyśpiewuje od lat wielu. Przecież pan na pewno wyznaje tę piosenkę, co to mówi o głosie i o gitarze...

– Ale to przecież piosenka Peppina di Capri!

– A co ja mówiłem? Nie mówiłem di Caprio?

Lepiej dać temu spokój.

– Fazio już jest?

– Nie, panie komisarzu.

Fazio zjawił się koło jedenastej.

– Straciłem cały ranek! Tommaseo był na zebraniu i nie mógł mnie przyjąć. No to ustawiłem się przy drzwiach i kiedy wyszedł do kibla, powiedziałem mu, że potrzebuję bardzo pilnie pozwolenia na wejście do willi.

– Dał ci je?

– Tak, ale ustnie, nie miał czasu, żeby je wypisać. Obiecał, że zrobi to dzisiaj po południu.

Ledwie Fazio zdążył wyjść z gabinetu, kiedy zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, bo tu by był na telefonie taki pan, co się nazywa Lopollo i owy powiada, że on pilnie przypilony z panem osobiście we własnej osobie rozmawiać pragnie.

– A czego chce?

– A tego to on mi nie wypowiedział. Ale w ogóle to on mówi tak, że się nie rozumie.

– Cudzoziemiec?

– Nie.

– No to dlaczego nie można go zrozumieć?

– Na jękalnię on cierpi.

Co to znowu za jękalnia? Może jąka się?

Lepiej nie wdawać się w niebezpieczne pytania i wyjaśnienia z Catarellą.

– Dobrze, przełącz. Halo. Mówi komisarz Montalbano. Pan Lopollo?

– Lee...o...pol...doo się na...zy...wam.

Wystarczyła chwila roztargnienia i znowu powtarzał jak papuga językowe fajerwerki Catarelli.

– Przepraszam, oczywiście, Leopoldo. Słucham pana.

– U... mar...mar...la...ka... ja... zna...laz...z...łem.

– Gdzie?

– Za... mia...mia...stem. Gmi...mi...na... Bo...ru...ru...so.

– Gdzie konkretnie?

– W do...o...mu... zie...zie...lo...nym po...o... le...wej.

Istna tortura.

– Przy... je...je...dziemy... natychmiast – odpowiedział Montalbano.

Nie było rady, kiedy słyszał jąkałę, sam też zaczynał się nagle jąkać.

Wstał, poszedł do pokoju Fazia.

– Co się dzieje?

– Dzwonił niejaki pan Leopoldo. Powiada, że w zielonym domu w gminie Borruso znalazł nieboszczyka. Założymy się, że chodzi o Tumminella?

– Nie, bo ja też tak myślę.

– Wiesz, gdzie jest ta droga?

– Ten, który zadzwonił, się jąka?

– Tak.

– No to wiem, o kogo chodzi. Filippo Leopoldo. I chyba wiem, gdzie jest jego dom na wsi.

– Daleko?

– Gdzie diabeł mówi dobranoc.

– Zawołaj Galla i jedziemy.

– Gallo pojechał z komisarzem Augellem.

– No to pojedziemy we dwójkę moim samochodem, ale ty prowadź.

Do gminy Borruso dojeżdżało się bardzo kiepską drogą, pełną wyrw i dziur.

Od kwadransa zieleń stopniowo znikąca, a po obu stronach widać było tylko wyschniętą ziemię z kępami pożółkłych chwastów, wyjałowioną z braku wody.

Kopczyki białych kamieni, przypominające stosy kości, pojawiały się tu i ówdzie niczym karłowate piramidy, dając schronienie żmijom i królikom.

W podskakującym na wybojach samochodzie Montalbano co chwilę objął się to o Fazia, to o drzwi po prawej stronie, a pas bezpieczeństwa, który nie działał

dobrze, uciskał go niemiłosiernie.

– Ile jeszcze?

– Za tym zakrętem będziemy na miejscu.

I rzeczywiście, za zakrętem zobaczyli nie tylko zielony dom, ale też stojącego przed nim mężczyznę.

– To jest Leopoldo – powiedział Fazio.

– Zrób mi przysługę i ty z nim porozmawiaj.

– Dlaczego?

– Jestem dzisiaj trochę zachrypnięty.

Chrypka posłużyła oczywiście za wykręt, ale jak miał rozmawiać z Leopoldem, skoro sam zaraz zacząłby się jąkać?

– Dzie...dzień... dob...b...ry – powitał ich Leopoldo, gdy wysiedli z samochodu.

Montalbano odpowiedział niezobowiązującym gestem ręki.

Zielony dom składał się z dwóch pokoi w kształcie nałożonych na siebie klocek i trzeciego, oddzielnego pomieszczenia po prawej stronie.

Komisarz popatrzył na jałowy krajobraz wokoło, zadając sobie pytanie, jaki to tajemniczy powód mógł skłonić kogoś do wybudowania domu w takim zapomnianym przez Boga miejscu. Chyba tylko upodobanie do pustelniczego życia.

– Panie komisarzu, tutaj – zawołał go Fazio, kierując się do trzeciego klocka, który był pustą oborą pozbawioną drzwi.

Leopoldo wszedł do domu.

Zmarły leżał na boku na wiązce słomy, zupełnie jakby spał. Tyle tylko, że słoma przesiąkła krwią.

Było jasne, że identyfikacja zwłok nie będzie łatwa. Panował upał, a nieszczęśnik nie żył już od kilku dni. Poza tym rana wylotowa po pocisku zmasakrowała mu twarz.

– Myślę, że to on – powiedział Fazio.

Wyciągnął z kieszeni fotografię, którą dał mu komisarz.

Przewyciężając mdłości, Montalbano przykucnął i przyjrzał się dłuższą chwilę temu, co pozostało z twarzy.

– Moim zdaniem to on, ale nie mogę być pewny. Kazali mu klęknąć i zabili go strzałem w potylicę. Typowa egzekucja mafijna. Wyjdźmy na zewnątrz.

Pomimo że nie było drzwi, w środku nie dało się oddychać.

– Leopoldo powiedział ci, jak go odkrył?

– Tak. Chciał dorobić nowe drzwi do obory, bo stare były już zniszczone i porąbał je na opał, więc przyjechał tu zrobić pomiary.

Wyszli na zewnątrz i odetchnęli świeżym powietrzem.

– Zróbmy tak: zadzwoń do całego cyrku na kółkach, prokuratora, ekipy technicznej i Pasquana. Potem zadzwoń do Galla i jeśli już wrócił do komisariatu, niech po mnie przyjedzie. Nie mam tu nic do roboty.

Podczas gdy Fazio telefonował, Leopoldo wyszedł z domu i zbliżył się do niego.

Coś mu powiedział i Fazio przetłumaczył.

– Leopoldo mówi, że jeśli mamy ochotę, to pora na obiad, że ugotował królika po myśliwsku i lepiej od niego nikt tego nie potrafi robić. Ja odmówiłem, ale jeśli pan ma ochotę...

Od jak dawna nie jadł królika po myśliwsku?

Enzo nie miał tego dania w menu, a Adelina nigdy nie robiła dziczyzny.

Ślinka pociekła mu do ust.

Leopoldo postanowił go zachęcić.

– Zo...ba...ba...czy... pan... że... w środ...ku... jest...czy...czy...sto.

– Nie...e... wąt...t...pię.

Leopoldo najpierw zmarszczył czoło, podejrzewając, że komisarz się z niego nabija, potem, na widok zawstydzonej twarzy Montalbana, doszedł do wniosku, że i on się jąka.

– Noo...tooo... jak?

– Dzień...ku...ku...ję, chę...tnie.

Kiedy Leopoldo skierował się ku domowi, Montalbano odwrócił się do Fazia.

– Je...śli... tym... cza...czasem... przy...ja...jadą tam...ci, nie mów ni...ni...komu, że je...jestem tutaj, a jak spy...y...tają, poo...wiedz, że wró...ciiiiłem do ko...o...mi...ssa...ria...tu.

Fazio wytrzeszczył na niego oczy.

– Nic nie zrozumiałem, panie komisarzu. Dobrze się pan czuje?

Montalbano wyjął z kieszeni kartkę i napisał na niej:

„Jeśli tymczasem przyjadą tamci, nie mów nikomu, że jestem tutaj. Nie dzwoń do Galla, żeby po mnie przyjechał”. Dał Faziowi kartkę do przeczytania, włożył ją z powrotem do kieszeni i poszedł za Leopoldem.

Na obiad dostał nie tylko fantastycznego królika po myśliwsku, ale też spaghetti w sosie pomidorowym, dojrzały ser owczy i domową kiełbasę, które popłukał świetnym mocnym winem. Komisarz był w siódmym niebie.

Leopoldo w pewnej chwili musiał wyjść, wezwany przez Fazia, żeby złożyć zeznanie prokuratorowi Tommaseo.

Montalbano jadł dalej.

Leopoldo był zresztą idealnym współbiednikiem. Mówienie przychodziło mu z trudem, zachowywał więc milczenie. Porozumiewali się z Montalbaniem spojrzeniami. Po dwóch godzinach przyszedł Fazio.

– Wszyscy już pojechali. Ci z ekipy technicznej znaleźli jego portfel i zajrzeli do środka, był tam dowód osobisty. To rzeczywiście Tumminello.

Fazio popatrzył na talerz komisarza.

– Zostało coś dla mnie?

Tak więc, aby dotrzymać towarzystwa Faziowi, Montalbano zjadł drugą porcję królika po myśliwsku.

Droga powrotna była prawdziwą męczarnią.

Przy każdym podskoku królik podchodził Montalbano do gardła, można było odnieść wrażenie, że zwierzę ożyło i chce wyskoczyć na zewnątrz, żeby schować się z powrotem za kupkę kamieni, z której wcześniej nieostrożnie wychynęło i dało się Leopoldowi zastrzelić.

W połowie drogi Fazio odebrał telefon od zdenerwowanego Catarelli, który donosił, że naczelnik pragnie z najpilniejszą pilnością rozmawiać z komisarzem Montalbaniem.

– Co mam mu powiedzieć?

Rozmowa z naczelnikiem w chwili, gdy królik szykował się, by wyskoczyć komisarzowi z żołądka, nie była najlepszym pomysłem.

– Że jestem niedostępny.

Dzięki Bogu wreszcie dojechali do miasta.

– Gdzie mam pana zostawić?

– Przy porcie.

Zanim wysiadł z samochodu, spytał Fazio:

– Kiedy wybierasz się do pani Tumminello?

– Teraz.

Poczuł się trochę lepiej na żołądku po dwukrotnym przejściu mola tam i z powrotem.

Jednak przed pójściem do komisariatu uznał za konieczne wypicie podwójnej kawy.

– Oj, panie komisarzu, panie komisarzu – zaczął zawodzić Catarella na jego widok. – Telefoniił...

– Wiem. Fazio mi powiedział.

Catarella wytrzeszczył oczy.

– To znaczy nieprawda, że pan komisarz nie dostał? Co za szczęście! Bogu dzięki! A ja się tak nastraszyłem!

– Dlaczego?

– A nie wiem, może z powodu tego słowa.

– Jakiego?

– Niedostępny.

– Niedostępny, Catarè.

– No, a co ja mówię? Czy nie mówię niedostępny?

Lepiej nie drążyć sprawy, jak zwykle.

– Słuchaj, w jakim humorze był naczelnik, twoim zdaniem?

– Panie komisarzu, ja go osobiście we własnej osobie nie uwidziałem, głos jego tylko zasłyszałem!

– No dobrze, czy wydał ci się rozszłoszczony?

– Nie, on się dziwny wydał.

– Jak to?

– Tak jakby trochę zaśnięty był.

Czy to możliwe, że naczelnik odczuwał jeszcze skutki wzięcia czterech środków uspokajających?

– Połącz mnie od razu.

– Tak jest. Ale jedną rzecz wyrzec chciałem. Ja wydrukowałem wszystko, co w komputerze wynalazłem.

– Świetnie. Włóż to do szuflady. A z empitre jak idzie?

– Teraz pracowanie rozpocznę. Mam telefonicznie do pana naczelnika?

– Dzwoni.

– Słucham pana, panie naczelniku! Mówi Montalbano.

– Ach, dzień dobry. Z czym pan dzwoni?

Śpiący, akurat! Naczelnik najwyraźniej zupełnie odpłynął.

– Proszę pana, to pan zadzwonił wczesnym popołudniem, kiedy byłem...

– Ach, prawda. Zadzwoniłem, bo pan Lattes powiedział mi, że chce pan ze mną pilnie rozmawiać.

– Tak jest.

– Jeśli chce pan przyjechać teraz...

– Będę za pół godziny, dziękuję!

To nie był Bonetti-Alderighi, którego znał. Zmienił się całkowicie, nawet jego głos stał się łagodny i uprzejmy.

Przed gabinetem naczelnika czekał na niego Lattes.

– Rozmawia przez telefon. Proszę poczekać dwie minuty.

– Jak się czuje?

Montalbano miał na myśli naczelnika, ale Lattes źle go zrozumiał.

– Ja? Znakomicie, dziękować Bogu. A pan?

– Ja też, dziękując tej samej osobie. A on jak się ma?

Lattes wydał się trochę zmieszany.

– Nie umiem powiedzieć. Zaszła w nim jakaś przemiana.

Na lepsze czy na gorsze? Chciałby spytać, ale się powstrzymał.

Lattes podszedł do drzwi gabinetu, uchylił je ostrożnie, jak gdyby się obawiał, że w środku czeka zabójca gotowy do strzału, otworzył je szerzej i zwrócił się do Montalbana:

– Może pan wejść.

Montalbano wszedł, a Lattes zamknął za nim drzwi.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że naczelnik Bonetti-Alderighi wrócił do zwykłej formy, elegancki i zadbany.

Siedział jak zazwyczaj wyprostowany za biurkiem, z rękami na blacie, z głową lekko odchyloną do tyłu tak, że broda sterczała do góry, z oczami skierowanymi powyżej rozmówcy.

Tyle tylko, że jego spojrzenie nie było skierowane na Montalbana, ale w prawą stronę, gdzie znajdowało się okno.

– Proszę usiąść.

Zwykle przyjmował komisarza na stojąco. Jeśli Montalbano siadał, robił to z własnej inicjatywy, z pewnością nie na zaproszenie naczelnika.

Zanim zdążył otworzyć usta, Bonetti-Alderighi powiedział:

– Przede wszystkim chciałbym pana przeprosić.

Nigdy w życiu nie słyszał, żeby naczelnik kogoś przeproszał. Montalbano popatrzył na niego z otwartymi ustami.

– Przepraszam za naprawdę gorszącą scenę, w której musiał pan uczestniczyć poprzedniego dnia. Nie byłem sobą, proszę mi wierzyć. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan o niej zapomnieć.

Ten nowy Bonetti-Alderighi intrygował komisarza.

– Już zapomniałem, panie naczelniku.

Bonetti-Alderighi przesunął spojrzenie z okna po prawej stronie na ścianę po lewej, na której znajdował się gobelin przedstawiający nieszpory sycylijskie.

– Dziękuję. A teraz słucham pana.

Już miał otworzyć usta, ale naczelnik powstrzymał go, podnosząc rękę i wpatrując się uporczywie w czubek długopisu trzymanego w drugiej.

– Proszę wybaczyć, ale myślę, że muszę panu najpierw koniecznie coś wyjaśnić. Nie ma potrzeby przypominać, że dwa dochodzenia, którymi się pan zajmuje, mam na myśli kradzież w supermarkecie oraz będące jej konsekwencją samobójstwo kierownika, a także morderstwo narzeczonej syna prezydenta regionu, to sprawy nieuchronnie narażone na naciski i manipulacje polityczne. Mieliśmy już tego przedsmak ze strony posła Mongibella. Wiem doskonale, że często nie przekazuje mi pan wszelkich informacji z prowadzonego śledztwa. Teraz jednak proszę, aby opowiedział mi pan wszystko ze szczegółami. W pana interesie i moim, drogi komisarzu. Jedziemy na tym samym wózku. Dlatego musimy kierować nim zgodnie, żeby nie spaść w przepaść, co mogłoby się skończyć tragicznie dla nas obu. Czy wyraziłem się jasno? A teraz słucham.

Przestał się wpatrywać w czubek długopisu i przeniósł spojrzenie na artystyczny żyrandol zwisający z sufitu.

Tak, wyraził się bardzo jasno, nie poprzez to, co powiedział, a poprzez to, czego nie zrobił. Ani razu podczas całej swojej przemowy nie był w stanie spojrzeć Montalbanowi w oczy.

I pomyśleć, że pewnego razu zwierzył się komisarzowi, że zawsze patrzy na swojego rozmówcę, bo dzięki temu można się domyślić, wyłącznie z jego spojrzenia, co ma mu zamiar powiedzieć.

Dlaczego tym razem tak uporczywie unikał go wzrokiem? Montalbano zaczął swoją relację.

– A zatem, w odpowiedzi na pana słowa powiem od razu, że kierownik Borsellino został zamordowany.

Naczelnik drgnął, ale nie przestał się wpatrywać w żyrandol. Montalbano zrozumiał, że przykuł jego uwagę. Teraz miał przed sobą alternatywę: albo opowiedzieć wszystko, albo wykręcić się jak zwykle jakąś półprawdą. Wiedziony impulsem, postanowił podzielić się wszystkimi informacjami, zaczynając od tych, które mu przekazał Pasquano. Jeśli okaże się, że zrobił błąd, będzie to musiał jakoś naprawić.

– To doktor Pasquano powiedział mi... – zaczął.

Uciekł się tylko do jednego kłamstwa, zapewniając, że na nocne wejście do supermarketu i do domu Borsellina otrzymali zgodę prokuratora, bo był pewien, że naczelnik i tak tego nie sprawdzi.

– Niestety, nie mamy żadnych dowodów – podsumował Bonetti-Alderighi, wpatrując się w swoją lewą rękę.

– To prawda. Jednak jutro rano otrzyma pan raport o kolejnym przestępstwie bezpośrednio związanym z włamaniem do supermarketu. Nocny strażnik, który na swoje nieszczęście przeszedł niedaleko supermarketu w nieodpowiedniej chwili.

– Proszę mi opowiedzieć, jak się potoczyły wypadki – powiedział naczelnik, wbijając spojrzenie w cenny kałamarz, który podarowano mu w prefekturze. – Ale wciąż pan nie wie, kto go zabił – zauważył na koniec naczelnik, teraz patrząc na swoją lewą rękę. – A kiedy pan to odkryje, ci, którzy kryją się za zbrodnią, zrobią wszystko, aby nas zniszczyć.

Westchnął, biorąc do ręki nożyk do przycinania papieru i podziwiając jego trzonek.

– I sądzę, że niestety im się uda.

Kolejne westchnienie. Obrócił nożyk, popatrzył na jego czubek.

– Im dalej posuniemy się w śledztwie, tym więcej będziemy ryzykować.

– Życzy pan sobie, żebyśmy się zatrzymali? Albo przynajmniej zaczęli się kręcić w kółko?

Nawet postawiony przed takim pytaniem Bonetti-Alderighi nie podniósł wzroku. Wobec tego Montalbano postanowił go przycisnąć. Jednak jak daleko mógł się posunąć? Opłacało mu się podjąć to ryzyko? Ale jeśliby tego nie zrobił, nie mógłby potwierdzić swoich podejrzeń co do prawdziwych intencji naczelnika. Zaczął się śmiać.

– Bawi pana ta sytuacja?

Naczelnik zadał pytanie, patrząc na guzik swojej marynarki.

– Ależ nie, skądże. Tylko przypomniało mi się coś, co przeczytałem w jakiejś powieści... rozgrywa się we Francji. Jest tam komisarz, który prowadzi dochodzenie w sprawie kradzieży dokonanej w mieszkaniu córki wysokiego urzędnika ministerstwa i odkrywa, że to sam ojciec zlecił kradzież. Nie chodziło jednak o kosztowności, one zostały zabrane tylko dla zmyłki, a o kompromitujący list urzędnika, którym dziewczyna posługiwała się, aby go szantażować. Kiedy urzędnik widzi, że komisarz zbliża się do rozwiązania sprawy, grozi, że zrukuje mu karierę zawodową. Wobec tego policjant zwała winę na podrzędnego złodzieja i....

– Zaraz – przerwał mu naczelnik, wpatrując się w okno – złodziej dowodzi chyba swojej niewinności, prawda?

– Nie ma do tego okazji. Zostaje zabity w trakcie strzelaniny.

– Ach – powiedział Bonetti-Alderighi, znowu przenosząc spojrzenie na żyrandol.

Nastąpiła długa pauza.

– Ma pan jeszcze tę powieść?

– Myślę, że tak.

– Jeśli pan ją znajdzie, może mi ją pan pożyczyć?

– Bardzo chętnie.

– Teraz proszę mi opowiedzieć o morderstwie dziewczyny – ciągnął dalej naczelnik.

Montalbano rozwiódł się szeroko nad swoimi wątpliwościami co do tego, czy to on powinien zajmować się tym śledztwem.

Czy nie byłoby lepiej, podsumował, przekazać dochodzenie komisarzowi Augellowi?

– Pan czy Augello, to jedno i to samo – stwierdził naczelnik, wpatrzony w plamkę na blacie biurka. – Wszyscy wiedzą, jak wielki wpływ ma pan na swojego zastępcę.

Potrząsnął głową.

– Nie, śledztwo powinno pozostać w pana rękach. Oddanie go w inne ręce oznaczałoby przyznanie się z góry do winy. Niech pan działa dalej, z uczciwością i lojalnością, którymi się pan zawsze odznaczał.

A czy przypadkiem jakiś czas temu pan naczelnik nie powiedział, że cały komisariat w Vigacie to jedna mafijna banda, na czele z Montalbaniem?

Naczelnik wstał, komisarz także.

– Proszę, żeby dał pan pierwszeństwo śledztwu w sprawie morderstwa dziewczyny, w ten sposób unikniemy złośliwych pomówień. I proszę mnie o wszystkim informować na bieżąco – zakończył naczelnik, przyglądając się kłapom marynarki komisarza.

Potem podał mu rękę. Montalbano ją uściskał.

– Proszę w to nie wątpić, panie naczelniku. I dziękuję za miłe słowa pod moim adresem.

Zrobiło się późno, o tej porze w komisariacie nikogo już by nie zastał, lepiej było wrócić prosto do Marinelli.

Ani się spostrzegł, że na rozmowie z naczelnikiem zleciały mu dwie godziny, w czasie których mówił głównie on. Opowiedział przełożonemu wszystko, podzielił się nawet swoimi hipotezami i przypuszczeniami. Bonetti-Alderighi poprosił, aby mu zaufał, i komisarz to zrobił.

– Jedziemy na tym samym wózku – powiedział.

Tyle tylko – Montalbano wywnioskował to z zachowania naczelnika już po dwóch minutach spotkania – że Bonetti-Alderighi był skłonny przy pierwszej okazji zrzucić komisarza z wózka prosto pod koła następnych pojazdów.

Ten człowiek był zdolny do wszystkiego, aby tylko uratować własny tyłek. Wystarczyło popatrzeć, jak łatwo złapał się na haczyk, kiedy komisarz opowiadał mu francuską powieść, którą wymyślił na poczekaniu. Naczelnik chciał pożyczyć książkę, żeby zobaczyć, czy można było zastosować tę samą taktykę do włamania w supermarketcie!

Teraz Montalbano musiał się strzec także przed machinacjami Bonettiego-Alderighiego.

Ale to, że komisarz odkrył, co chodziło naczelnikowi po głowie, i tak było wielką korzyścią. Był pewien, że zyskał sobie zaufanie zwierzchnika, podyktowane jego egoizmem, dlatego mógł teraz opowiedzieć szefowi, cokolwiek mu przyszło na myśl, a on i tak by mu uwierzył.

Pierwsze, co zrobił po przyjeździe do Marinelli, to zatelefonował na komórkę do Augella.

– Co ci powiedział naczelnik? – spytał od razu Mimì.

– Odrzucił moją propozycję, żeby przekazać ci śledztwo w sprawie zamordowania dziewczyny. Chce, żebym je prowadził. I może tak będzie lepiej dla ciebie.

– Niby dlaczego? – spytał nadąsany Mimì.

– Jutro ci to wyjaśnię. Dzwonię, żeby powiedzieć, że rano, kiedy tylko przyjedziesz do pracy, musisz wezwać Strangia i jego adwokata do komisariatu na piątą po południu.

Odłożył słuchawkę i zorientował się, że nie ma apetytu. Nie strawił jeszcze do końca podwójnej porcji królika po myśliwsku.

Nie miał też jednak ochoty siedzieć i rozmyślać nad słowami naczelnika.

Otworzył drzwi na werandę. Do środka wpadł świeży powiew, który od razu poprawił mu humor.

Siadł na fotelu, włączył telewizor i obejrzał sobie po raz kolejny film Dawno temu w Ameryce.

Potem zadzwoniła Livia.

– Możesz mi poświęcić pół godzinki czy chce ci się już spać? – spytał.

– Nawet więcej niż pół godziny. Co chcesz mi powiedzieć?

– To długa historia.

Zawsze lepiej odwołać się do kobiecej intuicji.

Opowiedział jej wszystko: o włamaniu do supermarketu, upozorowanym samobójstwie, pierwszej panicznej reakcji naczelnika, morderstwie dziewczyny, o swoich wątpliwościach, o nowym spotkaniu z Bonettim-Alderighim.

– Co o tym myślisz? – spytał na koniec.

– Moim zdaniem Bonetti-Alderighi dał ci wolną rękę, bo jeśli sprawy potoczą się źle, to ty za to zapłacisz. Wdzięczy się, żeby mieć z ciebie doskonałego kozła ofiarnego – odpowiedziała bez najmniejszego wahania Livia.

– Zgadzam się – powiedział Montalbano.

– Co masz zamiar zrobić?

– Prowadzić dalej śledztwo.

– Przepraszam, ale dlaczego nie pójdziesz na zwolnienie i nie przyjedziesz na kilka dni do mnie?

– Livio, powinnaś mnie dobrze znać. Jeśli już, to zaistniała sytuacja motywuje mnie jeszcze bardziej... a nawet więcej, bawi mnie.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała Livia.

Pierwsza część nocy minęła mu na przewracaniu się w łóżku z boku na bok. O piątej nad ranem udało mu się zasnąć i spał bez przerwy do dziewiątej. Zbudziły go hałasy krzątający gosposi w kuchni.

– Adeli, przynieś mi kawę.

– Już się robi, panie komisarzu.

Ach, co za rozkosz, co za uciecha wypić sobie kawę w łóżku!

Wydało mu się, że nawet sufit pokoju przybrał kolor czystego błękitu.

Wstał, umył się, ubrał i poszedł do kuchni.

– Zrobiłabyś mi drugą kawę?

– Jest już prawie gotowa.

– Co ugotujesz na wieczór?

– Barweny z cebulką.

Może życie nie jest w sumie takie złe, pomyślał sobie, zapominając od razu o problemach z trawieniem.

Po wejściu do komisariatu od razu natknął się na rozpromienionego Catarellę.

– Panie komisarzu, ja pracowanie na empitre wykończyłem.

– Czy znalazłeś dużo zapisów?

– Nie, panie komisarzu. Cztery rozmówienia z osobami z supermarketu, a potem rozmówienie z jego, znaczy kierownika z nim, znaczy się z komisarzem Augellem i potem rozmówienie z nim, znaczy się kierownikiem pana, to znaczy komisarza Montalbana.

– O kurwa! – komisarz zawył niczym wilk.

Catarella aż się cofnął.

– Co ja powiedziałem, panie komisarzu? Błąd uczyniłem? Pomylenia dokonałem?

Wręcz przeciwnie!

– Catarè, chodź no tutaj!

Catarella postąpił ostrożnie krok do przodu, jakby spodziewając się, że Montalbano spuści mu manto.

Tymczasem komisarz wziął go w ramiona.

– Wspaniale się spisałeś! Wspaniale!

Catarella osuszył sobie łzę rękawem marynarki. Łzę szczęścia.

– Matko Najświętsza! To mnie pan komisarz razy dwa objął w jednym tygodniu!

– Gdzie położyłeś kartki z transkrypcją?

– Na pana biurku.

Montalbano puścił się pędem.

Catarella naprawdę spisał się na medal.

Każdej rozmowie nadał nawet tytuł: *Rozmówienie z Michelelem; Rozmówienie z dziwczyzną Nunzią; Rozmówienie z dostawcą Gesumundem* (zapewne Gesumunnem); *Rozmówienie z jednym co się nie wie kto to* i na koniec *Rozmówienie z komisarzem Augellem i z komisarzem Montalbaniem*.

Komisarz zaczęła lekturę od ostatniej transkrypcji, jedynej, która go interesowała.

W miarę czytania coraz bardziej oczywisty stawał się nienaganny sposób prowadzenia przesłuchania przez Mimì Augella, który nie pozwolił sobie na

żadną złośliwą uwagę, ironiczny przytyk czy insynuację co do współudziału kierownika we włamaniu.

Potem doszedł do pytania Augella:

– Czy ma pan jakieś przypuszczenie co do tego, jak złodziej zdołał wejść do środka, skoro na drzwiach zewnętrznych nie ma śladów włamania?

Borsellino nie tylko, że nie odpowiedział, ale zaczął od razu krzyczeć:

– Żądam adwokata!

– Ależ proszę pana, nikt pana nie oskarża...

– Żądam adwokata!

– Proszę posłuchać...

– Wobec tego chcę rozmawiać z komisarzem Montalbano!

– Ale komisarz...

– Chcę z nim rozmawiać!

– Proszę, niech pan zadzwoni.

Potem następowały dwie rozmowy z komisariatem, a następnie Borsellino zwrócił się do Augella:

– Oświadczam, że nie powiem już ani słowa, dopóki nie przyjedzie komisarz.

– Jak pan sobie życzy.

W tym miejscu Catarella dodał genialny opis:

„W zamilczonym pokoju daje się słyszeć komisarza Augella jak wygwizduje melodię co mi się zdaje piosenką Celentana, ale pewności mieć nie potrafię, oraz kierownika, który po pokoju przechadza się a także pomrukuje”.

Potem wchodzi on, Montalbano.

Ostatnimi zarejestrowanymi dźwiękami były szloch Borsellina i słowa: *Wszystkiego najlepszego.*

Podniósł słuchawkę.

– Catarè, chodź tutaj.

Nie zdążył odłożyć słuchawki, a Catarella już stał przed nim, wyprężony na baczność.

– Do pańskiej dyspozycji!

– Wydrukuj mi kopię rozmowy mojej i Augella z kierownikiem i oddaj mi dyktafon. Tylko pamiętaj, nie mów jeszcze z nikim o tej sprawie.

– W grobowcu jestem, panie komisarzu! – zapewnił Catarella, oddając mu dyktafon, który trzymał w kieszeni.

Wsiadł do samochodu i pojechał do Montelusy. Zaparkował przed siedzibą stacji telewizyjnej Retelibera i wszedł do środka.

Sekretarka uśmiechnęła się do niego.

– Od dawna się pan u nas nie pokazywał, panie komisarzu!

– Witaj, ślicznotko. Jest mój przyjaciel?

– Tak, ale na zebraniu. Niech pan poczeka w jego biurze, zawiadomię go.

W Retelibera czuł się jak w domu. A jej dyrektor, dziennikarz Nicolò Zito, był prawdziwym przyjacielem. W gabinecie komisarz czekał może z dziesięć minut na przyjście Zita. Objęli się.

– W rodzinie wszystko w porządku? – spytał Montalbano.

– Jak najbardziej. Co mi opowiesz?

– Moglibyśmy sobie oddać wzajemną przysługę.

– Dawaj.

– Wiesz, że poseł Mongibello chce wnieść do parlamentu interpelację w sprawie samobójstwa Borsellina?

– Pewnie. Słuchałem też tego sługusa Ragonese. Chcą cię obarczyć moralną odpowiedzialnością za samobójstwo, bo ich zdaniem poddałeś go psychicznym torturom. Łatwo zgadnąć, że chcą zniszczyć i ciebie, i naczelnika.

– Jak zwykle wszystko zrozumiałeś.

– Co macie zamiar zrobić?

– Nie mam pojęcia, co zamierza naczelnik, ale wiem, co ja chcę zrobić.

– A mianowicie?

– Dać ci to.

Montalbano wyciągnął z kieszeni dyktafon cyfrowy i podał go dziennikarzowi.

– Co jest na nim nagrane?

– To wszystko, co najpierw Mimì Augello, a potem ja powiedzieliśmy do Borsellina.

Zito podskoczył na krześle.

– Naprawdę?!

– Posłuchaj i sam osądź. Wcześniej są cztery rozmowy Borsellina z innymi osobami, potem nasza.

Zito siedział przez chwilę w milczeniu, potem powiedział:

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że gdy tylko to nadam, rozpęta się burza. Sędzia na pewno skonfiskuje dyktafon i...

– Wybacz, mnie dyktafon jako taki nie interesuje. Wystarczy mi, jeśli przegrasz wszystko, co jest na nim, i przechowasz dla mnie kopię.

— Oczywiście, że ci ją zrobię. Ale nie w tym rzecz. Ja nie pytam, jak wszedłeś w posiadanie tego nagrania, ale jeśli sędzia mnie zapyta, skąd je zdobyłem, jakie dam mu wyjaśnienie?

– Najprostsze: że dostałeś je w przesyłce od anonimowego nadawcy.

– Może zdążę nadać wiadomość już dzisiaj, w dzienniku o pierwszej.

Gdy tylko Montalbano wrócił do komisariatu, poszedł do pokoju Augella.

– Wezwałś Strangia i jego adwokata?

– Tak. Ale adwokat nie może przyjść. Powiedział, żebyśmy robili swoje. Nie wydaje ci się to dziwne?

– Jasne, że tak. Nie był też obecny, kiedy Strangio składał zeznanie prokuratorowi Tommaseo.

– No dobrze, a teraz mi wyjaśnij, dlaczego lepiej dla mnie jest nie zajmować się tą sprawą?

– Bo i tak już dużo ryzykujesz, prowadząc dalej dochodzenie w sprawie włamania do supermarketu.

– Możesz to lepiej wyjaśnić?

– Mimì, pamiętasz, jak ci powiedziałem, że musimy walczyć na czterech frontach?

– Pewnie.

– Myliłem się, tak naprawdę jest ich pięć.

I opowiedział mu o spotkaniu z naczelnikiem i o wnioskach, do których doszedł.

Mimì słuchał go zdumiony, oszołomiony i na koniec zniesmaczony.

– Teraz chodźmy do sali konferencyjnej – powiedział Montalbano, spojrzawszy na zegarek.

– Po co?

– Obejrzyć telewizję.

Odbiornik dostali sześć miesięcy wcześniej. Przyszło zarządzenie, że każdy komisariat ma być wyposażony w telewizor.

Mimì włączył go i nastawił na kanał Retelibera. Rozbrzmiał sygnał dziennika i zaraz potem na ekranie pokazała się twarz Zita.

Informujemy naszych widzów, że zaraz po dzienniku nadamy audycję zawierającą prawdziwe rewelacje w związku z samobójstwem Guida Borsellina, kierownika supermarketu w Vigacie. Jak państwo wiecie, poseł partii rządzącej Gaetano Mongibello zawiadomił naczelnika policji Montelusy o zamiarze wniesienia do parlamentu interpelacji w sprawie tego samobójstwa, gdyż jego zdaniem było ono skutkiem niezgodnych z przepisami metod śledztwa stosowanych przez komisarza Salva Montalbana. Ściślej mówiąc, poseł Mongibello twierdzi, że komisarz poddał Borsellina prawdziwym torturom psychicznym. My możemy jednak wyjawic, jak naprawdę potoczyły się wypadki. Dysponujemy autentycznym nagraniem rozmów przeprowadzonych z Borsellinem najpierw przez komisarza Augella, a potem przez komisarza Montalbana. Odtworzymy je w całości, choć między jednym a drugim nagraniem jest półgodzinna przerwa. Jednak najpierw nadamy wiadomości.

Pojawiła się ładna spikerka, która powiedziała:

Dzień dobry. Oto najważniejsze wiadomości dnia.

Na ekranie pokazał się plac budowy jakiegoś bloku.

W Montereale dwaj imigranci zatrudnieni na czarno zginęli w wyniku upadku z rusztowania. Prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie tego zdarzenia.

Potem podano zwykle wiadomości o kradzieżach, podpaleniach, napływie kolejnych imigrantów, próbach zabójstwa. Na koniec pojawiła się znowu twarz Zita.

A teraz zgodnie z zapowiedzią wyemitujemy nagranie. Dla osób niesłyszących przygotowaliśmy transkrypcję, którą będzie można czytać na ekranie równoległe z odtwarzaniem nagrania.

Podczas półgodzinnej ciszy, kiedy nikt nic nie mówił, słyhać było tylko Augella, który pogwizdywał, i Borsellina miotającego się po pokoju, mamroczącego pod nosem, przesuwanego krzesła, otwierającego i zamykającego okno. Przerwa ta robiła nawet większe wrażenie niż jakikolwiek obraz.

Po zakończeniu transmisji na twarzy Augella pojawił się uśmiech.

Teraz trudno by było posłowi Mongibellowi upierać się przy oskarżeniu o tortury psychiczne.

Na obiad poszedł do Enza.

– Jestem strasznie głodny – oświadczył, gdy tylko usiadł.

Został obsłużony zgodnie z życzeniem. Przystawka z owoców morza (podwójna porcja), spaghetti z małżami różnego rodzaju (półtorej porcji), smażone kalmary i krewetki (podwójna porcja), wino, żadnej wody i kawa.

Kiedy wyszedł z knajpy, stwierdził, że spacer na molo jest niezbędny dla jego życia i zdrowia.

Po dotarciu pod latarnię usiadł na swoim ulubionym płaskim kamieniu i oddał się rozmyślaniom.

W jakim celu kierownik Borsellino nagrywał rozmowy najpierw z Mimì, a potem z nim?

Musiało się coś za tym kryć.

Pomimo obfitego posiłku mózg pracował mu bez zarzutu i po kwadransie rozważań doszedł do wniosku, że niemal na pewno Borsellino miał zamiar dać do odsłuchania Cuffarom swoje rozmowy z policją, aby udowodnić im, że zachował się nienagannie, nie powiedział glinom ani słowa za dużo. Jednak pytanie Mimì o brak śladów włamania zupełnie go zaskoczyło. Najwyraźniej i dla niego była to niespodzianka. Wynikało to zapewne stąd, że do supermarketu wchodził zawsze tylnymi drzwiami i nie przyszło mu do głowy, aby sprawdzić bramę wejściową, którą złodziej miał wyważyć. Dlatego też zareagował w jedyny możliwy sposób, żądając adwokata. Jednak kolejne pytania zadane mu przez komisarza nie pozostawiły kierownikowi pola do manewru. A płacz na końcu rozmowy już sam w sobie był przyznaniem się do winy.

W związku z tym Borsellino nie mógł już posłużyć się tym nagraniem.

Nawet gorzej. Jego szloch można był zinterpretować tylko w jeden sposób.

Dlaczego więc nie skasował nagrania?

Być może właśnie po to wrócił do supermarketu, ale morderca nie dał mu czasu. Zabójcy nie zabrali dyktafonu, tak jak komórki, po prostu dlatego, że nie wiedzieli o jego istnieniu. I nie zajrzeli do kieszonki w marynarce.

Potem komisarzowi nasunęła się inna myśl.

Borsellino zadzwonił do komisariatu zgłosić kradzież o ósmej rano, kiedy otwierano supermarket. Ale przecież kierownik na pewno przychodził wcześniej, choćby po to, aby wpuścić personel. Czy to możliwe, że nie zauważył kradzieży zaraz po wejściu do biura?

A jeśli tak, to czemu nie zgłosił tego niezwłocznie?

Możliwe, że najpierw odbył rozmowę z kimś innym.

W dyktafonie zachowały się cztery rozmowy, przynajmniej trzy z nich odbyły się wcześniej, bo w dzień kradzieży Borsellino nie miałby na nie czasu. Dlatego też rozmowa o kradzieży musiała niemal na pewno być tą, którą Catarella zatytułował *Rozmówienie z jednym co się nie wie kto to*.

Ale czy rozmawiał osobiście czy przez telefon?

Popatrzył na zegarek. Dochodziła trzecia. Zito z pewnością wrócił już po obiedzie do Retelibera. Montalbano też wrócił do komisariatu.

- Halo, tu Montalbano. Jest Zito?
- Zaraz pana z nim połączę.
- Podobała ci się audycja? – spytał Zito, gdy tylko odebrał.
- A i owszem. Dziękuję ci.
- Dostajemy dziesiątki telefonów. Wszyscy są po waszej stronie i źle oceniają Ragonese i Mongibella.
- Cieszę się, ale...
- Ale?
- Ale nie sądzę, żeby wola ludu czy opinia publiczna mogły jeszcze mieć jakiś wpływ na bieg spraw.
- Czy twoim zdaniem telewizja i gazety niczemu nie służą? Nie kształtują opinii publicznej?
- Nicolò, prasa papierowa niczemu nie służy. We Włoszech mieszkają dwa miliony analfabetów, a trzydzieści procent populacji ledwie umie się podpisać. Trzy czwarte tych, którzy kupują gazety, czyta tylko tytuły, które często, zgodnie z włoskim zwyczajem, mówią zupełnie coś innego niż sam artykuł. Jeśli chodzi o garstkę pozostałych, to już mają wyrobioną opinię i kupują te gazety, które potwierdzają ich poglądy.
- Jeśli chodzi o prasę – powiedział po chwili Nicolò – mogę się z tobą po części zgodzić, musisz jednak przyznać, że telewizję oglądają nawet analfabeci.
- No i widać rezultaty. Trzy największe prywatne kanały są własnością lidera partii rządzącej, a dyrektorami dwóch programów telewizji państwowej są wybrani przez niego ludzie. I tak właśnie kształtuje się twoja opinia publiczna!
- Ale moja telewizja nie jest...
- Twoja telewizja to jeden z nielicznych wyjątków, to głos naprawdę wolny. No to cię zapytam: ilu widzów ma twój kanał w porównaniu do Telegaty? Jedną dziesiątą? Jedną dwudziestą? Włosi nie lubią słuchać wolnego głosu, prawda wytrąca ich umysł z błogiej drzemki, wołą wypowiedzi, które nie zmuszają ich do refleksji, pozwalają się poczuć częścią stada.
- Przepraszam, to dlaczego zwróciłeś się do mnie...
- Żeby ten, który miał zrozumieć, zrozumiał. Posłuchaj, porozmawiajmy o poważniejszych sprawach. Czy prokuratura już zarządziła konfiskatę dyktafonu?
- Jeszcze nie.
- Udało ci się skopiować całe nagranie?
- Tak. Przegrałem wszystko, co tam było. Także to, co nie dotyczyło włamania.

- To jest dla mnie cenny materiał.
- Spokojnie, nie przypadnie.
- Jutro rano przyjadę odebrać nagranie, dobrze?
- Wpadnij, kiedy chcesz.

Tymczasem *Rozmówienie z jednym co się nie wie kto to*, jak je nazwał Catarella, mógł sobie przeczytać z kopii na piśmie. Zaczął szukać kartek, które mu dał Catarella, ale pomiędzy papierzyskami spiętrzonymi na biurku ich nie było. Nie znalazł ich także w środkowej szufladzie.

– Można? – spytał Fazio.

Montalbano dał sobie spokój z szukaniem, mógł to zrobić później.

– Znalazłeś coś w willi?

Fazio wyglądał na rozczarowanego.

– Cała korespondencja Strangia ma charakter służbowy, zaledwie kilka prywatnych listów, ale nic ciekawego. To samo, jeśli chodzi o korespondencję dziewczyny, listy od rodziców, którzy mieszkają koło Palermo, i kilka pocztówek z wakacji od jakiejś najwyraźniej bliskiej przyjaciółki mieszkającej tutaj w Vigacie. Czy mogę popatrzeć na kartkę, którą mam w kieszeni?

– Tak, ale znasz warunki.

– Tak, znam i respektuję.

Wyciągnął z kieszeni karteczkę, rzucił na nią okiem i z powrotem schował.

– Przyjaciółka nazywa się Amalasunta Gambardella i mieszka na via Crispi pod numerem szesnastym.

Amalasunta! Jak się nazywał ten artysta, który malował amalassunty?¹

– Kiedy skończymy przesłuchanie Strangia, zastanowimy się, czy warto wezwać ją na rozmowę. Coś jeszcze?

– Tak. Kalendarzyk dziewczyny. Notowała w nim tylko zajęcia albo wizyty u fryzjera, tego typu rzeczy. Natomiast w skorowidzu telefonicznym jest dużo numerów, którym warto się przyjrzeć. Kalendarzyk mam u siebie. Chce go pan zobaczyć?

– Nie. Sam go przestudiuj.

– Aha, wziąłem też komputer dziewczyny i dałem Catarelli.

– Skąd wiesz, że należał do niej?

– Włączyłem go i zobaczyłem tam pliki związane z architekturą.

– A komputera Strangia nie było?

– Nie.

W drzwiach pokazał się Catarella.

– Panie komisarzu, bo tu by był ten facet, co się nazywa Strangio i pan go ma mieć na przesłuchaniu. W poczekalni ja go usadziłem.

– Jest sam?

– Tak.

– Zobacz, co z adwokatem.

Catarella podszedł do okna, otworzył je i wyjrzał na zewnątrz.

– Co robisz?

– Rozkazanie pana komisarza spełniam: patrzę, co z adwokatem.

Co to miało być, komedia ślapstickowa?

– Nie, masz pójść i spytać o to Strangia!

– Szybkościowo!

Fazio wstał i wyszedł. Wrócił Catarella.

– On powiada, że czekanie jest nadaremne, bo adwokat w zajmowaniu się znajduje.

Wrócił Fazio z komputerem, który kilka lat wcześniej zastąpił starą maszynę do pisania. Usiadł z nim na kanapie z boku.

– Catarè, powiedz komisarzowi Augellowi, żeby tu zaraz przyszedł, a potem wpuść Strangia.

Mimì zjawił się od razu i usiadł na jednym z krzeseł przed biurkiem.

Strangio wyglądał na spokojnego, był jednak nieogolony i miał zaczerwienione oczy. Ręce mu trochę drżały.

– Proszę usiąść – powiedział Montalbano, wskazując mu wolne krzesło.

Strangio usiadł i w tym samym momencie zadzwonił telefon. Komisarz podniósł słuchawkę.

– Nie ma mnie dla nikogo! – krzyknął i rozłączył się.

– Proszę pana...

Telefon znowu zadzwonił.

– Oj, panie komisarzu, panie komisarzu!

Naczelnik.

– Przełącz mnie do biura komisarza Augella.

Zwrócił się do obecnych w pokoju:

– Przepraszam, postaram się to załatwić jak najszybciej.

Wpadł biegiem do pokoju Mimì, gdzie telefon już dzwonił.

– Halo. Mówi Montalbano.

– Dowiedziałem się z Retelibera, że...

– Tak, panie naczelniku.

– Jestem bardzo zadowolony, gdyż to dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że pan i Augello zachowaliście się jak najbardziej przepisowo. Sądzę, że oskarżenia przeciwko wam będą musiały teraz zostać wycofane.

Dlaczego mówił przeciwko wam, a nie przeciwko nam? Czy on nie należał do policji? Już nie jechali na tym samym wózku? Taki błąd nie był godny Bonettiego-Alderighiego.

– Też tak uważam, panie naczelniku.

Czy to możliwe, że zwierzchnik zadzwonił tylko po to, żeby mu pogratulować?

– Aha, niech pan posłucha, nie wie pan przypadkiem, jak dyktafon trafił w ręce tego dziennikarza telewizyjnego?

Więc taki był cel tego telefonu.

– Nie mam pojęcia, panie naczelniku. Przeszukując dom Borsellina i jego biuro, nie znalazłem ani śladu tego dyktafonu...

– Gdyby przyszła panu do głowy jakaś myśl...

– Zaraz się nią z panem podzielę.

Buzi buzi, do widzenia. Montalbano wrócił do swojego gabinetu.

Dało się wyczuć, że podczas jego nieobecności w pokoju nikt nie otworzył ust. Milczenie wisiało w powietrzu niczym gęsty dym papierosowy.

– Czy kiedy wyjeżdżał pan w sprawach zawodowych, miał pan zwyczaj dzwonić do narzeczonej?

– Oczywiście.

– Także wówczas, kiedy znajdował się pan w Rzymie?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Z Rzymu dzwoniłem zawsze kilkakrotnie. Zaraz po przylocie, po południu i wieczorem.

– Zrobił pan to także...

– Naturalnie. Ostatnią rozmowę przeprowadziłem jednak około siedemnastej.

– Powiedziała panu coś ważnego?

– Powiedziała, że bardzo boli ją głowa i pójdzie wcześniej do łóżka, więc żebym nie dzwonił już wieczorem.

– Wydała się panu spokojna?

- Całkowicie. Normalna.
 - Jak pan do niej zadzwonił? Z komórki?
 - Nie, z budki telefonicznej.
 - Dlaczego?
 - Bo nie dotarłem jeszcze do hotelu i miałem rozładowaną komórkę.
 - Potem najwyraźniej ją pan naładował, skoro zgodnie z tym, co zeznał prokuratorowi Tommaseo, dzwonił pan wielokrotnie do narzeczonej z Punta Raisi i w czasie drogi do domu.
 - Tak. Naładowałem ją, gdy tylko zameldowałem się w hotelu.
 - Jak nazywa się hotel, w którym się pan zatrzymał?
 - Sallustio. Jeśli potrzebny jest panu numer...
 - Nie ma takiej potrzeby, dziękuję. Teraz chciałbym, żeby przypomniał pan sobie, co zrobił po zakończeniu zebrania.
 - Poszedłem na kolację i...
 - Zwykle chodzi pan na kolację o siedemnastej?
- Strangio znowu się uśmiechnął. Tym razem był to jednak cwaniacki uśmieszek, który zirytował komisarza.
- Widać, że zasięgnął pan informacji. Poszedłem się przejść po Rzymie.
- Montalbano od razu odniósł wrażenie, że Strangio nie mówi prawdy.
- Wobec tego wpadł na pomysł. Miał zamiar zablefować, przepraszając w duchu Livię. Zanim się odezwał, przygotował scenę w stylu Bonettiego-Alderighiego. Wziął do ręki długopis, popatrzył z zainteresowaniem na jego czubek, odłożył go na miejsce, po czym przemówił uroczystym głosem:
- Muszę poprosić, żeby się pan poważnie zastanowił nad udzieloną mi odpowiedzią. Chce ją pan zmienić?
 - Nie. Dlaczego miałbym to zrobić?
 - Ponieważ obecny tu komisarz Augello już zadzwonił do hotelu Sallustio. Jak pan sam zauważył, mamy dokładne informacje o pana pobycie w Rzymie.
- Strangio zeszytniał jak sztokfisz i nie otworzył ust. Montalbano zwrócił się do Augella.
- Powtórz to, co ci powiedziano.
- Mimì stanął na wysokości zadania.
- Wyciągnął powoli z kieszeni jakąś kartkę i udał, że czyta, co na niej napisano.
- Klient opuścił hotel po południu, po uregulowaniu rachunku.
- Złożył flegmatycznie kartkę i schował ją z powrotem do kieszeni.

Strangio połknął haczyk z robakiem, żyłką i wędką.

– Bo chodzi o to, że absolutnie nie chciałbym... – zaczął z trudem, bardzo już zdenerwowany.

– Proszę poczekać. Chcę, aby zaprotokołowano moje wielkie rozczarowanie nieobecnością pańskiego adwokata, mimo że uprzedziłem go o tym spotkaniu. W tym momencie ma pan całkowite prawo odmówić dalszych zeznań.

Strangio nawet się nie zawahał.

– Nie, kontynuujmy. Im szybciej się skończy ta historia, tym lepiej.

– Fazio, zapisałeś w protokole, że poinformowałem pana Strangia o możliwości zakończenia przesłuchania, jeśli wyrazi taką wolę? Tak? No to możemy kontynuować. Może nam pan powiedzieć, dokąd poszedł po zebraniu?

Zanim Strangio otworzył usta, przełknął dwa razy ślinę.

– Chciałem uniknąć wciągnięcia w to... tak, to prawda, zaszedłem do hotelu, uregulowałem rachunek, wezwałem taksówkę i pojechałem do... swojej przyjaciółki.

– O której godzinie dotarł pan do domu tej swojej przyjaciółki?

– Czy ja wiem... koło wpół do siódmej.

– Co robiliście?

– Trochę... rozmawialiśmy. Potem zjedliśmy kolację. U niej w domu. Bo... powiedziałem jej, że jestem wolny.

– Spędził pan noc u swojej przyjaciółki?

– Tak.

– I następnego dnia rano pojechał pan na lotnisko?

– Tak.

– Tę przyjaciółkę odwiedza pan przy każdej wizycie w Rzymie?

– Tak.

– To pana kochanka?

– Tak.

Tak więc Strangio uwił sobie miłosne gniazdko w Rzymie!

– Mogę zapalić? – spytał mężczyzna.

– Na razie nie. Od jak dawna trwa ten związek?

– Mniej więcej od dwóch lat, z kilkumiesięczną przerwą.

– Pana narzeczona o nim wiedziała?

– Nie.

– Imię i nazwisko, adres i numer telefonu pana przyjaciółki.
– Czy nie można by uniknąć...
– Nie, proszę pana. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że to pańskie alibi.
– No dobrze. Jeśli nie można inaczej... Nazywa się Stella Ambrogini, mieszka na via Sardegna 715. Numer telefonu 06-3217714. Numer komórki 338 55833. Potwierdzi wszystko. Ale...

– Słucham.

– Na konferencji prasowej powiedziałem, że spałem w hotelu.

O czym on mówił?

– Zwołał pan konferencję prasową?

– Tak.

Montalbano zaczął kląć po cichu. Fazio i Mimì też wytrzeszczyli oczy.

– Z jakiego powodu...?

– Tak bardzo nalegali...

– Kto?

– Dziennikarze.

Pytanie wymknęło mu się, zanim zdążył się ugryźć w język:

– Pana ojciec się na to zgodził?

– Ojca nie ma. Jest w Neapolu, wraca dzisiaj wieczorem. Nic mu nie powiedziałem.

– Gdzie odbyło się to spotkanie?

– U ojca w domu, tam teraz mieszkam.

– Pana adwokat był obecny?

– Nie.

No jasne! Nigdy go nie było. Gdyby Montalbano nie widział go na własne oczy, zaczęłyby powątpiewać w jego istnienie.

– Przepraszam, musimy zrobić przerwę. Fazio, odprowadź pana Strangia do Catarelli, niech go zabierze na zewnątrz na papierosa, a potem niech go posadzi w poczekalni. Ty wróć tutaj.

Fazio i Strangio wyszli.

– Gratulacje, Mimì! Wciąż potrafimy grać drużynowo.

– Dziękuję!

Wrócił Fazio, usiadł na krześle Strangia.

– Zaskoczyła mnie ta rzecz z konferencją prasową – powiedział komisarz. – Co o tym sądzicie?

– On temu zaprzecza, ale mógł mu to zasugerować ojciec – stwierdził Mimì.

– Wątpię – stwierdził Fazio. – Ojciec posługuje się dziennikarzami tak jak Ragonese. Narazić syna, który najwyraźniej nie umie ocenić sytuacji, i to bez adwokata u boku, nie wydaje mi się manewrem godnym tak zręcznego polityka jak prezydent regionu.

– Zgadzam się z Faziem – oświadczył Montalbano. – To był pomysł Strangia. Teraz pytanie brzmi: w jakim celu to zrobił? Jakiś musiał mieć.

– Słuchajcie, obejrzyjmy tę konferencję prasową dzisiaj wieczorem i wtedy o niej porozmawiamy – podsumował Augello.

– Nowy fakt, który wyszedł na jaw, jest taki, że alibi Strangia wydaje się autentyczne – powiedział Montalbano. – Fazio, zadzwoń ze swojego pokoju do tej kobiety. Zobacz, czy jest skłonna potwierdzić wszystko przed prokuratorem. Idę wypalić papierosa.

– Na podwórzu jest już Strangio! – zauważył Mimì.

– Dlatego idę do kibla.

Kiedy wrócił do gabinetu, byli tam już Fazio i Mimì i ze sobą rozmawiali.

– Dodzwoniłeś się?

– Tak. Najwyraźniej Strangio już ją zawiadomił. Wiedziała o morderstwie. Jest gotowa potwierdzić wszystko w sądzie.

– To, że przysięgnie w sądzie, nic nie znaczy – zauważył Mimì. – Ludzie kłamią i w sądzie.

– No to kontynuujmy przesłuchanie – powiedział Montalbano.

Zwrócił się do Fazia:

– Idź po Strangia.

– Kochał pan swoją narzeczoną?

Mężczyzna się nie zawahał.

– Byłem do niej przywiązany.

Powiedział to takim tonem jak ktoś, kto czuje żal po śmierci ulubionego psa. On sam to zauważył i poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

– Po zaledwie dwóch miesiącach mieszkania razem ja i Mariangela staliśmy się... dobrymi przyjaciółmi. Chociaż od czasu do czasu zdarzało się nam jeszcze iść do łóżka. Zorientowaliśmy się, że przeszło nam zauroczenie, nie było już namiętności, uczucia. Przywiązanie pozostało, bez wątplenia. To było... jak wiatr, który nagle się ucisza. Tak się zdarzyło.

– Rozmawialiście ze sobą o tej zmianie sytuacji?

– Oczywiście. Toczyliśmy długie rozmowy i w końcu postanowiliśmy, że każde z nas ułoży sobie życie na własną rękę.

– To nie był formalny związek, dlaczego mieszkaliście dalej pod tym samym dachem?

– Czy ja wiem? Być może, choć wyda się to panu dziwne, z lenistwa. Sądzę...

– Tak?

– Wydaje mi się, ale to tylko moje przypuszczenie, nie mam na to dowodów, że w ostatnich miesiącach Mariangela kogoś sobie znalazła, miała jakiś nowy związek uczuciowy.

– Z czego to pan wnioskuje?

– No cóż... zmiana samopoczucia... była... jakby to powiedzieć, jakby weselsza, bardziej... ale czasami także bardzo smutna, zamknięta w sobie...

– Od dwóch miesięcy była w ciąży – powiedział Montalbano.

Augello i Fazio wyglądali na bardziej zdziwionych od Strangia.

– Ach, tak? Nie powiedziała mi.

I po chwili milczenia:

– Kto wie, może byłem ojcem?

Nie powiedział tego ze smutkiem ani z ulgą, tylko z odrobiną ciekawości.

– Ta wspomniana przez pana przerwa w związku z pana przyjaciółką z Rzymu, kiedy miała miejsce?

– W dwóch pierwszych miesiącach współżycia z Mariangelą.

– Domyśla się pan może, kim był mężczyzna, z którym dziewczyna ostatnio pozostawała w związku uczuciowym, jak to pan nazwał?

– Nie mam bladego pojęcia.

Ta odpowiedź padła zbyt szybko. Być może jakieś pojęcie, i to wcale nie takie blade, jednak miał.

– Kiedy z Punta Raisi przyjechał pan do domu i otworzył drzwi... a właśnie, czy były zamknięte na klucz?

– Oczywiście. Mariangela, zwłaszcza gdy była sama, zawsze bała się, że...

– Jakież ślady włamania?

– Nie było ich. Przynajmniej ja nic takiego nie zobaczyłem.

– Potwierdza pan, że przyjechał do komisariatu od razu po odkryciu morderstwa?

– Potwierdzam. Wylądowałem na Punta Raisi o dziewiątej, tuż po wpół do jedenastej dotarłem tutaj, do Vigaty, o jedenastej byłem w komisariacie.

– Dojechał pan do Vigaty z lotniska w półtorej godziny?

– Tak. Jestem dobrym kierowcą. Droga zajmuje mi półtorej godziny, oczywiście jeśli nie ma korków.

Zadzwoił telefon.

– Ach, panie komisarzu. Właśnie telefonił prokurator Gommaseo i ja objaśniłem jego, że komisarz, to jest pan, jest zajęty ze Stracchiem, to on mi powiedział, żeby komisarzowi, to jest panu, rzecz wyżej wzmiankowanemu, że on, prokurator Gommaseo, na niego czeka, to jest nie na komisarza, czyli na pana, tylko na wzmiankowanego Stracchia, jutro o dziewiątej trzydzieści w swoim

gabinecie w Montelusie, rano o dziewiątej trzydzieści. A potem to on komisarzowi, czyli panu, rzecz kazał, żeby komisarz, znaczy pan, do niego telefonował, jak skończy.

– Prokurator Tommaseo czeka na pana jutro rano, mimo że to niedziela, o dziewiątej trzydzieści w sądzie – Montalbano zawiadomił Strangia.

A potem dodał:

– Myślę, że na dzisiaj skończyliśmy.

– Chciałbym dodać jedną rzecz, która mi nie pasuje – powiedział nieoczekiwanie Strangio.

– Co takiego?

– Kiedy zobaczyłem Mariangelę z korytarza, leżała nago na biurku w gabinecie. Znaleźliście tam jakieś ubranie?

– Nie.

– To dziwne.

– Dlaczego?

– Zwykle wieczorem, przed pójściem do łóżka, brała prysznic, a potem chodziła po domu w szlafroku... białym, frotté. Znaleźliście go?

– W gabinecie go nie było.

– Jeszcze jedna rzecz... prokurator Tommaseo kazał mi wstawić samochód do garażu, który potem zaplombował. Zapomniałem wyjąć z auta komputer, który jest mi niezbędny do pracy. Chciałbym go odzyskać. Czy to możliwe?

– Proszę o to spytać prokuratora Tommasea. I dobrze panu radzę; niech pan przyjdzie ze swoim adwokatem. Mimì, odprowadź, proszę, pana Strangia do wyjścia.

Pożegnali się, Augello i Strangio wyszli.

– Jutro rano, chociaż to niedziela – powiedział komisarz do Fazio – wezwij przyjaciółkę Mariangeli. Po rewelacjach Strangia musimy koniecznie z nią porozmawiać.

Kiedy również Fazio wyszedł z gabinetu, Montalbano wrócił do szukania transkrypcji. Nie mógł ich nigdzie znaleźć. Doszedł do wniosku, że widocznie zawiózł je do Marinelli.

Zrobiło się późno. Zadzwoił do Tommasea, mając nadzieję, że nie będzie to długa rozmowa.

– Komisarz Montalbano? Pan też przyjdzie jutro rano?

– Niestety, mam już coś...

– Nie szkodzi. Czy dobrze go pan przycisnął? Wie pan, już zrozumiałem, jak ją zamordował.

– Naprawdę? Proszę mi powiedzieć.

– Wszystko sprowadza się do rozkładu lotów. Proszę posłuchać. Strangio wsiada do samolotu z Rzymu o...

– Panie prokuratorze, przysłała mi do głowy ta sama myśl. To, co pan zakłada, byłoby możliwe, gdyby...

– No widzi pan, że pan też o tym pomyślał? Poza tym dzięki doktorowi Pasquano mamy też motyw! Była w ciąży! Strangio odkrywa, że Mariangela zaszła w ciążę, na pewno ma jakieś podejrzenia, jest prawie pewien, że to nie on jest ojcem, i oszalały z zazdrości postanawia ją zabić. Wsiada w Rzymie do samolotu i...

– O tym już była mowa.

– A, rzeczywiście.

– Ale widzi pan, Strangio ma bardzo mocne alibi.

– Jakie alibi?

– Spędził noc w Rzymie ze swoją kochanką. Dziewczyna jest gotowa potwierdzić to w sądzie pod przysięgą.

– Jaką może mieć wartość zeznanie jakiejś prostytutki!

Montalbano zdębiał.

– Zna ją pan?

– Nie. Nie znam nawet nazwiska, nie podał mi go pan.

– To skąd pan wie...

– Intuicja!

– Ale przecież...

– Wydarzenia potoczyły się tak, jak mówię, może mi pan wierzyć! No jak masz w rękach cudo, klejnot, pieścidełko, pachnący kwiat, perelkę...

– Przepraszam, o kim pan mówi?

– No o Mariangeli! Właśnie teraz, rozmawiając z panem, patrzę na jej zdjęcie. Masz dla siebie anioła i szukasz lafiryndy, takiej jak ta kurwa, która za parę groszy gotowa jest złożyć fałszywe zeznanie w sądzie?

Czy to znaczy, że Tommaseo zakochał się w Mariangeli? W takim razie Strangio, winny czy niewinny, mógł się spodziewać niezłych kłopotów. Lepiej wyjaśnić od razu sytuację.

– Proszę wybaczyć, panie prokuratorze, ale wydaje mi się, że niewłaściwie ocenił pan sytuację.

– Ach, tak?

– Tak. Moim zdaniem nie powinniśmy skupiać się tylko na osobie Strangia.

– Niech pan posłucha, panie komisarzu: kto kieruje śledztwem?

– Pan. Ale powtarzam: nie zgadzam się z panem. Istnieje cały wachlarz możliwości...

– Jeśli pan się nie zgadza, wie pan, co zrobić? Będę zmuszony porozmawiać z naczelnikiem.

– Jak pan sobie życzy.

Skoro tak dobrze mu szło, postanowił pójść za ciosem. Zamiast ruszyć w stronę Marinelli, pojechał równoległą ulicą, via Pirandello, która prowadziła do willi Strangia. Klucze wziął wcześniej od Fazia. Zaparkował przed bramą, która wciąż stała otworem, i wysiadł z samochodu. Ulicą nikt nie przechodził. Przeszedł po alejce do drzwi, zdjął plomby i wszedł do środka. Włączył światło i wdrapał się na pierwsze piętro.

W gabinecie unosił się jeszcze odór krwi. Komisarz popatrzył na stół, na którym znaleziono nagie ciało Mariangeli w rozwiązłej pozie. Jak gdyby morderca zabił ją w chwili, gdy mieli się kochać.

Wyszedł z gabinetu i popatrzył na pomieszczenie z korytarza. Strangio powiedział prawdę, mógł stąd wszystko zobaczyć. Nie musiał wchodzić do pokoju, żeby zrozumieć, co się stało.

Wszedł znowu do środka. Na wielkim biurku, obok dokumentów z logo P&T, leżały książki i wykresy architektoniczne, plany miast, podręczniki urbanistyki, wielkie przezroczyste kartki, papier kreślarski, ołówki w różnych kolorach, gumki, kątomierze... wszystko przesączone krwią.

Białego szlafroka w gabinecie nie było.

Przeszukał dom, ale nigdzie go nie znalazł. Być może morderca zabrał go ze sobą, w pierwszej lepszej plastikowej torbie.

Dlaczego Strangio przywiązywał tak wielką wagę do tego szlafroka?

Komisarz wyszedł z domu, zamknął drzwi i założył ponownie plomby. Potem poszedł na uliczkę prowadzącą na tyły domu. Nazywała się via Brancati.

Tam znajdował się garaż, na który także założono plomby. Montalbano zdjął je, podniósł roletę i wtedy na ziemię upadła mała karteczka. Zaciekawiony

komisarz podniósł ją i włączył światło w garażu, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Była to ulotka z napisem „Agencja ochrony SPOKOJNE SNY”.

Najwyraźniej nocny strażnik w czasie obchodu wsuwał karteczkę między rolety na potwierdzenie, że wykonał swoje zadanie. Przy podnoszeniu rolety karteczka spadała na ziemię. Postanowił to sprawdzić. Spuścił roletę, wsunął karteczkę, podniósł znowu roletę. Bilecik wypadł. Podniósł go znowu, po czym zauważył, że na ziemi leżały jeszcze trzy inne, ale musiały się tam znajdować już od kilku dni. Podniósł je wszystkie, złożył we czworo i wsunął do kieszeni. Coś mu się nie zgadzało, ale nie umiał powiedzieć co. Wszedł do garażu.

W środku stało BMW Strangia. Na tylnym siedzeniu leżał komputer. Po drugiej stronie garażu była roleta identyczna z wejściową. Ją także komisarz podniósł. Tutaj również założono plomby. Teraz znalazł się w ogrodzie willi.

Wygodne rozwiązanie. Wjeżdżało się samochodem z via Brancati, zostawiało samochód w garażu i szło do domu przez ogród, nie trzeba było wychodzić ponownie na ulicę. Albo też można było wjechać autem przez bramę z przodu i zaparkować w garażu po otwarciu rolety z drugiej strony.

Montalbano zamknął garaż, założył z powrotem plomby, wyszedł na ulicę.

Przypadkiem podniósł wzrok do góry. Na czwartym piętrze bloku obok willi stała na balkonie kobieta, która mu się przyglądała. Z pewnością ta sama, którą widział w tym miejscu, kiedy przyjechał do willi po raz pierwszy. Stała tam całą dobę?

Wsiadł do samochodu i pojechał do Marinelli.

Przetrzęsął dom w poszukiwaniu kartek z transkrypcją nagrania, ale ich nie znalazł. Jedyne możliwe wyjaśnienie było takie, że zabrał je przypadkiem ktoś, kto przyszedł po podpisane przez niego dokumenty.

Postanowił spytać o to następnego dnia Catarellę. Nakrył jak zwykle na werandzie, poszedł po przygotowane przez Adelinę barweny z cebulką. Rozpływały się w ustach, ale nie był w stanie rozkoszować się nimi należycie, bo dręczyła go pewna myśl.

Skończył, odniósł talerz i wszedł na werandę z papierosami i whisky. Wrócił do domu po ulotki, położył je na stoliku, po czym usiadł i uporządkował je chronologicznie.

Było ich w sumie cztery, z datami od piątego do ósmego września.

Wszystko się zgadzało. Tracił tylko czas. Ale...

Wziął butelkę, żeby ją otworzyć. W tym momencie lekki powiew wiatru zdmuchnął ze stołu kartki. Mając zajęte obie ręce, nie był w stanie ich złapać.

Przeklinając pod nosem, rzucił się za nimi w pościg. Dwie spadły na podest werandy, trzecia w pobliżu na piasek, czwarta gdzieś zniknęła. Nie przestając posyłać w eter wymyślnych wiązańek, pobiegł do domu, wziął latarkę i wyszedł na zewnątrz. Znalazł kartkę po dziesięciu minutach. Wreszcie miał ją znowu w ręku.

Tymczasem zrozumiał jednak, dlaczego coś mu się nie zgadzało od samego początku, już w garażu.

Trzymając w ręce bileciki, podszedł do telefonu i wykręcił numer.

– Fazio, przepraszam, wiem, że jest późno, ale...

– Słucham, panie komisarzu.

– Byłeś obecny, kiedy Tommaseo zarekwirował samochód Strangia i kazał mu wstawić go do garażu? Opowiedz mi, jak to się odbyło.

– Jego samochód został przed komisariatem, toteż tam przywiozłem Strangia z Gallem radiowozem i stamtąd ruszył on do willi swoim autem. My jechaliśmy za nim. Nie wjechał do garażu od strony via Brancati, tylko przez bramę wjazdową i alejkę. Otworzył roletę od ogrodu i wstawił samochód do garażu. Wtedy Tommaseo kazał założyć plomby na obie rolety.

– Jeszcze jedna rzecz. Pamiętasz, Strangio oświadczył, że kiedy przyjechał do willi z Punta Raisi, wstawił samochód do garażu i wszedł do domu przez ogród?

– Tak, tak powiedział.

– I że po odkryciu zbrodni wziął samochód, żeby do nas przyjechać?

– Tak.

– Dziękuję. Dobranoc.

W obawie, że wiatr znowu może porwać kartki, Montalbano ułożył je na stole w jadalni i usiadł, aby przemyśleć sprawę.

A zatem biedna Mariangela została zamordowana wieczorem siódmego. Strangio, który już wyjechał, co pokazuje bilecik z siódmego, który spadł na ziemię, wraca ósmego rano i, zgodnie ze swoim oświadczeniem, otwiera roletę w garażu. Bilecik z ósmego powinien wtedy spaść na ziemię.

Tymczasem pozostał wsunięty w roletę.

Nie mógł też spaść, kiedy komisarz Tommaseo kazał zaparkować auto w garażu, bo Strangio wjechał do środka z drugiej strony.

Tego bileciku z ósmego komisarz nie powinien był znaleźć w miejscu, w którym go odkrył, jeśli sprawy potoczyły się tak, jak twierdził Strangio.

Skoro tam jednak był, najwyraźniej potoczyły się inaczej.

Czyli jak?

Ano tak, że Strangio po powrocie z lotniska nie wjechał do garażu, tylko zatrzymał BMW przed bramą.

Jak gdyby wiedział z góry, że za chwilę będzie znowu potrzebować samochodu, żeby pojechać do komisariatu. Jak gdyby wiedział, co znajdzie w gabinecie.

Komisarz zebrał kartki i wsunął je do kieszeni. Wrócił na werandę i czekając na telefon od Livii, wypił pół szklaneczki whisky.

Nie miał ochoty o niczym myśleć, patrzył tylko na morze.

*

Zbudził się w pół do ósmej. „Po co wstawać?”, pomyślał. „Dzisiaj niedziela, mogę sobie pozwolić na odrobinę lenistwa”. Zamknął znowu oczy, ale nie minęło nawet dziesięć minut i zadzwonił telefon. Wstał z łóżka i poszedł odebrać. To był Nicolò Zito, dosyć podenerwowany.

– Pół godziny temu zadzwoniła do mnie do domu sprzątaczką, która zastała drzwi wejściowe do Retelibera wyłamane. Poinformowałem biuro naczelnika policji i popędziłem na miejsce.

– Co ukradziono?

– Nie domyślasz się? Jedyną rzecz, którą miałem na biurku.

– Dyktafon?

– Tak.

Komisarzowi zamarło serce.

– A kopia nagrania?

– Jej nie ukradli, zabrałem ją do domu. Ale chciałem cię uprzedzić.

Komisarz wydał z siebie westchnienie ulgi.

– Dziękuję.

– Czegoś tu jednak nie rozumiem. Nie zdawali sobie sprawy, że to niepotrzebna i głupia kradzież? Jeśli już, to powinni byli zabrać nagranie wczorajszej transmisji. Leżało tam na wierzchu.

– Nicolò, przestępcy nie zawsze są inteligentni.

Rozłączył się. Nie było sensu wracać do łóżka. Poszedł do kuchni zrobić sobie kawę.

W rzeczywistości, choć tą opinią nie chciał się podzielić z Zitem, manewr złodziei miał sens. Najwyraźniej interesowało ich całe nagranie, nie tylko ta jego część, którą nadano w telewizji.

Komisarz zaczął się zastanawiać. Po to, żeby zatrzeć ślady kradzieży niezbyt dużej kwoty (pod tym względem rację miał Fazio), popełniono już dwa morderstwa, a teraz kolejną kradzież, która z pewnością narobi hałasu, bo chodziło o włamanie do telewizji. Zito bez wątplenia uzna to przestępstwo za próbę zastraszenia i będzie domagał się wyrazów solidarności ze strony swoich kolegów.

Jednym słowem, ten, kto ukradł dyktafon, wiedział, że zrobi się z tego wielka awantura, ale i tak podjął ryzyko, gdy tylko dowiedział się, że Borsellino trzymał w biurze taki sprzęt. Przestępcy zapewne doszli do wniosku, że być może kierownik nagrał także rozmowę, którą odbył z nimi, zanim zgłosił włamanie na policję.

Wobec tego zareagowali natychmiast, nie tracąc czasu i gwizdząc na to, co powie prasa i telewizja.

Wziął prysznic, ogolił się, ubrał i był w połowie drugiej filiżanki kawy, kiedy telefon znowu zadzwonił. I to miał być spokojny niedzielny poranek?

Zrobiła się ósma trzydzieści. Tym razem dzwonił Fazio:

– Panie komisarzu, przepraszam, wczoraj wieczorem zapomniałem panu powiedzieć, że przyjaciółka Mariangeli przyjdzie do komisariatu o dziesiątej, po mszy. Ja też przyjdę.

– Dobrze.

– Obejrzał pan wczorajszą konferencję prasową Strangia, którą powtórzyli też o północy?

– Nie, zapomniałem o niej. Co powiedział Strangio?

– Powtórzył to wszystko, co nam zeznał, poza tym, że w Rzymie przespał noc w hotelu. I wie pan co? Najbardziej niewygodne pytanie zadał mu właśnie Ragonese.

– To znaczy?

– To właściwie nie było pytanie. Z rozkładem lotów w rękę wykazał, że jeśli Strangio wyszedłby trochę wcześniej z zebrania, mógł wsiąść w samolot, przylecieć tutaj, zabić dziewczynę i wrócić do Rzymu.

Wszystkim przychodziła do głowy ta sama myśl!

– Strangio – mówił dalej Fazio – powiedział tylko, że to nie on zamordował dziewczynę. Ale wypowiedź Ragonesego zrobiła na wszystkich duże wrażenie. Spodziewałem się, że będzie bronił Strangia, tymczasem rzucił go na pożarcie wilkom.

– Dziękuję, Fazio, zobaczymy się później.

To oznaczało po prostu, że były dwie wytyczne: za winnego kradzieży miał zostać uznany Borsellino, a za mordercę dziewczyny – Giovanni Strangio.

Ale jak to możliwe, że jego ojciec Michele, wpływowy prezydent regionu, nie kiwnął palcem w obronie syna?

I jak tu spędzić teraz czas? Pałętając się po domu? Nie, mógł go lepiej wykorzystać. Wszedł, wszedł do samochodu i pojechał do Vigaty. Nie skierował się jednak do centrum. Na samym obrzeżu miasteczka skręcił w via Pirandello i zaparkował przed bramą willi. Wysiadł i podniósł oczy. Pani z czwartego piętra jak zwykle stała na balkonie. Przeszedł przez via Brancati i zatrzymał się przed garażem. Podniósł rękę i zamachał do kobiety na balkonie. Odpowiedziała mu tym samym. Montalbano zwinął dłonie w trąbkę wokół ust i zawołał:

– Chciałbym z panią porozmawiać.

– Czwarte piętro, mieszkanie numer szesnaście – odrzyknęła kobieta w taki sam sposób.

Podszedł do bramy wejściowej, popatrzył na nazwiska na domofonie. Przy numerze szesnastym figurowała Concetta Arnone. Usłyszał trzask zwalnianego zamka. Otworzył drzwi, wszedł do środka i wszedł do windy. Kobieta czekała na niego w drzwiach mieszkania.

– Proszę wejść, panie komisarzu.

– Skąd mnie pani zna?

– Widziałam pana w telewizji. A co, myśli pan, że zaprosiłabym do siebie nieznajomego, który do mnie macha z ulicy?

Mogła mieć sześćdziesiąt pięć do siedemdziesięciu lat, zadbana, nie nosiła okularów, niewiele zmarszczek na twarzy, bystre oczy, ale musiała mieć jakiś problem z nogami, nie była w stanie ich zginać. Usadziła komisarza na kanapie i usiadła obok niego.

– Nogi mam sztywne, trudno mi jest chodzić – zaczęła.

W ciągu następnych piętnastu minut Montalbano dowiedział się, że od pięciu lat jest wdową, nie ma dzieci, tylko zamężną siostrę, która mieszka w Fiakce, że zakupy robi jej sąsiadka, pocziwa dusza, jakich dzisiaj się już nie spotyka, że emerytura nie starcza na życie, że nie ma nic do roboty, więc spędza cały dzień na balkonie, wsparta na barierce, pozycja siedząca ją męczy, że wieczorem ogląda do późna telewizję...

W tym miejscu komisarz przerwał jej monolog.

– Proszę pani, chciałbym się dowiedzieć, czy ósmego rano była pani na balkonie i widziała przypadkiem...

– Ósmy to był czwartek – powiedziała kobieta – dzień cannolo.

– Nie rozumiem.

– Lubię słodczyce i w czwartki proszę sąsiadkę o kupienie rurki z kremem. Jedną kupuje mi w czwartek, a jedną dzisiaj, czyli w niedzielę.

– Chciałem panią spytać, czy rano w czwartek ósmego września około dziesiątej trzydzieści widziała pani Giovanniego Strangia, mężczyznę, który mieszka w willi...

– Pewnie, że znam Strangia i jego dziewczynę, biedaczkę. Widziałam go tamtego ranka.

– Powiedział nam, że po przyjeździe z Palermo wstawił samochód do garażu, a następnie...

– Nie, nie wjechał nim do garażu.

Montalbano podskoczył.

– Nie zostawił go w garażu?

– Nie. Zatrzymał się przed nim, rozpoznałam jego auto, ale nie wysiadł z samochodu, siedział w nim przez chwilę, po czym znowu ruszył. Proszę pójść za mną.

Wstała z trudem, Montalbano poszedł za nią.

Wyciągnął właściwe wnioski z tych bilecików od agencji ochrony!

Z balkonu widać było garaż i cały ogród willi.

– Siedział w samochodzie i nad czymś rozmyślał, a potem włączył znowu silnik i ruszył. Kiedy dojechał do via Pirandello, skręcił w lewo.

– Jest pani tego pewna? – spytał zaskoczony Montalbano.

Jeśli skręcił w lewo, to znaczy, że pojechał prosto do komisariatu. Gdyby miał zatrzymać się przed bramą i wejść do domu, a następnie odkryć morderstwo, musiałby skręcić w prawo.

Czyli Strangio nie musiał nawet wchodzić do willi. Bo i po co? Opowiedziano mu, co się tam zdarzyło. A zrobić to mógł tylko sam morderca. Morderca, którego Strangio nie chciał oskarżyć, choćby miał ryzykować, że to na niego samego padnie podejrzenie o zabójstwo.

– ...dlatego powtarzam panu, że skręcił w lewo – podsumowała kobieta.

Przegapił to, co powiedziała wcześniej.

– Nie podaję tego w wątpliwość, proszę pani.

– Ja widzę dobrze nawet po ciemku – mówiła dalej. – Starcza mi światło tej latarni, widzi ją pan? I widzę wszystko jak w dzień!

– Wierzę pani.

– Wie pan co? Chcę panu coś powiedzieć, nie żebym miała obgadywać tę biedną zamordowaną dziewczynę.

– Proszę, niech pani mi powie.

– No więc od trzech, może czterech miesięcy odwiedzał ją mężczyzna, kiedy Strangio wyjeżdżał.

Montalbano wstrzymał oddech.

– Robił tak – ciągnęła kobieta. – Podjeżdżał pod garaż, wysiadał, otwierał go, widać miał klucze, parkował tam auto, a potem wychodził z drugiej strony. Widziałam, jak przechodzi przez ogród i znika za rogiem budynku.

– To znaczy, że wchodził do domu.

– Na pewno, bo inaczej widziałabym, jak wchodzi i wychodzi przez bramę.

– Miała pani okazję zobaczyć jego twarz?

– Nie, nigdy. Zawsze widziałam go od tyłu.

– Ale kiedy wychodził z willi, żeby wrócić do samochodu...

– Musiał to robić bardzo wcześnie rano. Nigdy go nie widziałam, o tej porze śpię. Mogę tylko powiedzieć, że nie był młody, miał co najmniej pięćdziesiątkę,

wnioskuje to z jego sposobu poruszania się.

– Powiedziała pani, że te wizyty miały miejsce, kiedy Strangia nie było?

– Tak.

Zamiast pojechać prosto do komisariatu, zaszedł najpierw do cukierni i wziął tackę z dwunastoma *cannoli*.

Catarella miał dzień wolny, zastępował go funkcjonariusz o nazwisku Sanfilippo.

– Czy Fazio już przyszedł?

– Tak.

– Powiedz, żeby do mnie przyszedł.

Gdy zjawił się Fazio, komisarz podał mu tackę z rurkami.

– Zabierz ją do swojego pokoju i kiedy skończymy przesłuchanie, zawieź je pani Concetcie Arnone na czwartym piętrze bloku przy via Brancati.

Faziowi zaświeciły się oczy.

– Powiedziała panu coś ważnego?

– Same ważne rzeczy. Odnieś tackę i wróć tu, wszystko ci opowiem.

Nie zdążył jednak tego zrobić, bo zaledwie Fazio usiadł, przyszedł Sanfilippo z wiadomością, że zjawiła się jakaś pani, która nazywa się Amalasunta Gambardella.

Komisarz zwrócił już wcześniej uwagę, że najlepsze przyjaciółki ładnych dziewczyn są na ogół brzydkawe. Amalasunta nie stanowiła wyjątku.

W okularach, niedbale ubrana, sprawiała jednak wrażenie osoby bardzo stanowczej.

– Gdyby pan się ze mną nie skontaktował, ja bym to zrobiła – powiedziała na powitanie.

– Wezwaliśmy panią, bo inspektor Fazio, przeglądając korespondencję zmarłej, zauważył, że była pani jej najlepszą...

– Zgadza się – przerwała Amalasunta. – Zwierzała mi się ze wszystkiego.

– A zatem może nam pani ogromnie pomóc.

– Też tak sądzę.

– Dobrze, zacznijmy od początku. Gdzie się poznałyście?

– Siedziałyśmy w jednej ławce w szkole podstawowej i odtąd już zawsze byłyśmy przyjaciółkami.

– A więc na pewno wie pani, jak poznali się Giovanni i Mariangela?

– Oczywiście. Przedstawił mu ją ojciec.

Montalbano na chwilę się zgubił.

– Przepraszam, czyj ojciec?

– Ojciec Giovanniego, profesor Michele Strangio, prezydent regionu.

Widać było, że Amalasuanta nie żywi do niego wielkiej sympatii.

– A skąd ojciec Giovanniego znał Mariangelę?

– Uczył ją matematyki w liceum. Mariangela była jego uczennicą. Kiedy Giovanni i Mariangela się poznali, ona chodziła do trzeciej klasy.

– Rozumiem – powiedział komisarz.

– Nie sądzę – odpowiedziała zdecydowanie dziewczyna.

– Co pani ma na myśli?

– Cztery miesiące temu profesor odnowił swój romans z Mariangelą rozpoczęty w czasach, gdy uczęszczała do liceum.

Montalbano odniósł wrażenie, że krzesło zachwiało się pod nim jakby w czasie lekkiego trzęsienia ziemi.

– Ale czy jest pani pewna tego, co...

– Chce pan, żebym podała szczegóły? Gdzie i kiedy był pierwszy raz?

– I nikt się nigdy nie domyślił, że...

– Czy zna pan profesora? Bardzo przystojny mężczyzna, wdowiec, fascynujący charakter, potrafi pięknie mówić, trudno mu się oprzeć. Gdy zajął się polityką, zrobił błyskawicznie karierę.

– Ile ma lat?

– Pięćdziesiąt pięć czy sześć, ale na tyle nie wygląda.

– Czyli w czasach liceum nikt o tym nie wiedział?

– Nie. Po szkole chodziły pogłoski, że profesor spotyka się z uczennicami, ale to były tylko przypuszczenia, plotki.

– Mariangela była w nim zakochana?

– Trochę, na tyle, żeby usprawiedliwić przed samą sobą, że poszła z nim do łóżka. Jednak, kiedy profesor przedstawił jej swojego syna, Mariangela odniosła wrażenie, że ma zamiar... no cóż, że nie było to bezinteresowne spotkanie... że chciał ją, jeśli można tak powiedzieć, zaparkować u Giovanniego.

– Dlaczego się nie sprzeciwiła?

– Mariangela wyróżniała się wieloma zaletami, nie tylko urodą. Miała jednak słaby charakter, dawała sobą kierować, ot co.

– A Giovanni, dlaczego się zgodził?

– Panie komisarzu, Giovanni jest kompletnie podporządkowany ojcu, robi bez protestu wszystko, co on mu każe. Poza tym Mariangela była piękna. Chłopcy tracili dla niej głowę. Giovanni od dzieciństwa był zawsze posłuszny ojcu, który chciał, aby stał się jego prawdziwym synem...

Kolejne niewielkie trzęsienie ziemi.

– Jak to, nie jest synem profesora?

– Nie, został adoptowany w wieku pięciu lat. Żona profesora, która zmarła pięć lat po przeprowadzeniu adopcji, nie mogła mieć dzieci. I jeśli Giovanni jest dzisiaj taki, jaki jest, trochę nieźrównoważony, to wina jego ojca i tego, jak go zawsze traktował.

Fazio i Montalbano popatrzyli na siebie. Znaleźli kopalnię złota.

– Proszę posłuchać, muszę pani zadać delikatne pytanie i prosiłbym, żeby odpowiedziała pani równie szczerze, jak do tej pory. Mariangela powiedziała pani, że jest w ciąży?

– Tak.

– Ojcem był Giovanni?

– Nie.

– Czy pani wie, kto nim był?

– Tak.

– Może mi pani podać jego nazwisko?

Zanim odpowiedziała, Amalasunta wydała z siebie długie westchnienie.

– Panie komisarzu, na uniwersytecie Mariangela wybrała architekturę, a ja prawo. Lubię swoje studia. To wszystko, co powiedziałam do tej pory, nie wywołuje dla nikogo następstw prawnych. Ale jeśli teraz podam panu to nazwisko, sytuacja zupełnie się zmieni. Pomijając wszystko inne, nie sądzę, aby istniały dowody mogące potwierdzić, że mówię prawdę. Teraz, kiedy Mariangela nie żyje, nikt nie będzie jej mógł poprosić o potwierdzenie moich słów.

Amalasunta miała przed sobą karierę w zawodzie adwokata, tego komisarz był pewien.

– To było dziecko mężczyzny, który od czterech miesięcy odwiedzał Mariangelę w domu, kiedy nie było Giovanniego?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Mamy naocznego świadka – zdradził komisarz.

– Czy świadek rozpoznał tego mężczyznę?

– W pewnym sensie.

Dziewczyna zastanawiała się chwilę.

– Myślę, że zastawia pan na mnie pułapkę. Nie wpadnę w nią.

Inteligentna i czujna. Montalbano nie odpowiedział.

– Czy Mariangela miała innych kochanków?

– Nie.

– Proszę posłuchać, odmówiłaby pani podania tego nazwiska także prokuratorowi? Wyjaśnię: studiuje pani prawo, więc wie, że odmowa podania nazwiska mogłaby mieć dla pani poważne konsekwencje.

– Wiem.

– A zatem świadomie odmawia pani podania nazwiska zabójcy.

Pod wpływem słów komisarza dziewczyna straciła opanowanie i zimną krew.

– Kto panu powiedział, że to on jest mordercą?

– Pani także podejrzewa, że to kochanek Mariangeli, z którym zaszła w ciążę, dokonał zabójstwa. Jednak, ponieważ jest to tylko podejrzenie, nie chce pani powiedzieć głośno tego nazwiska. Ta niechęć do udzielenia odpowiedzi prowadzi mnie do wniosku, że gdyby chodziło o pierwszą lepszą osobę, nie wahałaby się pani tego zrobić, ale w tym przypadku obawia się pani konsekwencji.

Dziewczyna ograniczyła się do spuszczenia głowy i wbicia wzroku w podłogę.

– Bo chodzi o człowieka na świeczniku – mówił dalej komisarz – który mógłby się na pani zemścić. Mogę to zrozumieć. Zróbmy tak. Nie będę pani pytał o nazwisko.

Dziewczyna nawet nie drgnęła.

– Ja też go nie wypowiem – powiedział Montalbano. – Nie ze strachu, ale dlatego, że jeszcze nie mam dowodów. Kiedy je zdobędę, czy będzie pani skłonna potwierdzić nazwisko, które podam, także w sądzie?

Tym razem dziewczyna podniosła głowę i popatrzyła na niego.

– Wtedy tak – odpowiedziała.

– Dziękuję za wszystko. Może pani już iść.

Komisarz wstał, podał jej rękę. Dziewczyna ją uścisnęła. Pożegnała się także z Faziem i skierowała do drzwi. Zatrzymał ją głos Montalbana.

– Czy mogę rozpocząć dochodzenie od hipotezy, że wszystko zaczęło się od odnowienia romansu?

Dziewczyna się odwróciła.

– Tak – powiedziała, wychodząc.

– Fazio, zrozumiałeś wszystko?

– Oczywiście. A co, głupi jestem?

– No to bierz się do roboty, chociaż to niedziela. Dzwoni, zbieraj informacje, porusz niebo i ziemię. I pamiętaj o rurkach dla pani Arnone.

Fazio dopiero co wyszedł, kiedy na linii bezpośredniej zadzwonił telefon. To był naczelnik.

– Miałem nadzieję, że pana zastanę. Odbyłem długą rozmowę telefoniczną z prokuratorem Tommaseo, który zakomunikował mi, że nie zgadza się pan z obranym przez niego kierunkiem śledztwa. On jest całkowicie przekonany o winie, podczas gdy pan podobno ma wątpliwości. Czy tak?

Nie wymienił nazwiska Strangia. Bał się, że telefon może być na podsłuchu?

– Nie chodzi o to, że mam wątpliwości, pozwoliłem sobie tylko zasugerować panu prokuratorowi, aby sprawdził także inne tropy.

– A są takie?

– Właśnie dzisiaj rano, zupełnym przypadkiem, pewna pani powiedziała mi, że miała wielokrotnie okazję obserwować mężczyznę, który odwiedzał nocą dziewczynę, kiedy jej narzeczony był nieobecny. Widziała nawet jego twarz.

Zrobił przerwę, po czym uraczył naczelnika bujdą.

– Trzydziestolatek, wysoki, elegancki, jeździ dwuosobowym sportowym wozem.

Naczelnik milczał przez chwilę. Rozwahał, jakie ma możliwości. Aresztowanie Giovanniego Strangia groziło politycznymi reperkusjami, aresztowanie jakiegoś anonimowego mordercy nie przyniosłoby mu żadnej szkody, wręcz przeciwnie.

– Proszę posłuchać, zrobmy tak. Prokuratorowi Tommaseo przydzielę Rasettiego, a pan niech idzie tropem tego trzydziestolatka. Oczywiście moje pozwolenie ma charakter ustny.

– Oczywiście. Dziękuję, panie naczelniku.

Odłożył słuchawkę i poszedł szukać w pokoju Fazia zgubionych transkrypcji pomiędzy podpisanymi przez siebie dokumentami. Znalazł je w końcu i włożył sobie do kieszeni.

Wyszedł, wszedł do samochodu i pojechał zjeść obiad u Enza. Nie mógł narzekać na poranny połów.

Po obiedzie odbył tradycyjny spacer na moło i wrócił do Marinelli.

Rozebrał się i położył do łóżka.

„Odпочnę sobie kilka minut”, pomyślał.

Tymczasem o piątej zbudził go telefon Fazia.

– Panie komisarzu, czy mogę do pana przyjechać z komisarzem Augellem?

– Jasne.

Zdążył wziąć prysznic i ubrać się, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi.

– Ponieważ wpadłem na komisariat i natknąłem się na Fazia, który mi powiedział... Pomyślałem, że może lepiej i ja przyjadę – powiedział Mimì.

Usiedli na werandzie. Niedzielne popołudnie było piękne. Wiele osób leżało na plaży, żeby się rozkoszować słońcem.

– Napijcie się czegoś?

– Nie, dziękujemy – odpowiedzieli chórem.

Fazio, nie prosząc o pozwolenie, wydobył z kieszeni karteczkę.

– To nie są dane osobowe – zapewnił Montalbana. Po czym zaczął czytać: – Prezydent regionu rankiem w dniu zabójstwa miał zebranie, które potrwało do pierwszej, potem poszedł na obiad, wziął udział w kolejnym zebraniu, a następnie oświadczył, że wraca do domu, żeby się spakować, bo musi pojechać do Neapolu na spotkanie polityczne.

– Trzeba by sprawdzić, czy... – zaczął komisarz.

– Już to zrobiłem. Poleciał samolotem o dziewiątej z Punta Raisi...

– Czyli miałyby czas, żeby zamordować Mariangelę – zauważył Mimì.

Montalbano jakby go nie słyszał.

– Trzeba by się dowiedzieć, w którym hotelu...

– Już to zrobiłem.

Montalbano wstał gwałtownie, oparł się o poręcz werandy i odetchnął głęboko trzy razy, żeby się pozbyć irytacji, w jaką wprawiało go „już to zrobiłem”. Usiadł z powrotem.

– Zatrzymał się w hotelu Vulcano – powiedział Fazio.

Jeśli na pytanie, które miał mu teraz zadać komisarz, odpowiedziałby znowu, że już to zrobił, Montalbano straciłby nad sobą kontrolę. Zdecydował się więc sformułować pytanie inaczej:

– I oczywiście dowiedziałeś się, jakim samolotem Giovanni poleciał do Neapolu, żeby spotkać się z ojcem, który go tam wezwał.

Augello zrobił zdziwioną minę, natomiast Fazio się uśmiechnął.

– Tak. Nie kupił biletu na żaden lot, nic na to nie wskazuje. Są za to dowody, że wynajął szybki samochód w firmie Avis i następnego dnia rano zostawił go na lotnisku Fiumicino. Rzymska przyjaciółka Strangia nie powiedziała prawdy.

– Zatem w każdym razie nie mógł dotrzeć tutaj do Vigaty, żeby zabić dziewczynę – podsumował Augello.

– Posłuchajcie – powiedział Montalbano. – Moim zdaniem wypadki mogły się potoczyć w taki sposób: profesor ma nowy przyływ uczuć do Mariangeli i odnawiają swój romans. Dziewczyna zachodzi jednak w ciążę i mówi o tym kochankowi. Nie chce dokonać aborcji, być może żąda, by się z nią ożenił. Jeśli tego nie zrobi, grozi wywołaniem skandalu. W dzień wyjazdu do Neapolu stary Strangio jedzie odwiedzić dziewczynę, być może chce jeszcze raz spróbować namówić ją do usunięcia ciąży. Kłótnia przeradza się w awanturę, pan prezydent traci głowę, bo ewentualny skandal zrujnowałby jego karierę polityczną, zabija dziewczynę nożykiem do przycinania papieru, który leży na biurku. Ogarnięty furją, pastwi się nad jej ciałem. Potem ściąga z niej szlafrok, układa ją w nieprzyzwoitej pozie, żeby stworzyć wrażenie zbrodni w afekcie, zabiera ze sobą szlafrok, wychodzi, zamyka drzwi, wchodzi do garażu tylnymi drzwiami, chowa szlafrok w bagażniku i pędzi na lotnisko, zadzwoniwszy wcześniej do Giovanniego, żeby przyjechał do niego do Neapolu. Kiedy jego syn zjawia się w hotelu, opowiada mu wszystko i skłania go do tego, żeby mu pomógł. Przrzeka mu załatwienie najlepszych adwokatów do obrony. Giovanni, który nigdy nie umie odmówić ojcu, się zgadza. Resztę już znacie.

– Piękna rekonstrukcja – powiedział Augello. – I nawet przekonująca. Ale nie rozumiem tej historii ze szlafrokiem.

– Zaraz ci to wyjaśnię. Kiedy Strangio zaczyna zadawać ciosy, dziewczyna ma na sobie szlafrok. Bez wątplenia w ataku szału on także się zranił. Zdaje sobie więc sprawę, że ewentualne testy DNA mogłyby go pogrążyć. Dlatego decyduje się zabrać ze sobą szlafrok.

– Ale na pewno także jego marynarka, koszula i buty były zbryzgane krwią! – zaoponował Mimi.

– I zapewne były. Przebrał się w garażu w ubrania zapakowane do walizki. Do domu dziewczyny pojechał już z bagażem.

– Jest jednak coś, czego nie rozumiem – włączył się Fazio. – Dlaczego to właśnie Giovanni jako pierwszy wspominał o szlafroku?

– Kiedy stary Strangio dotarł na Punta Raisi, zostawił go w bagażniku swojego samochodu. Nie wyrzucił go po drodze, tak jak to zrobił z nożykiem, bo gdyby ktoś znalazł zakrwawiony szlafrok, zainteresowałaby się tym zaraz policja. Nie miał też czasu, aby się go pozbyć. Każe to zrobić synowi, gdy tylko wróci do Palermo. Giovanni wyjmując szlafrok z bagażnika samochodu ojca i przekłada do własnego, ale się go nie pozbywa.

– Dlaczego? – spytał Fazio.

– Bo może po raz pierwszy w życiu przychodzi mu do głowy, że zbyt wiele ryzykuje, wykonując polecenia ojca. W ostateczności ten szlafrok jest jego przepustką do wolności. I kiedy widzi, że obiecany przez ojca adwokat ani myśli się zjawić, zaczyna przygotowywać się do obrony. Dlatego wspomina o szlafroku.

Komisarz uśmiechnął się do Fazia.

– Założymy się, że mam rację?

– Już panu mówiłem, że się nie zakładam, kiedy wiem, że przegram. Klucze do garażu są wciąż u pana?

– Tak. Chodźmy do środka, zaraz ci je dam.

– Może znajdzie pan także dużą plastikową torbę, żebym miał do czego włożyć szlafrok.

Montalbano i Augello wypili po szklaneczce whisky. Droga tam i z powrotem zajęła Faziowi ze dwadzieścia minut.

– Mam go w samochodzie. Co z nim zrobić?

– Zawieź do komisariatu i trzymaj gdzieś pod kluczem. A teraz, skoro jesteśmy tu wszyscy, porozmawiajmy o drugiej historii związanej z supermarketem.

– Jeśli już o tym mowa – wtrącił Mimì. – Zastanawiam się, kto mógł przesłać to nagranie do Retelibera. Może...

Fazio zaczął się intensywnie wpatrywać w czubki swoich butów.

– Nikt go nie przesłał, sam im je zaniósłem – oznajmił Montalbano.

Augello podskoczył na krześle.

– Ty?! Ale jak je zdobyłeś?

– Znaleźliśmy je przypadkiem z Faziem, kiedy poszliśmy w nocy do supermarketu.

– A co tam robiliście?

– Szczerze mówiąc, sam dokładnie nie wiem.

– Dlaczego nie oddałeś nagrania prokuratorowi?

– Mimì, zastanów się chwilę. Po pierwsze dlatego, że weszliśmy do środka bez pozwolenia. Po drugie, bo prokurator powiedziała by nam, że zanim zdecyduje, co z nim zrobić, musi porozmawiać ze swoim przełożonym, potem z prefektem, potem z biskupem, z ambasadorem Stanów Zjednoczonych, a na koniec zakomunikowałaby nam, że nagranie nie może być użyte jako dowód w sądzie, dlatego trzeba je zniszczyć.

Augello nie odpowiedział. Wobec tego Montalbano podzielił się z kolegami swoim przypuszczeniem, że rozmowę z Mimì zapewne poprzedzało nagranie dotyczące kradzieży.

– Odsłuchajmy je – powiedział Augello.

– Dyktafon zostawiłem u Zita, ale dzisiaj w nocy złodzieje wtargnęli do siedziby Retelibera i jedyne, co ukradli, to właśnie dyktafon... Na szczęście poprosiłem Zita, żeby zrobił kopię nagrania, i ona jest wciąż u niego. Mamy za to transkrypcję zrobioną przez Catarellę.

Wszedł do domu, wziął kartki, wybrał tę zatytułowaną Rozmówienie z jednym co się nie wie kto to i wrócił na werandę. Zanim zaczął czytać na głos, przejrzał szybko tekst i zrozumiał od razu, że chodziło o rozmowę telefoniczną. Borsellino musiał położyć dyktafon tuż przy aparacie, żeby nagrał się także głos osoby na linii. Pierwszy mówił Borsellino:

– Halo? Mówi Guido.

- *Mówiłem ci, żebyś nie dzwonił na ten numer.*
- *Proszę wybaczyć, ale to wyjątkowa sytuacja.*
- *No dobrze, mów, tylko szybko.*
- *Dzisiaj w nocy skradziono utarg z supermarketu, który ja...*
- *Tak, tak, no i co?*

W tym momencie Borsellino jakby się zawahał.

- *Przepraszam, ale...*
- *Gadaj, do licha!*
- *Ale skąd pan wie, że...*
- *No więc czego chcesz?*
- *Chciałbym wiedzieć, co mam zrobić.*
- *Mnie się pytasz?*
- *A kogo, jeśli nie pana, który...*
- *Rób, jak uważasz.*
- *Mogę zadzwonić na policję?*
- *Powiedziałem, żebyś robił to, co uważasz.*

Na tym nagranie się kończyło. Montalbano, Augello i Fazio patrzyli na siebie bez słowa, zdumieni i oszołomieni.

– Przepraszam, może pan przeczytać jeszcze raz? – poprosił Fazio, przyszedłszy do siebie.

Komisarz przeczytał od początku, powoli, prawie sylabizując. Potem położył kartkę na stolik i powiedział:

– Wbrew temu, co powiedział nam Borsellino, jednak zawiadomił kogoś o kradzieży. Ten ktoś nie chciał go wysłuchać. Nie pomógł mu, spisał go na straty. Dla nas jednak najważniejsze jest to, że inaczej niż przypuszczaliśmy, Borsellino nie był współnikiem złodzieja. I jeszcze jedno: mężczyzna, który rozmawia z Borsellinem, wiedział o kradzieży, zanim kierownik mu o niej powiedział. Zgadza się?

– Tak – zgodził się Augello. – Chociaż nie powiedział tego otwarcie.

– Te słowa wymknęły mu się w pośpiechu, ale Borsellino zrozumiał od razu, że jego rozmówca o tym wie. Może właśnie wtedy pojął, że znalazł się w pułapce.

– Ale skoro był niewinny, dlaczego zaczął przy nas płakać? – spytał Fazio.

– Właśnie dlatego. Zrozumiał, że włamanie upozorowano, żeby skompromitować go w oczach rodziny Cuffaro. Był zrozpaczony, zrobił wszystko, żebyśmy go aresztowali, to była dla niego jedyna droga ratunku, a myśmy tego nie zrobili i wydaliśmy go w ręce morderców.

– Ale nie byliśmy w stanie przewidzieć... – zaczął Augello.

– Trudno, Mimì, nie ma usprawiedliwienia. Porażka na całej linii, fatalnie się pomyliłem. Powinienem być wziąć pod uwagę to, co ty mi powiedziałaś, Fazio.

– Co takiego powiedziałem?

– Już zapomniałaś? Twierdziłaś, że dwa morderstwa dla zatuszowania kradzieży mniej niż dwudziestu tysięcy euro wydawały ci się przesadą. I rzeczywiście, tu musiało chodzić o grubszą sprawę.

– Co teraz zrobimy? – spytał Augello.

– Spróbujemy się zastanowić na spokojnie – powiedział Montalbano. – Jedno jest pewne: ci, którzy zaplanowali kradzież, chcieli, żeby Borsellino wyglądał na współnika złodziei. I żeby nasze podejrzenia sprawiły, że uwierzymy w samobójstwo. To znaczy, że chcieli go zabić, ale w taki sposób, żeby nie wyglądało to na morderstwo. Jednak mafia wykonuje egzekucje i tyle, nie bawi się w szarady. Tutaj natomiast mamy do czynienia ze starannie wyreżyserowanym przedstawieniem. Jeśli stali za nim Cuffarowie, ktoś sprytniejszy musiał nimi pokierować. Teraz pytanie brzmi: co takiego zrobił czy powiedział Borsellino, żeby zasłużyć sobie na wyrok śmierci? Fazio, wiesz, od jak dawna był kierownikiem supermarketu?

– Od jego otwarcia trzy lata temu.

– Czyli chodzi o coś, co zdarzyło się niedawno. Trzeba by spróbować się dowiedzieć, co to mogło być.

– Spróbuję – powiedział Fazio.

Mimì wstał.

– Jadę po żonę i zabieram ją do kina.

– Ja też już pójdę – powiedział Fazio.

– Aha, Fazio, czy masz może numer telefonu do Michele Strangia?

– Nie przy sobie. Podam go panu, gdy tylko wrócę do pracy.

Po kwadransie komisarz dysponował dwoma numerami.

Siedząc na werandzie, rozkoszował się pięknym zachodem słońca. Potem pozostał tam jeszcze chwilę, patrząc na ciemniejące niebo. W końcu jednak się ruszył, bo w niedzielę nie było Adeliny, więc nie przygotowała mu nic do jedzenia i musiał się gdzieś wybrać na kolację.

Miał ochotę na coś specjalnego, dlatego pojechał do restauracji nad brzegiem morza w Montereale, gdzie mieli wielki wybór pysznych przystawek. Jedząc, nie przestawał myśleć o Michele Strangiu, prezydencie regionu, który wiedział, że

jego syn będzie trzymał język za zębami, dlatego czuł się bezpieczny i zamierzał dopuścić do tego, żeby Giovanni zamiast niego poszedł do więzienia. Czy on, Montalbano, miał zachować milczenie w obliczu tak odrażającej i brudnej historii? Nie, trzeba było wywabić z nory tę dziką bestię, zmusić ją do pokazania swojego prawdziwego oblicza.

Wrócił do Marinelli po jedenastej wieczorem, rozebrał się, usiadł wygodnie przed telewizorem i skakał po kanałach, zabijając czas do północy. Nastawił odbiornik na Televigatę. Twarz jak kurza dupa już perorowała:

...do redakcji wiadomość, że naczelnik policji Bonetti-Alderighi odebrał śledztwo w sprawie zabójstwa Mariangeli Carlesimo komisarzowi Montalbano i powierzył je komisarzowi Silviowi Rasettiemu. Zmiana nastąpiła na prośbę prokuratora Tommasea, który w kwestiach zasadniczych poróżnił się z komisarzem Montalbano. Jak się wydaje, Montalbano nie jest przekonany o winie Giovanniego Strangia, którego dzisiaj po południu aresztowano pod zarzutem umyślnego zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem. Możemy tylko przyklasnąć zarówno decyzji w sprawie zastąpienia komisarza Montalbano komisarzem Rasettim, jak i w sprawie wydania nakazu aresztowania Strangia przez prokuratora Tommasea, który udowodnił, że sprawiedliwość nie powinna nigdy ustępować politycznej ostrożności, gdy chodzi o morderstwo mające...

Montalbano wyłączył telewizor. Podjął decyzję. Wiadomość o aresztowaniu Giovanniego Strangia ostatecznie przeważała szalę. W rzeczywistości jednak wiedział, jak się zachowa, już od popołudnia, kiedy wypłynęła sprawa ze szlafrokiem. Środki, którymi miał zamiar się posłużyć, z pewnością nie były uczciwe. Ale jak usunąć gówno z ulicy, jeśli nie ma się szufelki ani woreczka? Trzeba siłą rzeczy użyć rąk i je sobie uwaląć.

Tego, co miał zamiar przeprowadzić, nie mógł jednak zrobić, dzwoniąc z domowego telefonu, podjąłby wtedy zbyt duże ryzyko. Znowu się ubrał, wziął ze schowka klamerkę do bielizny, kawał chleba z kuchni, a z apteczki pierwszej pomocy zwój gazy i trochę waty. Włożył wszystko do kieszeni, wyszedł z domu i pojechał samochodem do baru w Marinelli, gdzie znajdowała się dyskretnie usytuowana kabina telefoniczna. Miał szczęście, bar akurat zamykano. Schylił się i pod żaluzją wszedł do środka.

- Miché, muszę wykonać kilka telefonów, a mój aparat w domu nie działa.
- Niech pan się nie spieszy, bar już zamknięty.

Właściciel wyszedł na zewnątrz, żeby mu nie przeszkadzać.

Montalbano założył na nos klamerkę, wypróbował głos, brzmiał nosowo.

Wykręcił numer domowy Michele Strangia. Profesor powinien był już wrócić z Neapolu, ale jeśli nie, komisarz mógł zadzwonić na komórkę. Po szóstym sygnale odpowiedział zirytowany i władczy męski głos.

– Halo! Kto mówi?

– Czy to profesor Strangio, Michele Strangio, prezydent regionu?

– Tak.

– Poda mi pan swój adres?

Tamten aż zachłysnął się z oburzenia.

– Dzwoni pan o tej porze, żeby zapytać...? Jak pan śmie! Chcę wiedzieć, z kim rozmawiam!

– Chcę panu wysłać anonim.

– Niech mi pan... jeśli to żart, to ostrzegam, że...

– Anonim na temat szlafroka pobrudzonego pańską krwią i krwią Mariangeli Carlesimo.

Strangio nie odpowiedział. Cios musiał go pozbawić oddechu w piersiach. Montalbano odwiesił słuchawkę. Zdjął z nosa klamerkę, wsadził do ust kawałek chleba, wykręcił ponownie numer. Tym razem Strangio odebrał od razu.

– Halo! Kto mówi?

Strangio mówił zmienionym, drżącym głosem.

– Halo! No, jestem kumplem tego, co przed chwilą dzwonił. To co zrobimy z tym szlafrokiem?

Odwiesił ponownie. Podeszedł do lady, wypluł chleb, nałożył na usta watę i obwiązał je gazą.

Mumia Tutenchamona. Wykręcił numer po raz trzeci. Strangio odebrał od razu.

– Na miłość boską, błagam...

– Ile zapłacisz?

– Ile chcecie, trzy miliony, cztery...

– Nie mówię o pieniądzach, gnoju, tylko o latach w mamrze.

Zakończył rozmowę. Zdjął watę i gazę, włożył je do kieszeni.

Wyszedł na zewnątrz, podziękował Michele i wrócił do Marinelli. Przygotował się do pójścia do łóżka. Był przekonany, że będzie mu się spało doskonale. Tak jak był przekonany, że spanikowany Michele Strangio spędzi bezsenłą noc.

Trochę przed dziewiątą był już w pracy, świeży, pachnący i wypoczęty.

– Catarè, zrób mi kopię tego zapisu – powiedział, podając mu kartkę z rozmową Borsellina z niezidentyfikowanym rozmówcą. – Tylko usuń tytuł, który dałeś: *Rozmówienie z jednym co się nie wie kto to*. A potem znajdź mi jakąś kopertę zaadresowaną do mnie, ale bez nadruku ani adresu nadawcy.

Catarella zgłupiał.

– Nie wyrozumiałem nic, panie komisarzu.

Montalbano potrzebował dziesięciu minut, żeby mu wytłumaczyć, o co chodzi, ale potem już po pięciu minutach miał na biurku to, czego chciał.

– Połącz mnie z naczelnikiem.

Koperta nie była zaklejona, w środku znajdował się list od jakiegoś typu, który oskarżał żonę o przyprawianie mu rogów. Komisarz wyjął list i w zamian wsunął złożoną na cztery kartkę z zapisem rozmowy Borsellina. Włożył kopertę do kieszeni. Zadzwoił telefon.

– Mówi Montalbano, panie naczelniku. Potrzebowałbym bardzo pilnie odbyć konsylium z waszą wielmożnością.

Konsylium uszło w tłoku, z wielmożnością chyba trochę przesadził.

– Ja też muszę panu coś powiedzieć, proszę od razu przyjechać.

*

– Wygraliśmy! – wykrzyknął naczelnik, gdy tylko go zobaczył.

– W jakim sensie, przepraszam?

– W takim, że przed chwilą odwiedził mnie poseł Mongibello. Z własnej inicjatywy. Zaczął od przeprosin. Twierdzi, że padł ofiarą nieporozumienia. Że źle go poinformowano. Że wycofuje wszystko, co powiedział na nasz temat. Że za pośrednictwem dziennikarza Ragonesego przekaże swoje przeprosiny do publicznej wiadomości.

– Zatem nie zgłosi interpelacji w parlamencie?

– Zapewnił mnie, że nie miałaby już ona podstaw.

Teraz nadszedł decydujący moment. Trzeba było jednak przeprowadzić wszystko w białych rękawiczkach.

Komisarz przybrał zasepiony wyraz twarzy.

– Niestety z Mongibellem możemy się spodziewać kłopotów z innej strony – powiedział zatroskanym głosem.

Naczelnik także od razu się zmartwił.

– O mój Boże! Znowu?

– Nawet gorzej. Panie naczelniku, popełniłem wielki błąd.

– W związku z włamaniem w supermarkecie?

– Tak. Wie pan, że zawsze uważałem, że Borsellino został zabity, bo był współnikiem kradzieży. Okazuje się, że się myliłem.

– Ale jakie nowe dowody skłoniły pana...

– Anonim, panie naczelniku. Nie chodzi o prawdziwy list, tylko o transkrypcję rozmowy telefonicznej między Borsellinem a niezidentyfikowanym rozmówcą, być może kimś z rodziny Cuffarów.

Montalbano wyciągnął z kieszeni kopertę, wyjął z niej kartkę i podał naczelnikowi, który przeczytał ją i oddał komisarzowi.

– Jak pan widzi, z rozmowy wynika jasno, że Borsellino nie wiedział wcześniej o kradzieży.

– Domyśla się pan, kto mógł to wysłać?

– Ta sama osoba, która przesłała nagranie do Retelibera.

– Ale kto nam zaręczy, że ten zapis odpowiada rzeczywistej rozmowie?

– Złodzieje, panie naczelniku.

– Jacy złodzieje?

– Być może nie miał pan okazji zobaczyć zgłoszenia. W nocy z soboty na niedzielę nieznanymi sprawcami włamali się do siedziby Retelibera i ukradli dyktafon z zapisami rozmów nadanych przez telewizję. Jestem przekonany, że wymiana zdań, której transkrypcja jest tutaj, nastąpiła tuż przed przybyciem do supermarketu policji.

– Może i tak było, jak pan mówi, ale bez dyktafonu nie mamy na to dowodu. Proszę mi wyjaśnić, co ma z tym wspólnego poseł Mongibello?

Tylko to było ważne dla naczelnika i komisarz pośpieszył z odpowiedzią.

– Panie naczelniku, punktem wyjścia dla całej sprawy było włamanie do supermarketu. Złodziej wszedł do środka, posługując się kluczem przechowywanym w radzie zarządzającej spółką, która jest właścicielem sklepu. Otóż tak się składa, że zarządcą i prezesem spółki, za którą kryje się rodzina Cuffarów, jest poseł Mongibello. Moim zdaniem on jest umoczony w tej całej aferze po szyję.

Bonetti-Alderighi zaczął przeklinać pod nosem, wstał z fotela, przespacerował się po pokoju, usiadł, znowu wstał i pokręcił się chwilę, usiadł.

– Spokojnie, Montalbano, spokojnie – powiedział.

– Jestem całkiem spokojny – odpowiedział komisarz.

- Musimy potraktować tę sprawę z całą delikatnością.
- W białych rękawiczkach? Tak właśnie się zachowuję.
- Potrzebna jest ostrożność, wielka ostrożność.

Montalbano przytaknął karnie:

- Całkowicie się z panem zgadzam.

Naczelnik oblał się potem. Zadzwoił telefon. Słuchając głosu w słuchawce, Bonetti-Alderighi zrobił się blady jak trup.

Co też mu doniesiono? Potem powiedział:

- Zaraz tam będę.

Zakończył rozmowę. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, otarł sobie spoczone czoło.

– Prezydent regionu, profesor Michele Strangio, zabił się strzałem z pistoletu. Znalazła go rano sprzątaczką. Zostawił list, w którym oczyszcza z zarzutów syna. To on zabił tę studentkę.

Montalbano skamieniał oszołomiony. Wtedy patrzącemu na niego naczelnikowi przyszło do głowy najinteligentniejsze pytanie, jakie kiedykolwiek zadał:

- Pan... podejrzewał prezydenta, prawda?

Montalbano zdołał wstać i przybrać pozę osoby ciężko obrażonej.

– Ależ co pan mówi? Gdybym cokolwiek podejrzewał, natychmiast bym pana o tym powiadomił, tak jak nakazuje mi obowiązek... Świadek mówił o trzydziestolatku...

- Muszę iść – powiedział naczelnik, wychodząc z pokoju.

Montalbano usiadł z powrotem. Nie mógł się ruszyć, nogi miał jak z waty. Nie spodziewał się, że jego telefony odniosą taki skutek. Oskarżono go fałszywie o doprowadzenie człowieka do samobójstwa, a teraz, kiedy rzeczywiście zrobił coś takiego, nikt nie mógłby wskazać na niego palcem. Ale może tak było lepiej dla wszystkich.

Zaparkował przed stacją Retelibera i wszedł do środka. Tym razem sekretarka się do niego nie uśmiechnęła, wyglądała na zmartwioną.

– Pana Zita nie ma. Przyszli po niego dwaj karabinierzy. Kazał mi zadzwonić po adwokata Sciabiccę, więc to zrobiłam.

- Wie pani, o co się go oskarża?

– Tak. Adwokat dzwonił pięć minut temu. Sędzia nie wierzy, że złodzieje tu wtargnęli, uważa, że pan Zito upozorował włamanie, żeby nie przekazać mu

dyktafonu.

– Wie pani, jak nazywa się sędzia?

– Tak. Armando La Cava.

Biedny Zito! Gorzej nie mógł trafić! Cava był Kalabryjczykiem i miał kalabryjską mentalność, to znaczy, że jeśli wbił sobie coś do głowy, nie było siły, żeby go przekonać do zmiany zdania, choćby nawet pojawił się przed nim Jezus Chrystus we własnej osobie.

– Gdy tylko będzie coś nowego, proszę do mnie zadzwonić do komisariatu.

Wiadomość o samobójstwie Michele Strangia odebrała mu chęć powrotu do biura. Pojechał w stronę Vigaty, ale w pewnej chwili skręcił w drogę prowadzącą do świątyni i wybrał się na spacer wśród hord japońskich turystów, którzy fotografowali wszystko, co się dało, nawet zdźbła trawy. Długi marsz zaostrzył mu apetyt. Właśnie nastąpiła godzina obiadu, pojechał więc do Enza. Zjadł i choć bynajmniej się nie opchał, i tak odbył zwyczajowy spacer na molo. Kiedy wrócił do komisariatu, Augello i Fazio już na niego czekali.

– Co ty masz wspólnego z samobójstwem Strangia? – spytał od razu Mimì.

– Ja? Co ci przyszło do głowy? Jak mógłbym mieć z tym coś wspólnego?

Fazio popatrzył na niego i nic nie powiedział. Było jasne, że nie dał się nabrać na udawane oburzenie komisarza.

– Co zrobimy ze szlafrokiem? – spytał.

– Na razie trzymaj go tutaj. Jeśli w liście, który zostawił Strangio, nie wspomina się o nim, jakoś się go pozbędziemy. Czy chcemy wrócić do punktu, do którego doszliśmy wczoraj, zanim się rozstaliśmy?

– Panie komisarzu, ja bynajmniej nie wróciłem do domu, żeby coś zjeść – powiedział Fazio.

– A co zrobiłeś?

– Sondując grunt trochę na oślep pytaniami, otrzymałem odpowiedź, która okazała się gorsza od bomby.

Montalbano i Augello nadstawili uszu. Fazio był jednak mistrzem w tworzeniu napięcia. Komisarz postanowił go nie popędzać, pozwolić mu nacieszyć się efektem, jaki wywołał. Należała mu się rekompensata za to, że nie miał czasu zjeść.

– A więc? – zapytał za to Augello, mniej wspianałomyślny od Montalbana.

– Dwie osoby niechętnie wspomniały mi o czymś, o czym nikt nie mówi.

Zrobił kolejną przerwę, po czym strzelił.

- Podobno Borsellino został porwany.
Montalbano i Augello oniemieli.
- Porwany? – zawołali obaj chórem.
- Fazio rozkoszował się uzyskanym efektem.
- Wiesz, jak długo go przetrzymywano? – spytał Montalbano.
- Cztery dni.
- Porwanie błyskawiczne – skomentował Augello.
- Mimì, czasami robisz odkrycia, na które sam Einstein by się nie zdobył!
- Nie zaprzeczę.
- Zapłacono okup?
- Podobno tak.
- Do kogo zwrócono się z żądaniem?
- Do Cuffarów.
- Do Cuffarów?!
- Panie komisarzu, od kogo mieli zażądać pieniędzy? Borsellino nie miał rodziny i nie wydaje mi się, żeby był bogaty.
- A Cuffarowie?
- Podobno zapłacili okrągłą sumkę, nie mrugnawszy powieką.
- Naturalnie nie zgłosili sprawy na policję.
- Oczywiście.
- Czy były jakieś hipotezy co do sprawców porwania?
- Początkowo przypisano winę klanowi Sinagra, ale oni udowodnili, że nie mieli z tym nic wspólnego.
- Ciekawe, w jaki sposób – zauważył Mimì.
- Mafijne bractwo rozumie się w lot – stwierdził Montalbano. – A więc?
- A więc nie wiadomo, kto za tym stał.
- Może jacyś desperaci, którzy porwali się na niebezpieczny skok i udało im się pomyślnie go dokonać – zasugerował Mimì.
- Słuchaj, a sam Borsellino co o tym powiedział?

– Panie komisarzu, ja tylko powtarzam zasłyszane pogłoski. Tego dnia Borsellino odebrał telefon, wezwano go na zebranie rady zarządzającej o dziewiątej tego samego wieczoru. W biurze u niego był wtedy jeden z dostawców, który opowiedział o tym przyjaciółom. Powiedział, że Borsellino się zdenerwował, bo nie wiedział wcześniej o zebraniu i nie miał przygotowanych dokumentów. Później kierownik sklepu opowiadał, że wracał do domu po zebraniu, które skończyło się bardzo późno, kiedy obok niego zwołał jakiś samochód. Wskoczyli z niego dwaj mężczyźni, pochwycili Borsellina i wciągnęli do auta, które ruszyło z wielką szybkością. Potem podłożyli mu pod nos nasączoną czymś watę i od razu zasnął.

– Nie widział twarzy tych porywaczy?

– Twierdził, że to było akurat przy zepsutej latarni.

– A kiedy się obudził?

– Nie widział nic. Miał oczy zawiązane chustką, a ręce skrupowane za plecami. Związano mu także nogi. Słyszał tylko beczenie owiec i szczekanie psów. To musiał być jakiś dom na wsi. Potem na czwarty dzień znowu go uśpili i zbudził się na przedmieściach Vigaty.

– Wierzysz w to porwanie? – spytał Montalbano.

– I tak, i nie. Jedno jest pewne w tej sprawie, że Borsellino nie żyje.

– Mnie się coś w tej historii nie zgadza – stwierdził Montalbano. – Jeśli do porwania w ogóle doszło.

– Postaram się czegoś więcej wywiedzieć – obiecał Fazio.

– Wyjaśnij, co ci się nie zgadza – poprosił Mimì.

– Przede wszystkim to, jak dokonano porwania. Skąd porywacze mieli wiedzieć, że tego wieczoru Borsellino ma zebranie rady zarządzającej? No i dlaczego Cuffarom miałyby zależeć na zapłaceniu okupu za Borsellina? To ich krewny? Nie. Dopóki nie wyjdzie na jaw coś innego, był po prostu kierownikiem supermarketu. Tymczasem zapłacili bez dyskusji.

– No to jak to sobie tłumaczysz? – spytał Augello.

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Trzeba by się dowiedzieć, kim była żona Borsellina.

– Już to zrobiłem – powiedział Fazio.

– A niech to cholera! – wymknęło się komisarzowi.

Fazio popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Nic, nic, przepraszam, powiedz, co wiesz.

– Mogę wyciągnąć kartkę z kieszeni?

– Masz taką możliwość – powiedział przez zaciśnięte zęby komisarz.

Fazio wyciągnął złożoną wpół kartkę, rozprostował ją i zaczął czytać.

– Fazio Caterina...

– Twoja krewna? – spytał Montalbano.

– Nie. Fazio Caterina, córka Paola Fazia i Micheli Giummarry, urodzona w Riberze 3 kwietnia 1955 roku, żona Guida Borsellina. Zmarła 7 czerwca 2001 roku na atak serca.

Złożył karteczkę i schował ją z powrotem do kieszeni.

Montalbano zezłościł się.

– A co mnie, kurwa, obchodzi, kiedy się urodziła i kiedy zmarła! Chciałem wiedzieć, czy była spokrewniona z Cuffarami!

– Żadnych więzów pokrewieństwa – oświadczył flegmatycznie Fazio.

– No więc, jeśli Cuffarowie zapłacili duży okup za kogoś, kto nie był nawet ich dalekim krewnym, to dlaczego to zrobili?

– Może przywiązali się do Borsellina – powiedział Mimì.

Montalbano nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

– Jedyna możliwa odpowiedź jest taka, że Borsellino nie był zwykłym kierownikiem supermarketu, był kimś więcej. Ale kim? Fazio, czy dobrze pamiętam, powiedziałaś, że zatrudniono go w supermarkecie z polecenia posła Mongibella? Co robił wcześniej?

– Był księgowym Cuffarów w niektórych interesach dotyczących...

Sen o amerykańskim filmie ze sceną aresztowania księgowego Ala Capone pojawił się nagle przed oczami komisarza olśniewający magią kinematografu, jak zachwalała jakaś stara reklama. Najwyraźniej przyśniła mu się ona, bo podświadomie już zrodziło się w nim to podejrzenie, choć jeszcze nie wypłynęło na powierzchnię.

– Księgowy! – zawył Montalbano, podskakując na fotelu z wytrzeszczonymi oczami.

Fazio popatrzył na niego, marszcząc czoło.

Natomiast Mimì Augello zaczął się śmiać.

– Uspokój się, Salvo! Czemu się tak zachowujesz? Księgowi nie są wymarłą rasą. Borsellino był księgowym i co z tego?

– Mimì, jesteś jak dziecko we mgle!

– Ja zrozumiałem – pochwalił się Fazio.

– No to wyjaśnij to panu komisarzowi Augellowi, gdy ja tymczasem wypalę sobie papierosa.

Wypalił go przy oknie i wrócił usiąść przy biurku.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, uważasz, że Borsellino mógł być głównym i jedynym księgowym wszystkich interesów rodziny Cuffaro? – spytał Augello.

– To tylko hipoteza, trzeba by ją potwierdzić. I jedyne logiczne wyjaśnienie powodu, dla którego Cuffarowie zapłacili okup. Nie mogli ryzykować straty kogoś tak dla nich ważnego, kto znał sekrety ich wszystkich.

– Chwileczkę – przerwał Augello. – Jeśli Borsellino był taki ważny, dlaczego kilka miesięcy później go zamordowali, zadając sobie tyle trudu z inscenizacją kradzieży w supermarkecie?

– Najwyraźniej coś się wydarzyło i stracili do niego zaufanie – odpowiedział Montalbano.

– Ale dlaczego? Jaki powód mógłby im dać Borsellino, żeby nabrali wobec niego podejrzeń?

Pytanie Augella pozostało jakiś czas bez odpowiedzi.

Potem komisarz, który czuł, jak śrubki w jego mózgu nagrzewają się do czerwoności, powiedział:

– Może to było jakoś powiązane z porwaniem.

– Co masz na myśli?

– Może rozumowanie Cuffarów pobiegło takim samym tropem jak moje. Może oni też zadali sobie pytanie, skąd porywacze mogli wiedzieć, że tego wieczoru Borsellino miał uczestniczyć w zebraniu. Fazio dopiero co powiedział nam, że zostało ono zwołane bez uprzedzenia, Borsellino nawet nie miał przygotowanych dokumentów. Kto poinformował porywaczy?

– Ktoś z rady zarządzającej? – zasugerował Mimì.

– To bym wykluczył, bo w takim razie współnik zostałby już zidentyfikowany i zamordowany przez Cuffarów. Fazio, czy z twoich informacji wynika, że ostatnio któryś z członków rady pożegnał się z tym światem?

– Nie, wszyscy żyją.

– Może... – zaczął Montalbano i urwał.

– Może? – ponaglił go Augello.

Komisarz zagłębił się jednak w myślach. Zapanowała cisza, którą przerwał telefon.

– Panie komisarzu? Bo by była na linii pani sekretarka od pana Mita i ona tak powiada, że on teraz powrócił.

Montalbano rozłączył się i wstał.

– Chodźcie ze mną. Pojedziemy samochodem Fazia do Retelibera.

*

– Nie masz pojęcia, co to za uparty kretyń z tego La Cavy! – powiedział Zito. – Całkiem jak pies, który nie chce wypuścić kości. Nie było zmiłuj się, wbił sobie do głowy, że upozorowałem włamanie! Na szczęście mam dobrego adwokata, inaczej jeszcze bym tam siedział!

– Masz kopię nagrania?

– Widzę, że bardzo się przejmujesz moimi kłopotami. Dziękuję. Jasne, że mam kopię nagrania. Nosilem ją cały czas przy sobie, nawet kiedy byłem u sędziego. Przegrałem wszystko na zwyczajną kasetę, bo cyfrowego odtwarzacza nigdy się nie nauczyłeś obsługiwać.

– Normalnego też nie umiem.

Zito wyciągnął z kieszeni miniaturową kasetę i podał ją komisarzowi.

– Mogę cię poprosić o jeszcze jedną przysługę? – spytał Montalbano.

– Tak, pod warunkiem że nie wyląduję znowu u La Cavy.

– Możemy teraz odsłuchać razem nagrania?

– Mam godzinę, ale potem muszę przygotować serwis informacyjny o samobójstwie Strangia. To wiadomość dnia i mam trzech operatorów, którzy nad nią pracują. Ale co tam jest takiego ważnego?

– Rozmowa telefoniczna Borsellina z niezidentyfikowanym rozmówcą tuż przed przybyciem Augella. Chciałbym, żebyś ty też jej wysłuchał.

Zito wyjął z szuflady magnetofon, wsadził do niego kasetę i przesunął taśmę do miejsca, w którym słychać było, jak Borsellino mówi:

– *Halo! Mówi Guido.*

– To tutaj – powiedział Montalbano, który przeczytał transkrypcję tyle razy, że znał tę rozmowę na pamięć.

Wysłuchali nagrania w milczeniu.

– Możemy odsłuchać to jeszcze raz? – spytał Zito.

Odsłuchał z wielką uwagą i powiedział:

– To oczywiście, że mężczyzna, którego Borsellino zawiadomił o kradzieży, już o niej wiedział. Zdradził się z tym mimowolnie.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Wkurzycie się, jeśli odsłuchamy tego jeszcze raz?

– Bo co? – spytał Montalbano.

– Bo tak.

Po przesłuchaniu nagrania po raz trzeci, Zito wstał.

– Chodźcie ze mną.

Przeszli w czwórkę do pokoju wypełnionego kasetami wideo z nagraniami. Zito długo szukał, w końcu wybrał jedną z nich, wsunął ją do odtwarzacza stojącego obok ekranu i już miał wcisnąć przycisk, kiedy Montalbano go powstrzymał.

– Nicolò, jeśli powiesz mi, że masz zamiar pokazać nam wywiad z posłem Mongibellem, przysięgam, że cię obejmę i ucałuję.

– Jak się domyśliłeś? – spytał Zito z uśmiechem.

Montalbano objął go i ucałował. Właśnie na to miał nadzieję.

Wystarczyło dziesięć minut i żaden z nich nie miał już wątpliwości. Głos z rozmowy telefonicznej Borsellina należał do posła Mongibella.

– Zrób coś dla mnie – powiedział Montalbano do Fazia, kiedy wyszli. – Odwieź Mimì do komisariatu i wróć po mnie do biura naczelnika.

W dziesięć minut dotarł na piechotę do sklepu, którego szukał.

– Potrzebuję taniego telefonu.

– Dobrze pan trafił. Mam promocję, ze starterem, na którym jest dziesięć euro na rozmowy.

Sprzedawca otworzył gablotkę, wyjął telefon i pokazał komisarzowi.

– Kosztuje tylko trzydzieści euro.

– Wezmę go.

– Poproszę o dokument – powiedział sprzedawca.

Montalbano się zakłopotał. Nie wiedział, że do kupienia telefonu potrzebny jest dowód. Sprzedawca to zauważył.

– Nie ma pan dowodu osobistego?

– Oczywiście, że mam, ale zostawiłem go w samochodzie, który zaparkowałem daleko stąd. Dajmy sobie spokój.

Sprzedawca nie chciał jednak stracić klienta.

– Gdyby pamiętał pan chociaż numer dowodu...

– Ach, tak, oczywiście – zaimprovizował Montalbano. – Dowód numer 23456309, wystawiony przez powiat Sicudiana na nazwisko Fantauzzo Michele, zamieszkały via Granet dwadzieścia trzy, Sicudiana.

Sprzedawca zapisał dane.

– Może mi pan wyjaśnić, jak on działa?

Po otrzymaniu wyjaśnień zapłacił i wyszedł, włożywszy aparat do lewej kieszeni. W drugiej miał odtwarzacz pożyczony przez Zita, którego instrukcję obsługi kazał sobie powtórzyć z dziesięć razy, aż w końcu zapisał na karteczce. Puścił się pędem do biura naczelnika.

Pierwsze, co zrobił po przyjeździe do Marinelli, to wziął książkę telefoniczną i znalazł numer, który zapisał sobie na kartce.

Poszedł do kuchni. Adelina zostawiła mu ryż z małżami i ośmiorniczkami. Na drugie – smażone kalmary i krewetki. Nakrył stół na werandzie i zjadł wszystko z wielkim smakiem.

Czekając, aż nadejdzie północ, usiadł w fotelu i włączył telewizor. Leciał jakiś film z Albertem Sordim, oglądał go przez chwilę, po czym przełączył na Telegatę. Twarz jak kurza dupa już perorowała:

...nie zostawił listu, tylko kartkę, którą mieliśmy okazję obejrzeć i która zawiera jedynie te słowa: „Mój syn Giovanni nie zabił Mariangeli Carlesimo. Ja to zrobiłem. Byłem od dawna jej kochankiem. Pokłóciliśmy się i straciłem głowę”. Poniżej widnieje podpis. Teraz czujemy się w obowiązku wyjaśnić, dlaczego byliśmy tak długo przekonani o winie syna Strangia, Giovanniego. Ten młody mężczyzna, który...

Montalbano zgasił telewizor i wyszedł na werandę z whisky i papierosami. A zatem Michele Strangio nie wspomniał w liście o anonimowych telefonach ani o szlafroku. Następnego dnia trzeba będzie polecić Faziowi, żeby go zniszczył.

Jednak myśląc o tym, co teraz miał zamiar zrobić, czuł się niekomfortowo. Kiedy naczelnik powiadomił go w swoim gabinecie o samobójstwie prezydenta regionu, komisarza ogarnęło głębokie poczucie winy. Oczywiście, kiedy do niego dzwonił, nie miał absolutnie zamiaru doprowadzić go do samobójstwa, chciał tylko skłonić go do jakiejś reakcji, zrobienia fałszywego kroku, jednak ta śmierć obciążała jego sumienie. Potem pomyślał sobie, że mógł nie mieć nic wspólnego z samobójstwem Strangia. Rozmawiał z nim nie on, a jakiś anonimowy głos nocy.

Głos nocy, który mógłby być po prostu głosem jego sumienia. Było to naciągane usprawiedliwienie trącające hipokryzją, ale jezuicie by wystarczyło. Poza tym po co tyle skrupułów w stosunku do ludzi, którzy nie umieliby nawet powiedzieć, co oznacza to pojęcie i wykręcali się od odpowiedzialności, wykorzystując swoje koneksje polityczne? Nie, postanowił przeprowadzić to, co sobie zamierzył. A jeśli zadziałało za pierwszym razem, powinno zadziałać i za drugim. Zrobiło się wespół do pierwszej. Montalbano wstał, podszedł do telefonu, wyjął komórkę i wystukał swój numer domowy. Telefon zadzwonił. Zachęcony tą udaną próbą, zajął się włączeniem odtwarzacza, trzymając przed oczami karteczkę z instrukcjami. Ta druga próba też zakończyła się sukcesem. Wobec tego wziął znowu ze schowka klamerkę, którą zacisnął sobie na nosie i wystukał na komórce numer zapisany wcześniej na kartce.

– Halo, kto mówi? – spytał głos posła Mongibella.

Montalbano nie odpowiedział, puścił nagranie, trzymając odtwarzacz tuż przy telefonie. Kiedy się skończyło, spytał:

– Podobało ci się? Mogłeś sobie darować tę kradzież dyktafonu!

– Ale kto mówi? Czego chcesz?

– Nie wiesz, czego chcę?

– Powiedz mi to jasno.

– Kiedy będę chciał mówić jasno, to cię powiadomię.

Przerwał połączenie, zanim tamten zdążył zaprotestować. Poszedł pod prysznic, a potem do łóżka.

Spał smacznie, kiedy się zbudził, było już po dziewiątej.

– Catarè, przyslij mi Fazia – powiedział, wchodząc do komisariatu.

– Uniemożliwiony jestem, panie komisarzu, albowiem ówże na miejscu nie znajduje się.

– Wiesz, gdzie poszedł?

– Tak, panie komisarzu, on o poranku przyszedł, a potem wyszedł i wychodzącym będąc, tak mi powiedział, że zawezwany został do Montelusy do biura naczelnika.

Czego mogli tam chcieć od Fazia?

– Jest Augello?

– Nie, panie komisarzu, on telefonił, że zapóźniony będzie.

– No to niech cię tu ktoś zastąpi, a ty chodź ze mną do gabinetu.

– Natychmiastowo, panie komisarzu.

Ledwie usiadł za biurkiem i już zjawił się Catarella.

– Zamknij drzwi na klucz i siadaj.

Catarella wykonał polecenie i stanął na baczność przed komisarzem.

– Powiedziałem ci, żebyś usiadł.

– Nie mogę panie komisarzu, gdyż nogi moje odmawiają z szacunku dla pana komisarza.

– To przynajmniej stań na spocznij, bo mam wrażenie, że rozmawiam z drewnianą marionetką.

Catarella przyjął wzorową pozycję spocznij.

– To wszystko, co ci teraz powiem, musi pozostać między nami.

Catarella aż się zachwiał.

– W głowie ci się kręci?

– Zakręcenie w głowie mnie dotknęło, panie komisarzu.

– Dobrze się czujesz?

– Że ja z panem komisarzem będę posiadać sekret, mi zakręcenie w głowie powoduje.

Montalbano spytał, jak przeprowadzić to, o co mu chodziło. Catarella wyjaśnił, jak można to zrobić. Komisarz dał mu pieniądze, poprosił go o kupienie potrzebnej rzeczy i zawiezenie jej do Marinelli, gdzie była jeszcze Adelina.

Fazio wrócił około jedenastej, z twarzą tak chmurną, że Montalbano się przestraszył.

– Co się stało?

– Dzisiaj rano wezwał mnie zastępca naczelnika Spones.

– Kto to?

– Zajmuje się zwalczaniem terroryzmu.

– Uff, co za zawracanie dupy! Chcą nas wciągnąć w jakąś operację?

– Nie. Spones ostrzegł mnie, że nie powinienem interesować się porwaniem Borsellina.

Fazio, który oczekiwał gwałtownej reakcji komisarza, zdumiał się, widząc, że Montalbano się uśmiecha.

– Powtórz mi dokładnie, co ci powiedział.

– Powiedział, że doszło jego uszu, że zadaję pytania na temat tego porwania, i zabronił mi się tym zajmować.

– Zapytałeś go o powód?

– Tak. Odpowiedział, że lepiej, aby wszyscy o tym zapomnieli. Że samobójstwo Borsellina uniemożliwiło doprowadzenie do końca pewnej sprawy i że im mniej się będzie o tym mówić, tym lepiej.

– OK, potwierdź, czy dobrze zrozumiałem. Spones uważa, że Borsellino popełnił samobójstwo?

– Moim zdaniem on tak sądzi.

– To znaczy, że Spones nie rozmawiał z naczelnikiem. I że zakaz jest niezależną inicjatywą komórki antyterrorystycznej.

– Mnie też tak się wydaje. Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego się pan uśmiechał.

– Bo byłem przekonany, że Borsellina porwali ludzie z brygady antymafijnej, tymczasem zrobili to ci od zwalczania terroryzmu. Różnica znacząca.

Fazio się pogubił.

– Nic nie rozumiem.

– Widzisz, doszedłem do przekonania, że na porwaniu Borsellina mogło zależeć tylko ludziom z brygady antymafijnej, którzy chcieli wejść w posiadanie prowadzonej przez niego księgowości. Zadawałem sobie jednak pytanie, na które nie umiałem odpowiedzieć, w jaki sposób dowiedzieli się, że tego wieczoru Borsellino ma zebranie z radą zarządzającą.

– Ale to samo pytanie można zadać w odniesieniu do tych z brygady antyterrorystycznej!

– Nieprawda, tu jest inna sytuacja. Załóżmy, że Borsellino dowiaduje się, że ktoś z Cuffarów nawiązał kontakt z terrorystami. Można z nimi robić dobre interesy. Na przykład zaoferować im dogodną bazę operacyjną. Jednak ryzyko także jest większe niż w przypadku handlu narkotykami czy wymuszania haraczu. I rzeczywiście, Borsellino wpada w panikę: czymś innym jest oskarżenie o prowadzenie księgowości dla mafii, a czymś innym zarzut o zamieszanie w działalność terrorystyczną. W jakiś sposób rzecz dochodzi do uszu komórki antyterrorystycznej. W jakiś sposób zaczynają wywierać nacisk na Borsellina. On poddaje się i decyduje na współpracę. Chce się jednak zabezpieczyć i żąda stworzenia jakiejś wiarygodnej historyjki. Ci z brygady antyterrorystycznej proponują sfingowane porwanie. Odpowiedni moment sygnalizuje sam Borsellino. Kiedy zostaje wezwany na zebranie, zawiadamia o tym Sponesa. W ciągu tych czterech dni przeprowadzają kilka rozmów i może dochodzą do jakiegoś porozumienia, ale Borsellino prosi o trochę czasu, żeby wszystko zorganizować i dostarczyć im kompromitujące dokumenty. Oni się zgadzają. Najlepsze jest to, że aby uwiarygodnić porwanie, żądają od Cuffarów wysokiego

okupu. Oni jednak nabierają podejrzeń co do Borsellina i mordują go, pozorując samobójstwo, żeby brygada antyterrorystyczna nie domyśliła się, w czym rzecz. Spones niechcący zrobił nam przysługę. Potwierdził moje przypuszczenia.

Nie miał ochoty jeść, był zbyt zdenerwowany. Jednak i tak poszedł na spacer na molo, żeby jakoś zabić czas. Za pięć trzecia był z powrotem w komisariacie.

– Kupiłeś wszystko? – spytał Catarelli.

– Tak jest, panie komisarzu, udałem się do sklepu w Montelusie, jak pan komisarz mnie zarządził, i towar zakupiony do Marinelli zawiozłem. A tu zwracam pozostawione pieniądze.

Po wyjściu Catarelli komisarz wstał zza biurka i zamknął drzwi na klucz. Usiadł z powrotem i zadzwonił na centralę w biurze naczelnika.

– Chciałbym rozmawiać z panem Sponesem. Mówi komisarz Montalbano.

Dla zabicia czasu powtórzył tabliczkę mnożenia przez siedem. Kiedy doszedł do siedmiu razy dziewięć, Spones rozpoczął rozmowę, nie dając mu dojść do słowa.

– Niech pan posłucha, nie mieliśmy przyjemności się poznać, ale jeśli dzwoni pan w sprawie tego porwania, to powiem od razu, że...

Miał wielką pokusę posłać go do diabła. Ale rozpaczliwie potrzebował Sponesa.

– Dzwonię z innego powodu. Czy mógłby mi pan poświęcić pół godzinki?

– Proszę poczekać, sprawdzę w kalendarzu. Jestem dość zajęty. Możemy się umówić jutro o dziesiątej?

– Doskonale, dziękuję.

Skończył rozmowę i wybrał inny numer.

– Nicolò? Tu Montalbano. Chciałem poprosić o przysługę.

– Co za diabli cię nasłali? Czego znowu chcesz?

– Jeśli do ciebie przyjadę, zrobisz ze mną wywiad?

– I oczywiście sam mi napiszesz pytania?

– Trafiłeś w dziesiątkę.

– I może jeszcze chciałbyś, żebym nadał rozmowę w dzienniku o ósmej trzydzieści?

– Czytasz w moich myślach.

– Przyjedź punktualnie za piętnaście siódma.

Panie komisarzu, zaprosiliśmy pana do naszego studia po to, by użył pan swoich policyjnych talentów do rozwiązania zagadkowej sprawy, w którą została zamieszana nasza stacja. Jak pan i nasi widzowie wiedzą, kilka dni temu otrzymaliśmy od anonimowego nadawcy przesyłkę z dyktafonem Guida Borsellina, kierownika supermarketu w Vigacie. Wśród różnych nagrań były tam także jego rozmowy z komisarzami Augellem i Montalbanem, które odtworzyliśmy na naszym kanale. Jednak tej samej nocy do stacji włamali się złodzieje i ukradli wyłącznie, podkreślam wyłącznie, wspomniany dyktafon. Panie komisarzu, moje pierwsze pytanie jest następujące: w czym interesie leżało oczyszczenie pana z zarzutu doprowadzenia biednego Borsellina do samobójstwa?

– Myślę, że można to pytanie postawić inaczej. Komu zależało, żeby podważyć wiarygodność osób wysuwających oskarżenia pod adresem moim i mojego zastępcy?

– *Jest tu jakaś różnica?*

– Bardzo duża. Przesłanie dyktafonu nie było gestem życzliwości pod moim adresem, ale raczej wyrazem wrogości wobec autorów tezy o wymuszonym samobójstwie.

– *Kim mogły być osoby, które wysłały dyktafon?*

– Mogę tutaj wyrazić tylko swoją opinię. Przede wszystkim musi chodzić o kogoś, kto dobrze znał Borsellina i wiedział, że ma on zwyczaj używać dyktafonu. Dlatego podejrzewam, że musi istnieć, jeśli można tak rzec, jakaś piąta kolumna, która zamierza wyciągnąć maksymalną korzyść z rzekomego samobójstwa Borsellina.

– *Dlaczego nazywa je pan rzekomym?*

– Bo mamy poważne wątpliwości, czy rzeczywiście było to samobójstwo.

– *Może nam pan zdradzić jakieś szczegóły?*

– Przykro mi, śledztwo trwa.

– *Przejdźmy do następnego pytania: dlaczego, pana zdaniem, ukradziono dyktafon?*

– Prawdopodobnie dlatego, że były na nim nagrania innych rozmów. Niewykluczone, że jedna z nich dostarczała dowodu na to, że w domniemane samobójstwo w rzeczywistości zamieszane były osoby o pozornie nieskazitelnej reputacji. Jednym słowem, kto inny przesłał wam dyktafon, a kto inny go ukradł. W każdym razie był to postępek głupi i bezcelowy.

– *Dlaczego pan tak twierdzi?*

– Bo jestem głęboko przekonany, że osoba, która przesłała wam dyktafon, zrobiła najpierw kopię wszystkich zarejestrowanych na nim nagrań. Na pewno ten ktoś nie chciał zostać z pustymi rękami. To typowy sposób postępowania szantażystów.

– *Sądzi pan, że pozorowane samobójstwo można wykorzystać do szantażowania tych, którzy za nim stoją?*

– To bardzo prawdopodobne.

– *Dziękujemy panu za przyjęcie zaproszenia i za odpowiedzi na nasze pytania.*

– To ja dziękuję.

Pojechał w stronę Vigaty, z trudem powstrzymując się, by nie zacząć śpiewać na cały głos. Nie wątpił, że wywiad pełen niuansów i niedopowiedzeń przyprawi rodzinę Cuffarów o ból głowy. Jednak z pewnością najbardziej przestraszony ze wszystkich będzie poseł Mongibello, bo na pewno domyśli się, że to do niego pił komisarz, wspominając o osobach o pozornie nieskazitelnej reputacji. Poczuje się teraz wzięty w dwa ognie, z jednej strony anonimowy rozmówca, który puścił mu nagranie rozmowy przez telefon, z drugiej policja. O tej porze zapewne oblewa się zimnym potem, czekając na drugi telefon od szantażysty.

Komisarz wrócił do biura i zamknął się w gabinecie z Catarellą.

– Wyjaśnij mi ponownie, jak to działa.

Wysłuchawszy wyjaśnień dwa razy, powiedział:

– Może lepiej to sobie zapiszę.

Potem uciekł do Marinelli, żeby obejrzeć wywiad.

Zito doskonale się spisał: nadał wywiad po dzienniku, zapowiedziawszy go na początku wiadomości.

Montalbano miał stuprocentowe przekonanie, że wśród widzów będzie także poseł Mongibello, o tej porze prawdopodobnie bliski apopleksji.

Nakrył stół na werandzie, napełnił brzuch makaronem *ncasciata* i miecznikiem, po czym wrócił do środka i zaczął szukać jakiegoś dobrego filmu w telewizji.

Znalazł powtórkę *Złego porucznika* i obejrzał cały film. O wpół do dwunastej wstał, wyciągnął z kieszeni instrukcje zapisane w komisariacie, przeczytał je dla pewności dwa razy, po czym wziął dyktafon, który kupił mu Catarella, i podłączył go do prądu.

Potem otworzył pudełko, również nabyte przez Catarellę, i wyciągnął jego zawartość. Był to kabelek, z jednej strony zakończony rodzajem przyssawki, z drugiej wtyczką. Postępując zgodnie z instrukcją, przyczepił przyssawkę do komórki, a wtyczkę do gniazdka w dyktafonie.

Teraz urządzenie było gotowe, ale musiał sprawdzić, czy zmontował wszystko prawidłowo i czy zadziała.

Zadzwoił z komórki do Livii i natychmiast nacisnął czerwony guzik z napisem „rec”.

– Cześć, dzwonię teraz, bo boli mnie głowa i idę zaraz spać.

Porozmawiali pięć minut, potem powiedzieli sobie dobranoc.

Montalbano rozłączył się, nacisnął guzik przewijania taśmy, a potem zielony guzik odtwarzania. Od razu usłyszał swój głos. O w mordę! Nagrało się! Cud! To naprawdę działało.

Poszedł umyć twarz, po czym usiadł przy stole. Zamknął na chwilę oczy i powtórzył sobie w myślach to, co miał zrobić, wszystkie te skomplikowane sprzęty techniczne, dyktafony, kamery, komputery to nie jego para kaloszy. Wstał, nałożył klamerkę na nos, usiadł znowu i wybrał numer Mongibella, jednocześnie włączając dyktafon.

– Halo! – odezwał się poseł, który musiał czyhać tuż przy telefonie.

Montalbano nacisnął przycisk odtwarzania.

– *Halo! Mówi Guido.*

Puścił fragment nagrania, potem je zatrzymał.

– Już wiesz, kto dzwoni?

– Tak.

– Czy dojdziemy do porozumienia?

– Tak.

– Złożę ci rozsądną propozycję. Dwa miliony.

– Ale...

– Żadnego ale. Dwa miliony. Jutro o północy, przy starej rogatce na drodze do Montereale. Przyjedź sam, jeśli weźmiesz ze sobą jakiegoś kumpla z klanu Cuffarów, nici z interesu, prześlę nagranie prosto do Retelibera. Zostaw pieniądze przed drzwiami rogatki i znikaj.

– A nagranie?

– Prześlę ci je.

– Skąd mogę mieć pewność, że...

– Musisz mi uwierzyć na słowo. I pamiętaj, jeśli odkryję, że dałeś mi znaczone pieniądze, jesteś trupem. Rozumiemy się?

– Tak.

Odłożył telefon, przewinął taśmę, nacisnął przycisk „play”.

– Halo! – dał się słyszeć głos Mongibella.

– *Halo! Mówi Guido.*

Dla pewności przesłuchał całe nagranie do końca. Dopiero gdy położył się do łóżka, zorientował się, że wciąż ma na nosie klamerkę.

Przyjechał do komisariatu o ósmej trzydzieści i od razu zamknął się z Catarellą w gabinecie.

– Zrób mi kopię wszystkiego.

– Ale panie komisarzu, żeby kopiować z jednego i drugiego, należy jest trzeci rejestrator!

– Nie wiesz, czy ktoś w komisariacie...

– Chyba komisarz Augello zaposiadowuje jeden.

– Idź sprawdzić.

Po chwili Catarella wrócił, niosąc tryumfalnie magnetofon i czystą kasetę.

Kiedy skończyli, Catarella odniósł magnetofon Augellowi, a Montalbano wrzucił nagraną kasetę do szuflady, którą zamknął na klucz.

Potem komisarz, nie spiesząc się, pojechał do Montelusy.

Za pięć dziesiąta wszedł do biura naczelnika policji tylnymi drzwiami, żeby nie natknąć się na Lattesa, który z pewnością zawiadomiłby o jego wizycie naczelnika.

Poprosił jakiegoś strażnika o wskazanie mu, gdzie znajduje się gabinet Sponesa, zapukał do zamkniętych drzwi.

– Proszę.

Wszedł. Spones wstał z krzesła i wyszedł mu na powitanie z wyciągniętą ręką. Był czterdziestolatkiem o jasnych oczach, wysportowanym i pewnym siebie. Montalbano nie czuł do niego antypatii.

– Proszę usiąść. Mówmy sobie na ty. Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

Komisarz wyciągnął z lewej kieszeni odtwarzacz z zapisem rozmowy Borsellina z Mongibellem.

– To bardzo krótkie nagranie, prosiłbym cię, żebyś odsłuchał je z uwagą.

Puścił taśmę. Po jej odsłuchaniu Spones spytał:

– Kim jest ten drugi?

Rozpoznał od razu głos Borsellina i nie próbował tego ukryć. Obiecujący początek.

– Jego rozmówca to poseł Mongibello, który, jak z pewnością wiesz, jest szefem spółki...

– ...do której należy supermarket, złożonej z figurantów rodziny Cuffaro. Jak widzisz, wiem wszystko. Ta rozmowa niewątpliwie daje nam nową interesującą informację. Mongibello wiedział o kradzieży, zanim jeszcze Borsellino go o niej powiadomił. Pomijając ów szczegół, ta rozmowa świadczy przede wszystkim o tym, że to nie ty ani twój zastępca popchnęliście Borsellina do samobójstwa, ale to Mongibello brutalnie się go wyparł.

– Tylko że Borsellino nie popełnił samobójstwa, został powieszony.

Spones pociemniał na twarzy.

– Masz na to dowody?

– Raczej poszlaki – powiedział Montalbano. – Wiesz, że lokalna stacja telewizyjna otrzymała od anonimowego nadawcy dyktafon, który...

– Wiem wszystko.

– Wiesz, że dyktafon został skradziony tej samej nocy, kiedy nagranie nadano w telewizji?

– Tego nie wiedziałem.

– Zacząłem się zastanawiać, dlaczego to zrobiono, skoro nagranie mojej rozmowy z Borsellinem już odtworzono na antenie. Jedyłą logiczną odpowiedzią było to, że dyktafon zawierał jeszcze coś innego. Na szczęście dyrektor stacji telewizyjnej zrobił kopię wszystkich nagrań i mi ją przekazał. Znalazłem tam rozmowę, której właśnie wysłuchaliśmy. Widzisz, jeśli samobójstwo Borsellina

było upozorowane, Mongibello, który nieumyślnie zdradził się, że wie o kradzieży, musiał znać rzeczywisty cel tej akcji, w której chodziło o wyeliminowanie kierownika supermarketu. Borsellino został zamordowany, bo Cuffarowie odkryli, że zaczął z wami współpracować. Nie przekonało ich uzgodnione z wami rzekome porwanie. Przeprowadzili własne śledztwo, coś odkryli i upozorowali samobójstwo, którego motywem miało być jakoby włamanie do supermarketu. To wszystko po to, żebyście nie zaczęli podejrzewać, że Cuffarowie wiedzą o kontaktach Borsellina z wami. To kosztowało życie też biednego nocnego strażnika, który pechowo znalazł się koło supermarketu, kiedy wchodził do niego rzekomy złodziej.

Spones nie odpowiedział, wstał, podszedł do okna, trzymając ręce w kieszeni, popatrzył na zewnątrz. Potem usiadł z powrotem.

– Myślisz logicznie. Ale to tylko przypuszczenia, rozumiesz? W sądzie nigdy nie uda się dowieść udziału Mongibella w tej zbrodni tylko na podstawie jednej rozmowy.

– Przewidziałem, że tak powiesz – stwierdził komisarz.

Wyciągnął z drugiej kieszeni odtwarzacz z nagraniem swojej rozmową z Mongibellem, postawił go na biurku obok pierwszego, ale zanim go włączył, powiedział:

– Muszę ci wyjaśnić, że przed rozmową, którą ci teraz puszczę, miała miejsce inna. Niezidentyfikowany osobnik odtworzył posłowi przez telefon jego rozmowę z Borsellinem i zapowiedział, że wkrótce odezwie się znowu.

– Zaraz – powiedział Spones. – Skąd to wiesz?

– Kiedy odsłuchasz taśmę, sam to zrozumiesz.

Puścił nagranie. Pod koniec Spones poczerwieniał na twarzy jak pomidor, najwyraźniej był pod wrażeniem tego, co wysłuchał.

– Wiesz, kto jest szantażystą?

– Tak. Ja.

Spones podskoczył na krześle, jak gdyby siedział na minie.

– Przecież to nielegalne!

– Ach, tak? A upozorowane porwanie Borsellina, które przeprowadziliście, było legalne? Walczycie z terroryzmem, uciekając się do metod niemających nic wspólnego z prawem, a mnie chcesz prawić kazania? Daję ci wspaniałą okazję. To, że Mongibello postanowił zapłacić, jest pośrednim dowodem winy. To, że nie zgłosił na policję próby wyłudzenia, tylko potwierdza jego udział w zbrodni. Zastanów się chwilę.

Spones pomyślał, po czym podjął decyzję.

– Nie mogę sam zdecydować, chyba to rozumiesz. Zostaw mi nagrania. Oddzwonię do ciebie najpóźniej o trzeciej po południu, dobrze?

– Z kim chcesz porozmawiać?

– Z moimi przełożonymi i z prokuratorem.

– Który to?

– La Cava.

Lepiej nie mogło się złożyć.

– Musisz się pospieszyć, spotkanie ma się odbyć o północy. Aha, na wszelki wypadek uprzedzam: mam kopię wszystkich nagrań.

– Wcale w to nie wątpiłem – odpowiedział Spones.

Spones zadzwonił punktualnie o piętnastej. Montalbano po powrocie ze spotkania nie ruszył się z komisariatu, tak stresowało go oczekiwanie na odpowiedź, że nie chciał mu się nawet jeść.

– Przyjeżdżaj.

Rozpędził samochód do niezwykłej jak na niego szybkości, a w biurze naczelnika policji wręcz wbiegł po schodach i w gabinecie Sponesa zjawił się zziębnięty.

– Powiedz mi wszystko.

– Mam złą i dobrą wiadomość.

– Zaczynij od złej.

– La Cava się nie zgadza. Twierdzi, że nie może podjąć oficjalnego działania na podstawie nielegalnej prowokacji, to znaczy twojego szantażu. I dał mi dobrą radę.

– Mianowicie?

– Żebyśmy obaj, to znaczy ja i La Cava, zapomnieli, że w ogóle o tym rozmawialiśmy.

– To ci się wydaje dobrą radą?

– Widzisz, on nie powiedział, żebyśmy nie podejmowali działań. Stwierdził tylko, że nie chce o nich wiedzieć z wyprzedzeniem. Ale jeśli opowiemy mu wszystko już po przeprowadzeniu operacji, przemilczając szczegół o szantażu i przeproszając, że nie powiadomiliśmy go wcześniej, bo nie było na to czasu, on przyjmie do wiadomości wynik akcji, nie zadając zbyt wielu niewygodnych pytań.

- Zrozumiałem. Musicie zataić historię mojego szantażu. A dobra wiadomość?
- Moi przełożeni postanowili i tak przeprowadzić operację.
- A czym zastąpicie mój szantaż?
- Informatorem, który doniósł nam, że poseł jest szantażowany przez nieznanego sprawcę itepe, itede. Jasne?
- Jak słońce.
- Ostatnia wiadomość. Dla ciebie najgorsza. Nie bierzesz udziału w akcji. Spodziewał się tego. Był pewien, że go ukarzą w ten sposób.
- Mam się trzymać od tego z daleka?
- Tak.
- Dlaczego?
- Bo żeby się do nas przyłączyć, musiałbyś poprosić o zgodę prokuratora, a ponieważ chodzi o posła, on musiałby zawiadomić podsekretarza, który z kolei musiałby donieść o tym ministrowi...

Montalbano przełknął gorzkie rozczarowanie.

Jednak Spones miał rację, im mniej politycy wiedzieli o tej sprawie, tym lepiej. Mogliby unicestwić całą ich pracę.

– Rozumiem. Zgoda. Róbcie, co chcecie.

Wstał z krzesła, szykując się do wyjścia.

– Dziękuję za wszystko – powiedział Spones. – Cieszę się, że cię poznałem.

– Ja też. Aha, muszę was ostrzec. Mongibello na pewno powiedział o szantażu Cuffarom. Nie przyjedzie sam na spotkanie. Moim zdaniem Cuffarowie zaproponowali mu, że wkroczą do akcji, gdy tylko szantażysta zjawi się po pieniądze.

– Przecież jeśli go zamordują, nie odzyskają nagrania!

– Nie sądzę, żeby zamierzali od razu go zabić, raczej będą go chcieli porwać i torturować, dopóki im nie powie, gdzie ukrył nagranie.

– Dziękuję za ostrzeżenie!

– Możesz coś dla mnie zrobić? Zadzwonisz do mnie dzisiaj w nocy po zakończonej akcji?

– Jasne. Zostaw mi numer telefonu.

Jak spędzić te godziny, skoro nie miał w ogóle apetytu? Po spotkaniu ze Sponesem wrócił prosto do Marinelli, rozebrał się i wykapał w lodowato zimnym morzu. Pływał do utraty sił, aż postradał poczucie czasu. Potem wrócił do domu

i usiadł na werandzie, z whisky i papierosami w zasięgu ręki. Butelka była pełna do połowy, opróżnił ją do końca.

Potem wszedł do środka i usiadł w fotelu. Obejrzał jakiś film szpiegowski, z którego jak zwykle nic nie zrozumiał. Potem przeszedł do komedii romantycznej, która rozgrywała się w Indiach. W połowie trzeciego filmu, o samurajach, zasnął.

Zbudził go telefon. Popatrzył na zegarek. Wpół do czwartej nad ranem. Cholera, jak późno! Pobiegł do aparatu. To był Spones.

– Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz, ale sprawy wymknęły się spod kontroli.

– To znaczy?

– Czekaliśmy zaczajeni w ukryciu i zobaczyliśmy Mongibella, który zbliżył się do rogatki z walizeczką w ręku. Położył ją na ziemi i wtedy dał się słyszeć odgłos strzału. Mongibello upadł. Ja pobiegłem do niego, moi ludzie rzucili się w stronę miejsca, z którego padł strzał. Znaleźli tam tylko karabin precyzyjny z celownikiem na podczerwień. Cuffarowie posłużyli się snajperem. Mongibello zginął na miejscu.

– Najwyraźniej uznali, że jest słabym ogniwem, a może nawet zdrajcą, i postanowili go wyeliminować.

– Ale w ten sposób nie mają nagrania!

– Nagranie mają w dupie! Nigdzie nie pada tam ich nazwisko! Powiedzą, że chodziło o jakieś machinacje Mongibella, o których nic nie wiedzieli! Będą udawać ogromnie zdziwionych! W każdym razie, jak zamierzacie to rozwiązać?

– Właśnie w tym szkopuł. Musieliśmy zawiadomić ministerstwo. Ktoś zadzwonił do La Cavy, sugerując, żeby przedstawić to jako wypadek na polowaniu. On jednak wysłał go do diabła. Powiedział, że zmarli, przynajmniej jak dotąd, nie mają immunitetu poselskiego, dlatego ma zamiar wszczęć śledztwo w sprawie zabójstwa i przyjrzeć się przez lupę wszystkim szczegółom życia Mongibella. Zaczynając od pytania, co takiego poseł robił w odludnym miejscu o północy, z walizką fałszywych banknotów opiewających na dwa miliony euro.

– Były fałszywe?!

– Tak, chociaż to podróbka wysokiej jakości. Sądzę, że Mongibello dostał je od Cuffarów i nawet nie wiedział, że są fałszywe. Podejrzewam, że La Cava da popalić Cuffarom, a my z wielką ochotą mu w tym pomożemy.

Montalbano nie podzielał może zamiłowania Sponesa do barwnych wypowiedzi, ale ucieszyły go jego słowa.

- Dziękuję – powiedział.
- To ja tobie dziękuję. Do widzenia.

Teraz poczuł wilczy apetyt. Nakrył na werandzie i poszedł zajrzeć do lodówki.

Adelina przygotowała tym razem dania wegetariańskie: bakłażany parmigiana, które swoim wspaniałym zapachem przyprawiły go o zawrót głowy, i sałatkę z różnych rodzajów zieleniny, z ziemniakami i ogórkami.

Usiadł na zewnątrz.

Noc była ciemna, ale pogodna. W oddali na morzu widać było nieliczne światełka.

Wkładając do ust pierwszy kęs bakłażanów, Montalbano pomyślał, że w sumie lepiej sprawy nie mogły się potoczyć.

Od autora

Ta powieść została napisana wiele lat temu, dlatego też uważny czytelnik, który dostrzeże liczne wzmianki o nadchodzącej starości, mniej lub bardziej uzasadnione kłótnie z Livią i tym podobne rzeczy, nie powinien złościć się na autora, ale raczej na niezbadaną alchemię procesów wydawniczych. Nazwiska postaci, nazwy instytucji i firm, sytuacje i miejsca zdarzeń są tworem mojej wyobraźni. Podkreślam to, by uniknąć nieporozumień.

Przypisy

[1](#) Osvaldo Licini (1894–1958) – włoski malarz, stworzył serię obrazów przedstawiających księżyc. Cykl ten nazwał „amalassunta” – (przyp. tłum.).

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące utwory Andrei Camilleriego:

KSZTAŁT WODY

2007, 2021

PIES Z TERAKOTY

2007, 2022

ZŁODZIEJ KANAPEK

2007

ZNIKNIĘCIE PATÒ

2004

GŁOS SKRZYPIEC

2008

MIESIĄC Z KOMISARZEM MONTALBANO

2008

POMARAŃCZKI KOMISARZA MONTALBANO

2009

WYCIECZKA DO TINDARI

2007

ZAPACH NOCY

2008

PIWOWAR Z PRESTON

2008

OBIETNICA KOMISARZA MONTALBANO

2009

KOLOR SŁOŃCA

2009

CIERPLIWOŚĆ PAJĄKA
2010

PENSJONAT „EWA”
2010

PAPIEROWY KSIĘŻYC
2011

SZARY KOSTIUM
2011

SIERPNIOWY ŻAR
2012

SKRZYDŁA SFINKSA
2013

SEZON ŁOWIECKI
2014

POLE GARNCARZA
2014

WIEK WĄTPLIWOŚCI
2015

ŚMIERĆ NA OTWARTYM MORZU
2016

KRÓLOWA POMORZA I INNE HISTORIE Z VIGATY
2016

TANIEC MEWY
2017

POLOWANIE NA SKARB
2018

GRA LUSTER
2019

UŚMIECH ANGELIKI
2020

ŚWIETLNE OSTRZE
2021